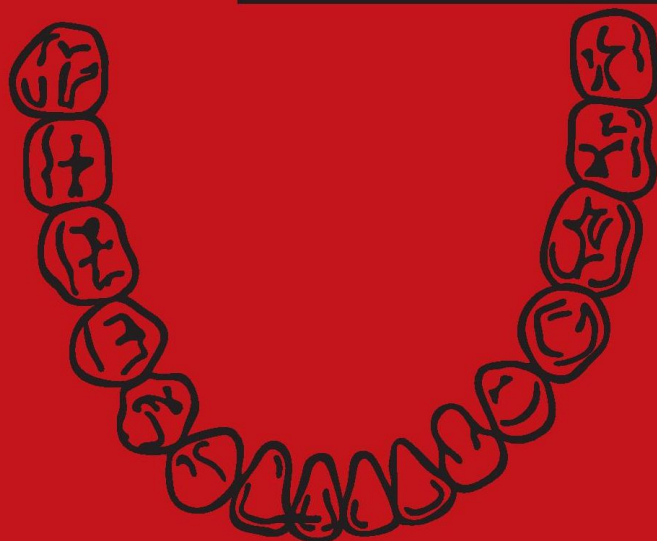


**Wojciech Albiński**

**Przekąski – Zakąski**



**jak być dobrym,  
jeśli nie było się nawet złym**

# Przekąski – Zakąski

**jak być dobrym, jeśli nie było się nawet złym**

zbiór opowiadań

Wojciech Albiński

Copyright © by Wojciech Albiński 2011

## SPIS TREŚCI

OD NOWA	(4)
PRZEKĄSKI – ZAKĄSKI	(6)
KTOŚ WIĘKSZY NIŻ JA	(9)
SEKRETNY ZAKON	(15)
TELEFON SPRZED DEKADY	(22)
DROGA REDAKCJO	(28)
CZEŚĆ GARDEROBY	(33)
NIGDY SIĘ NIE ODWRACAJ	(38)
EVERY TIME WE SAY GOODBYE	(44)
PORZĄDEK W IMIONACH	(55)
CZEKAJĄC NA GODOTA	(61)
PIĘKNI LUDZIE	(64)
DZIECIĘCA ZEMSTA	(70)
KTOŚ MUSI ODEJŚĆ, ŻEBY ZOSTAĆ MÓGŁ KTOŚ	(76)
POZDROWIENIA DLA BORDO	(81)
KANIBALIZM BĘDZIE KARANY ŚMIERCIĄ	(89)
GODNA ŚMIERĆ	(95)
PIERWSZE PRÓBY PRZYJAŹNI	(102)
SZKIC KOBIETY	(112)
ZDECYDOWANIE NIE POWINIEN SIĘ MODLIĆ	(118)
UKRADZONE NAZWISKO	(127)
ŚWIĘTO PRACY	(139)
KACZKA DZIWACZKA	(145)
druga strona okładki	(148)

# OD NOWA

Do pracy na ogół jeżdżę bez biletu. Ale przestaje mi to wystarczać. Spodobały mi się za to kary i ich unikanie. Pościg, sąd. Właśnie sąd. Że niby powaga, ale nie przyszedł urząd miasta. Zmartwiło mnie to. Obroniłem się i poczekałem, aż przyjdzie zmniejszona kara, której i tak nie zapłaciłem. Przeszedł komornik. Zajął pensję. To już jakiś konkret. Ale wtedy byłem już daleko. W internecie pokazała się piosenka „Będąc złapanym na złodziejstwie”. I w związku z tym, że zawsze czułem się niekochany, a ostatnio odeszła ode mnie nawet żona, i że zawsze miałem dość odwagi, by wziąć sobie to zainteresowanie, zacząłem kraść.

Poderwałem dwie dziewczyny, o których powiedziałem żonie. Żona na krótko znowu się we mnie zakochała. Dziewczyny jakoś to przeżyły. Na ich koszt byłem tu i tam. I było fajnie. Ale to wszystko znowu mało. Na przykład takie włamanie albo pobicie. Sprawdźmy, ile za to by było. Włamanie to włamanie. Pobicie to rozbój. Popatrzeć na człowieka na ulicy i mu dojechać. Szukać afery. Jak drżą pięści, jak chodzi całe ciało. Każda noga mówi: „ruszaj”. Zamieniam się w spięty kawałek aparatury do podtrzymywania oddechu. Mocny, pełen elektrycznych impulsów. Biję się, on się odsuwa. A przecież ma siłę, żeby się bić. Przeprasza. Spoko. Na wszelki wypadek powołuję się na kolegów, których dawno potraciłem. Jest przestraszony. To słabo, chcę więcej.

Mam kolegę, tego akurat mam, który chce skończyć życie w okolicach czterdziestki. Lubi narkotyki i emocje, dużo emocji. Planujemy włamanie. Włam. Umówić się na włam. Czuję podniecenie i radość, wszystko to, co wiem o ludziach, przeciwko nim. Krata z moich blizn zaczyna świecić, to tutaj. Włamujemy się do domu na podwarszawskim osiedlu. Balkon, wejście, przedmioty. Kamera. Na niej ich dzieci. To jednak rozprasza. Wychodzimy i cieszymy się. Mnóstwo wrażeń. Jak z nadmorskiej pocztówki. Piękne chwile. Wracam do domu, w domu włamanie.

Kiedyś ktoś się do mnie włamał i przeżyłem to jak kobieta gwałt. Pusta rama okna, dalej chłód nocy. Teraz wyjąłem papierosa, napaliłem w kominku i zastanawiałem się, czy dziury w futrynach po włamaniu w ogóle warto reperować. Ja naprawdę chcę być grzecznym dzieckiem z tarczą na rękę. Ale nie ma z kim. Nie ma w koło żadnych grucznych dzieci. Są pierdoleni szmaciarze, raz lepsi, raz gorsi. Nikt nie gra czysto, można tylko hałasować. Po chwili zadzwoniłem do żony. Czy chce wracać. Nie. Cóż.

Na początku płomień rozchodził się po domu wolno. Pomogłem mu i zaskoczony tempem, szybko uciekłem na zewnątrz. Zadzwoniłem po policję, Spisali protokół, o sprawcach

włamania powiedzieli, że na pewno ich nie znajdą, a o domu, że mam szczęście, bo był ubezpieczony. Jeden z nich dodał: „pan buduje od nowa”.

# PRZEKAŚKI – ZAKAŚKI

Listopadowa noc. Trzydziestoletni facet, Tadek (dwójka dzieci na karku, ciężkie życie, ale młodość, agencja reklamowa) umawia się z kolegą, żeby się napić i pogadać. Piją w „Grubej Kaście”, tam wszystko jest na żółto i brązowo, w różnych odcieniach gówna, na wszystko pada słabe, gówniane światło. Stolik jest za mały, piw dużo, dołącza do nich jeszcze kolega. Twarze się mieszczą, gorzej z nogami, jakieś dziwne zawijasy. Są pijani, wychodzą. Tak sobie idą, ten, co dołączył do nich, mówi temu, co chciał się spotkać, Tadekowi, że nigdy nie lubił go na studiach, okazuje się, że z wzajemnością. Nic nie szkodzi, podtrzymują trop i ruszają w stronę „Przekąsek – Zakąsek”.

Wszyscy wiedzą, jak to tam wygląda, więc nie ma co opisywać. Stoją niczym we wnętrzu kieliszka, otoczeni lustrami, które wszystko trzymają razem, żeby się nie rozlało. Na środku, nieco wyżej, też jak w kieliszku, za barykadą baru, stoi facet, który jest kultową postacią polskiej sztuki nowoczesnej, kultury, literatury, nowoczesności i postępu w ogóle. On tej nowoczesności podaje drinki i ją rozpija. Hej, ale fajnie – i ich też. Księstwo Warszawskie.

Nowoczesność jest rozgadana, po interesach, przed, w trakcie, filozoficzna, poetycka i cała pijana. Wszyscy się liczą, ilu przyszło, czy są wszyscy, jaka jest między nimi odległość, czy bliższa, czy dalsza, czy przywoita, czy przyzwalająca. To liczenie jest bardzo złe, trzeba to potępić. Stoją branże do potępienia. Reklamowa. Medialna. Akademicka. Finansowa, polityczna, licealna. Potępieni. Potępienie. Wszyscy się trochę sami potępiają.

Tadek też jest już policzony, może i potępiony. Czarne, proste i krótko podcięte włosy, ładny profil z branży akademickiej też liczy, obserwuje go, ale szybko odwraca wzrok, kobieta nie chce być rozpoznana. Tadek coś czuje. A było tak, ktoś taki owszem, całe dziesięć lat temu przeszło mu przez głowę, jeden weekend, jeden wieczór, że może coś razem, ale całe szczęście nic. Choć może szkoda. Za mały dynamizm. Z urody straciła niewiele, ale to się już łamie, jest przed krawędzią, przed skokiem. Tak samo teraz z wódką. Kątem oka przygląda się jej, że coraz bardziej się chwieje, kołysze, traci równowagę, choroba, błędnik, coraz więcej kieliszków za cztery złote, coraz więcej. To nie jest dobry widok na początek.

Obok faceci w marynarkach, ich teczki, łysiejąca młodzież w okularach, artyści z brzuchami na smyczy. No i wszyscy, wszyscy piją sobie wódeczkę. Bardzo przyjemnie, bardzo przyjemnie, stoją tu przez całe zabory, powstania i zrywy, ale to dobrze, jak Bóg da, będą jeszcze stać, tak przyjemnie. Mały incydent, marginalna niepokorność wobec wieczności.

Tadek liczy i swoje. Stoi tam też dziewczyna, blondynka, nieco smutna, niewymownie piękna tej nocy, która, to widać, przyszła tu obok z jakąś tam parą. Para zwykła, nic do powiedzenia. Nie pamięta się ich już po odwróceniu głowy. Ale ona jedna tam z nimi nie liczy i nie patrzy. Trzyma drinka jak bluszcz oplata rynnę i słucha gościa w brązowej marynarce. Słucha, jakby stała na peronie, jakby obok przejeżdżał pociąg. Skupia więc całą twarz, żeby usłyszeć, brać udział, ale wołałaby tego nie robić, patrzeć tylko, uśmiechać się. Zosia. Prosty beżowy płaszcz z szerokimi klapami, niebieski sweter, delikatne ręce. Wydarzenie. Piękno.

On już teraz tylko jej dogląda, obserwuje ją cały czas, i gdy dopycha się do baru, w trakcie picia, jałowych rozmów, i gdy wychodzi z kibla. Cały czas. Blask światła odbitego w szkle. Impulsy, spięcia elektryczne. Przeprasza na chwilę, idzie do niej, żeby coś jej powiedzieć. Przepycha się przez parę, podchodzi do Zosi i szepcze jej do ucha, solennie, jakby przyjmował komunię, bardzo uważa, żeby te słowa nie upadły, nie zbeszczyły się, nie wypłynęły gdzieś na bok. Jest w tej chwili trzeźwy, normalnie trzeźwy, mówi:

- Ko-cham-cię.

Odgarnia jej włosy, zapamiętuje delikatny puch z kwiatów topoli, zdobiący piasek jej skóry. Dotyka jej, to jest: przesypuje piasek. Widok rzeki w lato przez zmrużone oczy. Wszyscy na tej plaży - oczy, uszy, rzęsy, delikatne usta - cieszą się z tego gościa. Jeśli istnieją aniołowie, tak wyglądają.

Tadek nie patrzy jej w twarz, schyla głowę, żeby jej nie spieszyć, i wolnym krokiem wraca do siebie przez zaułki pleców. Komunikant w ustach, skupienie: przyjść, odwrócić się i wtedy klęknąć.

Piją dalej, jest coraz bardziej nijako, jego oczy w niej. Chciałby, gdyby tylko spojrziała, gdyby zauważyła, dać jej znak swoją głową, powtórzyć gestem. Potwierdzić: „tak, dobrze słyszałaś”, wyraźnym skinieniem głowy, „tak, kocham cię”. Jest przygotowany, głowę zadarł wysoko, wódka ją przechyliła, żeby obwieścić wszystkim tutaj, krajowi i światu, to najprawdziwsze, najszczerze, krystaliczne uczucie. Głowa wisi jak topór. Uczucie dla ciebie, Zosiu.

Na to wpatwienie odwraca się tylko wysoki brunet z pary, sztruksowa, brązowa marynarka. Nie wie, co robić, palant, nie wie, co poszło, chciałby spytać, nie może podejść. To wykracza poza jego marynarkę.

Anioł obok niego milczy, nie patrzy, nic. Nie słyszała! Na pewno nie, dalej jest, jak było. Tylko para obok niej próbuje ukryć tę wizytę i oblubienicę. „Szybko, wszystko musi być, jak było. Choć przecież tamten facet podszedł do nas i coś szepnął jej na ucho.” Niewymownie to wszystko krepujące. Tadeusz patrzy na nich i czeka w gotowości. „Jakby co, pytajcie, ja

powtórzę, ja jestem tu. Zosiu, patrz na moją głowę gotową do skinienia. Patrz – skinę dwa razy, wyraźnie. Bo dobrze słyszałaś.”

Rusza się marynarka obok, coraz bardziej gestykuje w odrażający sposób, ruchy zwielokrotniają się w tych lustrach, w oczach dookoła, więcej gestów, marynar, ruchów, wszyscy piją – wódka i cola, cola czy to twoja, może być twoja, zalew wódki, wszyscy pijani, nie mogą ustać. Wychodzą, przewracając się co chwila, opór stawiają brudne szklane, obrotowe drzwi. Muchy mylą szyby z lustrami. Cześć-cześć. Koledzy.

Tadek musi rzygać, musi zapłacić za rzygi w taksówce, wejść do domu. Samotność pijaka. Pada na łóżko obok żony, zapomina o wszystkim. Ona w nocnym, słyszała dobrze. Autobus zapierdala przez listopadowe miasto, mokre, wilgotne, tuż przed zmrożeniem.



# KTOŚ WIĘKSZY NIŻ JA

To jest opowieść o świętym Janie, czyli o mnie, o Jezusie, czyli o Kamilu, i o proroku Starego Testamentu, czyli o Tadeuszu Konwickim. Jest zima. Śnieg, mokro, warszawskie wiadukty i sześćdziesiąt kilometrów na godzinę rozwalającym się gratem. Jadę do roboty i jak co rano gorączkowo skaczę po stacjach. Na jedyne o 9.30 zawsze jest powieść. Do niedawna była to „Lalka”, teraz coś zupełnie nowego, jeszcze nie wiem, co. Facet ma dużo do powiedzenia o rzece, o tym, co nad rzeką, o ludziach przychodzących nad rzekę, o światłach nad rzeką, o życiu w ogóle. Nie chcę kpić, ale widać, że to człowiek obyty, rozumiejący rolę rzeki w przyrodzie i w człowieku, chciałby porównać rzekę do życia. Spoko.

Są w tych kilku minutach gadania kawałki znośne, ale i są zupełnie nieprawdziwe. Zwłaszcza jeden robi na mnie złe wrażenie, zupełnie, za grosz, nie mogę zrozumieć intencji tego człowieka i myślę sobie, że to dlatego, że to, co jest teraz czytane, jest fałszywe, bo bez życia. Jest tam wciągający opis młodych chłopców, którzy zza krzaków przyglądają się kobietom kąpiącym się w wieczornej wodzie. Siedzą tam osłonięci siewkami topoli i klonów, już zakochani w ich mokrych włosach i odkrytych piersiach. I co robią potem? Gdy kobiety odejdą od rzeki? Chłopcy – tak czyta lektor – idą do domu czy gdzieś tam do siebie, do ognisk, i zabierają ze sobą widoki „jak na kliszy fotograficznej”. Bzdura.

No więc ja wtedy w zimie i teraz w lipcu, zżymam się i nie zgadzam na taki opis. Albo młodzi chłopcy są znudzeni i mają w dupie te kobiety, albo też autor nie wczuł się jakoś do końca w ich sytuację i nie rozumie, że jedyne, o czym taki młody człowiek lat -naście może marzyć po takim początku, którego przecież szukał, to znaleźć się w kobiecym towarzystwie i szukać spełnienia, drażniąc się mocniejszymi bodźcami.

A że nie może tego zrobić fizycznie, podejść i jej pocałować czy objąć - to przecież gówniarze – jedyne, co jest właściwie w jego sytuacji, to wbiec tam, do rzeki, dokładnie w ten sam piach, którego dotykały ich stopy, przeciąć tę samą wodę i zbliżyć się do nich przez powtórzoną obecność w tym miejscu. Symboliczny gwałt, rabunek, ale i czułą obserwację własnego ciała, które mogłoby być ciałem tych kobiet, które czuje to, co one czuły, i zdobywa ich ciała przez uczestnictwo w tym samym. Ciepły wiatr wiejący żywiej nad płaską powierzchnią wody, piach osypujący się pod stopami, w końcu ciepła woda omywająca trójkąt kręcących się włosów między udami.

Bo tak robią ludzie, jeśli mają czas. Ja oczywiście mogę się mylić, mylimy się codziennie, zwłaszcza w sprawach ważnych. Ale to, że przypomniałem sobie te kilka minut i

słowa kończące audycję: „Fragment powieści *Wniebowstąpienie* Tadeusza Konwickiego czytał Adam Ferency” teraz, w lipcu, pół roku później, po dniu spędzonym nad rzeką, przemawia na moją korzyść. Zresztą, czy ja muszę się tak bronić? Dopiero teraz napiszę, jak powinno być. A powinno być tak:

Rzeka w tym miejscu kończy w miarę prosty bieg i nabiera prędkości przed szybkim zakrętem. Mimo to jest jeszcze płytka, w najgłębszym miejscu sięga zaledwie do piersi, i łagodnie unosi się ku brzegowi. Leżę w niej, tuż przed małą plażą, opierając całe ciało o piach, przykryty zaledwie kilkucentymetrową warstwą wody. Dopiero później zauważę, że jest to rodzaj naturalnej sceny, którą zrelaksowana grupa ludzi znajdzie sobie wszędzie. Niby zejście do wody, ale są dwa kajaki odcinające scenę od kurtyny trzciny i ładny szeroki wybieg. Widownia jest nieco wyżej, zaczyna się wraz z suchym piaskiem i łagodnie, z tym samym nachyleniem, co pod wodą, wznosi przez kilka metrów w kierunku niewielkiej, półmetrowej skarpy, rodzaju stopnia ku rozległej, niskiej i zalanej teraz słońcem łące.

Jesteśmy tu już którąś godzinę i mitrzymy czas, który zaoszczędziliśmy wcześniej. Na widowni siedzą w tej chwili Tomek, Gosia, ich córka Milena, obok Edyta, Artur oraz sympatyczni i pijani Kamil i Filip. Znajomi. Brakuje nam fajek, piwa, a także źle wpływa na nas obecność drugiej grupy ludzi, z którymi dzielimy to miejsce. Kilkanaście metrów dalej, tuż przed tym zakrętem, przy innej scenie, trzech opalonych na brązowo chłopaków z powodzeniem upija kilka młodszych od nich, pięknych swoją młodością, zaledwie zakwitłych dziewcząt. Piersi, mokre włosy, opięte pupy, wnętrza ud. Pornografia. Dlatego, choć jesteśmy spokojni, to nie jesteśmy znużeni. W środku czai się podniecenie.

Na scenie nie jestem pierwszy. Wcześniej śmieliśmy się już z pięcioletniej Milenki, jej taty i jakiejś innej dziewczynki, dajmy na to Ani, która za grosz nie mogła zapamiętać i zrozumieć imienia Milenki. Helenki, Emiliki, Malinki.

Niestety Milenki, czulej jak każdy, to nie bawiło. W tym czasie jej ojciec zakładał na głowę wędkarski kapelusz z którego wylewała się woda i na nowo moczyła jego śliską, lepiącą się do ciała koszulkę, która opinała naprawdę grubego brzuch.

- Malinka, Twój tata jest naprawdę śmieszny.

Śmiech ze sceny.

- Nie jestem Malinka.

Znowu śmiech.

Ta mała dodała: „naprawdę”, bo już wcześniej myślała, czy jest śmieszny.

- Naprawdę? – przystawała przy swoim koleżanka. I tata śmieszny, i imię dziwne.

Śmiech. Dzieci naprawdę myślą trzeźwo. Gdy Milenka i jej ojciec wychodzą z wody, wchodzi ja. Znowu mam ochotę na kąpiel. Myślę teraz, że gdyby filmować ludzi w przyspieszonym tempie, byłibyśmy jak pszczoły ze swoimi tańcami. Każdy nasz ruch, podejście, spotkanie i rozmowa – wszystko jest opowieścią o szukaniu czegoś słodkiego.

Wchodzi i nie odwracam się, bo kto się odwraca, kiedy wchodzi do wody? Ciało dzieli się na pół, okręca w nurcie rzeki, gęstość wody, zaledwie przedsmak prawdziwej gęstości świata, ciepło. Mimo to prawdziwa kąpiel wkrótce mi się nudzi i wracam na scenkę, żeby się popluskać. Czym ich rozśmieszyć?

Chowam się za kajakiem, mówię, że jestem amerykańskim szpiegiem, zanurzam się w wodzie i wkładam głowę pod dziób kajaka. Widok z tamtej strony – wychylająca się znikąd głowa. James Bond. Tak, śmieją się. Przedłużam to. James Bond próbuje teraz ukryć się w bakiście. Wkładam tam głowę, dokładam nogi. Próbuję się skupić w sobie. Śmiech. Bardzo fajnie. Często, gdy robi się śmiesznie, wraca do mnie smutek. Oni tego jeszcze nie widzą, ale ja już czuję jego chłód, kładę się pośrodku, między kajakami, przykrywam kołdrą wody i chcę zniknąć. Jeszcze przez chwilę próbując zrobić coś z rękoma, bawię się mokrym piachem na dnie, ale to już jest koniec. Widownia powoli czuje się oszukana. Schodzę.

Przez chwilę nasza scena stoi pusta. Wiemy, że coś jeszcze musi się wydarzyć. Nie wszystko wyczerpane. Sąsiedzi, te dziewczyny. Musiały nas zauważyć. Nas, mnie. Co dalej? Wiatr. Kolory traw, ciemna toń wody niosącej piasek, nieświadome siebie oczekiwanie. Jesteśmy spokojni w swoim oczekiwaniu.

I wtedy na scenę wchodzi Kamil. Kamil jest pijany, upalony i bawi się świetnie. Od samego początku spływu było z nimi śmiesznie. Upił się z kolegą z kajaka na samym początku, na wszystkie postoje przyplływają coraz bardziej rozmowni, a Kamil wcześniej nawet jednej z obcych dziewczyn, która obok nas wchodziła do wody, brzydkiej, choć młodej, ofiarował chusteczkę higieniczną. Żeby się wytarła, jeśli nie ma ręcznika. Zrozumiała, ale odmówiła. Kamil schodzi ze skarpy, zapina rozporek, klepie się po płaskim brzuchu i rzuca, przeciągając się:

- Idziecie się kąpać?

Po czym wbiega do wody, robiąc kilka gwiazd, i kończy widowiskowym saltem. Do wody, tuż za kajakami, wpada najpierw głowa, a potem przygniatające ją ciało. Piękna akrobacja z zaskakującą puentą. Przez chwilę go nie ma. W końcu wynurza się, otrząsa się jak młody szczeniak i nie przestaje wygłupiać. Piękny i pijany. Z mechaniczną konsekwencją próbuje robić swoje salta, z których każde mu nie wychodzi. Trenuje capoeirę i, jak wcześniej mówił z dumą, choć jedno powinno, ale każde po pięknym wybiciu oraz nogach w górze

osuwają się w miękkość wody, jakby mu ktoś wyciągnął kręgosłup. Rozbryzg, śmiech, potrząsanie głową i znowu. Gdy w końcu się męczy, kładzie się przy kajaku, mniej więcej tam, gdzie ja wcześniej, tuż przed brzegiem i jeszcze w wodzie.

Patrzę na niego już z brzegu i chce mi się śmiać. Właściwy człowiek na właściwym miejscu. Nie ma czasu na smutek. Co teraz? Zaczyna, na czym skończyłem. Bierze piach i błoto do rąk, przygląda mu się, a potem nakłada tę breję na siebie. Na piersi, szyję, uda. Brzydzi nas to i śmieszny. Nakłada i zmywa. Znowu komiczna jest tylko powtarzalność i obrzydzenie. Śmiech.

- I ty go zatrudniłeś na menedżera?

- W garniturze wygląda lepiej.

- Ty, kapuera, skocz na główkę.

Kapuera nakłada sobie błoto na główkę.

- Nie no, nie, to jest, kurwa, kretyn.

- Kapuera, zrób menedżera!

Kapuera robi minę poważnego człowieka i bije się w piersi.

- Ale powiedz coś!

Podnosi się. Wchodzi do kajaka, zakłada ręce na jego oparciu i zaczyna konferencję. Przedrzeźnianie tej nowomowy tutaj, nago, na małpę: „to najlepszy środek na rynku, łączy w sobie dwie funkcje, łagodnie przeczyszcza organizm i rozwesela go za jednym razem”. Nasze śmiechy łączą się z głosami z boku.

- Ej, nie no, co za kretyn!

- Ty! Pajacu!

- Ja pierdolę, ale kretyn.

Dochodzi do nas, że Kamil widzi coś jeszcze, gra już nie tylko przed nami, kłania się innej publiczności. Ze sceny widać więcej. Jak on to wyczuł, co w nim jest, że te uwagi, zamiast go onieśmielić, naprężają w nim tylko jakieś struny i robi się jeszcze głośniejsze? Wesole, brzęczące, niegramotne, nieporęczne pudło. Zatyka sobie ręką nos i wsadza głowę w muł. I odwraca ją do dziewczyn z sąsiedniej plażki, które już zdążyły do niego przyjść. Zostawiły swoją część, swoich brązowych chłopaków, ich plecy, i przyniosły mu, po kolei, krok za krokiem (jakie te kroki musiały być ciężkie, jakie brzemiennie) swoje ciała.

- Ty, pajacu, skąd ty się wziąłeś?

- Ale wiesz, że jesteś kretynem!

Kamil mówi: „cześć”. Długie włosy, które powoli schną, pięknie ciała, delikatna, z pewnością bardzo przyjemna w dotyku skóra, ten rodzaj krągłości, który spotyka się tylko u

kobiet bez dowodu. Ziemia jest okrągła. Czasem to się czuje. Pozostają na scenie, ale schodzą głębiej w wodę, w didaskaliach napisaliby – na stronę. Poznają swój wiek.

- Ile masz lat, debilu?

- Dwadzieścia sześć. A ty?

- Żartujesz. Wyglądasz na osiemnaście.

- A ty?

- Piętnaście.

Poznają swoje imiona.

- Wiesz, z szefem na przykład jadę we wtorek do Monachium. Lecimy, lotnisko, fajna kolacja, te sprawy, kupuje mi drinki. A potem, drugiego dnia... W środę? Tak, w środę, Szef mówi: „słuchaj...”. – Nagle zatrzymuje się, zdobywa się na figurę retoryczną i dla efektu pyta:

- Jak masz na imię?

- Co? - odpowiada blondynka.

- Ale jak ci na imię?

- Maja.

- No to szef ci mówi: „Maja, wypierdalaj!”.

Nie czują naszej obecności, nie słyszą naszego śmiechu. Widzą tylko z bliska swoje twarze. Mokre ciała. To, co pod sukienką wody. Drżenie nóg. Palce stąpające po muszlach. Chłodny nurt wody. Brunetka odchodzi. Nie jest zawiedziona. Kamil i Maja zupełnie nikną nam z widoku. Jesteśmy skonsternowani. Ojciec Milenki wyjmuje wiatrówkę na wszelki wypadek, gdyby mili brązowi chłopcy z plaży obok chcieli się bić. Ale czują to samo, co my. Dzielimy się papierosami. Strzelamy do puszek, wypełniamy czas.

Schodzę do plaży. Na pustej scenie nic się nie zmieniło. Wkładam stopę do wody i toczę leniwym wzrokiem dookoła. Po trzcinach, rzece, którą tu przyplłynęliśmy, konarach klonu, na którym wisi lina z oponą, dzikim zejściu do wody z wbitym w suche błoto kijkiem do trzymania wędki, kilku chałupach na horyzoncie i rzece, którą jeszcze trzeba przepłynąć. Ważę się. A tuż obok, za odsłoniętymi teraz trzciniami, tuż przy brzegu, w płytkiej, niskiej wodzie, dwa ciała przytulają się do siebie. Jej rozchylone kolana wystają ponad wodę, on pomiędzy nimi gładzi jej piersi, kark i uszy, całuje karminowe, nieco zziębnięte jednak usta. Woda lekko klaszcze i odbija słabym echem w zwisających konarach.

Rzeka jest już zbyt chłodna, nic tu po mnie, odwracam wzrok, jakbym przewracał ją na drugą stronę. Ach więc to tak! To jest aktor najwyższy, geniusz sceny. Jezus! A gdzie jest moja rola? A może to on właśnie jest tym kimś najlepszym, a ja tylko przed nim, ja go obwieszczam, a potem przychodzi on i mówi chodź. Piękny, czysty, niewinny, bez jednego

cienia, a ja spięty teraz podniesiony, właściwie zakłęty w kamień, wracam na ręcznik, moja rola, moje wydarzenie było wcześniej – już wszystko rozumiem.

Czekamy jeszcze wszyscy chwilę na niego i płyniemy dalej. Po spływie, gdy składamy kajaki, do brzegu podchodzi fotograf ze statywem. Zagaduję:

- Ma pan tu ładnie rozmieszczonych ludzi w kadrze.

Odpowiada wystraszony:

- My na naszym forum nie fotografujemy ludzi.

Choć znam tę potrzebę, nie potrafię jej zrozumieć. Dzień później wchodzę na jego fotoforum fotoprzyroda czy coś i znajduję wieczorne zdjęcia rzeki, nad którą wczoraj spędziliśmy cały dzień. Oczywiście bez ludzi.

A jeszcze później, później tego wieczoru, przypomina mi się właśnie ta historia z Konwickim, który tak mnie zdziwił w zimę, i jeszcze coś.

Chciałbym tu napisać wszystko, co wiem, bez kompozycji, bez ładu, jak Kamil, żeby mi już nie przeszkadzało, żebym mógł pójść dalej, żeby to wszystko, co widziałem, obrosło i ubrało się w kolejne historie, które by chroniły moją historię przed zimnem tej wieczornej, pustej rzeki. W „Moim wieku” Aleksandra Wata jest opis jego rozmowy więziennej z wariatem na Łubiance. Pełen przekonania wariat opowiada o swoim odkryciu. „Szy...szy...szy..” Tak mężczyźni z krzaków przywoływali kobiety, które przyszły pić do rzeki. Podobno to pierwsze słowa ludzkości.

# SEKRETNY ZAKON

Z kawiarnianego stolika zrywa się papierowa serwetka. Trzyletnie dziecko, moja córka, rusza za nią, po kilkunastu metrach łapie, przynosi z powrotem i z radością podaje mężczyźnie, który równie grzecznie jak dziecko dyga, odpowiada: „Dziękuję” i wyciąga po nią rękę. Ale serwetka znowu zrywa się w powietrze i odlatuje, tym razem jeszcze dalej i wyżej, tak, że już nikt nie jest w stanie jej złapać. Nie ma, nie?

Ta historia to pocieszenie. Ilekroć przypominam ją sobie w tym skrócie albo nawet szerzej, cieszę się, że to właśnie tak wygląda. Że proste fakty układające się w ciągi potrafią całościami przemawiać nie tylko do mnie, ale i za mną. Że może nawet mnie bronią.

Zresztą ona, ta historia, ma jeszcze jeden atut. Ja jestem pisarz, ja mam ambicję i ja już czytałem podobne historie w tematyce, jaką chcę napisać. Na przykład Iwaszkiewicz, wielkie nazwisko. Babel, wielkie imię i nazwisko. Maupassant, też wielkie, nasz polski Pruszyński też. Oni wszyscy pisali o artystach w małych (tu słowo, które mi nie pasuje, ale cóż) społecznościach, o malarzach, o wyklętych, o sztuce, o szaleństwie, o tym, kim jest artysta - na dziesięciu stronach. Że przyjeżdżał taki i robił ołtarz na przykład i na tym ołtarzu Judasz to sołtys, a Matka Boska - z twarzy lokalna idiotka, która wszystkim daje. Takie rzeczy pisali, taki topos jest. Czy oni wszyscy tak pisali, to nie wiem, no ale chodzi o to, że ja mam taką samą opowieść do kompletu. Zawsze chciałem coś takiego napisać, na miarę naszych czasów, a tu proszę - samo wyszło. I to tak trochę o mnie, a nie o mnie. Wiadomo, jak jest. Pocieszycielko nasza.

No bo weźmy wszystko pod uwagę. Jesteśmy na wczasach, z drugą rodziną wynajmujemy domek, młyn taki, jest ogólnie bardzo dobrze. Oni są głęboko wierzący, mamy dużo takich znajomych. Porządni ludzie, on jest łysy, ona młodsza, czwórka dzieci, kochają się, wiadomo, chodzą do kościoła, złego słowa się nie da powiedzieć. Ona jest też ładna, ale zimna taka - wątek poboczny, można wyciąć.

My bardziej rozedrgani, wiecznie siebie niepewni, wierzy tylko żona. Dzieci mniej, bo tylko dwoje, w dodatku drugie przypadkiem, całe szczęście moje. Wszystko to jakieś niedookreślone, niezorganizowane, nie widzimy siebie razem, właściwie niczego razem nie widzimy, wszystko jest jakieś takie porozpierzdalane, a jednak musimy, patrzymy na siebie, nie wiemy, co z tym zrobić, i tak trwamy, trwamy. No i kto chce z nami na wczasy jechać?

Bardzo się cieszymy, że mieli ochotę, my się ociągaliliśmy, ale w końcu też chcemy, choć pierwsi prosiliśmy. Bo też w ogóle trzeba powiedzieć: przyjemni ludzie, są kwasy, ale jak

przyjdzie co do czego, matka na przykład choćby zadziobała za własne dzieci, to potem przeprasza. To się ceni, niektóre nie przepraszają, to już są zwierzęta, a ona po ludzku, sama siebie też zrozumie.

I jesteśmy na wczasach. Jak to za pierwszych dni wszystkiego, układa się pięknie, ale też chcemy odwiedzić, ja chcę przynajmniej odwiedzić, jakiegoś znajomego. Dzień drogi samochodem dalej, gdzieś pod Czaplinkiem, stawia kurzą łapkę, bardzo go lubię, piękny człowiek. Opuszczamy naszą rodzinę, jedziemy tam na jeden dzień, wracamy i z powrotem mamy spotkać się w Chojnicach, na rynku, przy fontannie.

Tam stoimy, czekamy. Bardzo mi się podobają gołe, żelazne kobiety, z których leje się woda, tu się umówiliśmy, ale dzwoni telefon, zmieniają plan, dokładniej: umawiamy przed basztą, tam jest taka kawiarnia z pizzerią, kafelki, stoliki, miłe miejsce. I tam właśnie spada ta serwetka z początku, a przede wszystkim prowadzimy rozmowę, która nasuwa mi myśl, żeby to opisać.

Bo kiedy już przychodzimy, to nie jest miło. Coś się wyczuwa, że oni są na nas obrażeni, że niedobrze, że dlaczego my pojechaliśmy, a teraz sobie o wracamy. Dąsy, częste bardzo u rodzin religijnych, i co z nimi robić? Oczywiście robię z siebie idiotę, etatowe zajęcie, podnoszę nogę do góry, zakładam jedną na drugą. Staram się mówić tak, by zwracać uwagę. To samo robi on, zmagamy się, aż się stolik trzęsie, to jest metalowy już uścisk, może być tylko gorzej. Już czuję, że to jest ta religijność – kaplica i że najgorsze to się teraz skaplicyzować. Ale nic, jedziemy, trzeba grać, dla rodziny wszystko. Jego żona też patrzy czujnie. Z moją żoną, jesteśmy akurat blisko, ale to też może być chwilowe, więc czuję, że ta cała rodzinność to pic tak zwany socjologiczny, zaraz będzie pozamiatane, pogrzebią mnie żywcem. I tak się faktycznie dzieje. Wchodzi temat.

Jest cisza, pijemy kawę, wiatr nie jest tak mocny, jak za chwilę będzie. Chojnice dzisiaj ciepłe, okres burzowy, temperatura zmienna. I wtem...

- A tam, przy baszcie, to jest taka krowa metalowa.

...Sztuka! Temat! A nie mówiłem?

- O! – odpowiadam.

- Tak, taka do połowy rozebrana – mówi i uśmiecha się jeszcze przepraszająco.

- Ale jak to?

- Metalowa, artysta jakiś ją zrobił, chciał coś przekazać.

- Taka dla dzieci?

- Nie, taka rozebrana, skóra zdjęta.

Czego tu się złapać?



- A, to był taki artysta Damien Hirst, on zrobił taką przeciętą na pół. - Może się myłę czy ona była przeciętą na pół, ale czegoś trzymać się trzeba, zresztą nie ma to znaczenia.

Jego żona paruje:

- Ale czy to jest artysta?

- To znaczy zależy który, ten co powtarza tu, w Chojnicach... – Już wpadam w rytm, odpaliłem, może nie pokonają. Wargi uchylają więcej ze środka, już jest śmieszniej, można rozmawiać. -...bo to zależy, jak powtarza, czy Hirst? – mówię, ale jej to nie interesuje. Zamknięte. Powolnie jak krowa odpowiada:

- Każdy.

- Nie no, przecież jeden zrobił coś świeżego, odwaga... - tak już coraz mniej pewnym głosem to mówię. Liczę na to, że wcześniejszy powiew energii z dyskusji mnie poniesie, ale wtedy delikatnie z boku wchodzi Piotr, religijny mąż. Wycucie kasiarza. Bardzo konkretnie, choć miło uściśla. Stanowczo do problemu, łagodnie do człowieka.

- Sztuka to piękno, prawda?

- W zasadzie tak. - Usta mi się rozchodzą. – Ale...

- No to dlaczego pokazywać coś takiego?

- ...może żeby pokazać właśnie, że jest? Albo że można i tutaj szukać. Poza tym kontekst, nie znamy kontekstu.

- Ale powiedz mi, Romek. - Dlaczego używa mojego imienia? - Powiedz mi. – Patrzy mi w oczy. – Czemu to, co ma być zakryte, co ma być zakryte - mówi to dwa razy – jest odkrywane?

No właśnie, Piotrze. Ciekawe. Bardzo ciekawe. Ja wiem, skąd ty to wzięłeś. Z waszych jezuickich książeczek, z tych periodyków religijnych wykładanych w niedzielę. Ale wiesz, teraz, tutaj, mnie to, Piotrze, zastanawia.

Ja, Piotrze, milknę, cuci mnie to, co mówisz, bo jest świeże istanowi myśl, a myśli są cenne. I będę tak milczał, patrzył na stół, bawił się cukierkiem, którego dodali do kawy, i tylko po chwili, na moje szczęście przyjdzie z ciemnych pokoi umysłu inna myśl, którą lubię, którą, Piotr, kocham, wiesz, tę myśl. Że świat się rozszerza. Kiedy pierwszy raz braliśmy narkotyki, czułem to dosłownie, wiesz: że świat chce się rozszerzać, a świat jest dobry, więc jeśli się rozszerza, to też jest dobre, czyli że artysta, który rozszerza świat, zaglądając do krowy, to też jest dobre, a to znowu piękne. Zbieram się na odpowiedź.

- No ale to znaczy, że skoro artysta uznaje, że tam warto sięgnąć, to znaczy, że jest piękne, jego gest piękny, bo sięga, bo pokazuje!

Pomyliłem się. Na moje słowa do rozmowy wchodzi jego żona. Teoria fechtunku.

- Ale my tego nie uznajemy za sztukę.

W sumie rozsądnie. Patrząc, jacy są szczęśliwi. Że razem mają te same poglądy, że są lojalni. Czuję się co najmniej podważony i sięgam po tę samą broń:

- A Picasso?

Kuba spija łyżeczek kawy i odpowiada z takim szerszym gestem.

- No, jego dają w szkołach, znalazł uznanie w książkach o sztuce, ale czy to nie jest umówione? Po co to się robi? – rozpędza się. - Po co? To media uznały, że można go wypromować, tak? Że to jest nowe i my to uznamy za sztukę.

- Ale to jest ciekawe.

- No właśnie, ale czy piękne?

- To jest zupełnie inne postrzeganie, nowe widzenie, że wszystko jest takie właśnie płynne, ale i geometryczne. – Niestety nie mogę mówić dłużej, doszedłem do ściany. Jestem ograniczony. A on, tam po drugiej stronie, jeden z wielu punktów widzenia, szeroki jak wszystkie inne. Moja siła ograniczona, moja siła zła.

- Kwadratowe twarze, to jest jakieś zohydzenie piękna! – wcina się Piotr. Zastanawiam się. No w sumie właśnie. Piękno. I co? I dają kwadraty. Kwadratowe twarze.

- A Monet? - Cisza.

- Tak, no, on coś tam dostrzegł. – Piotr niewidocznie mruży powiekę, drobinki światła zaczynają żyć dla siebie i tańczą w powietrzu, odbijając kolory kamienic, murów obronnych, całych Chojnic, krowy na pewno też. Otwiera oczy i wraca ze swadą: – Ale krowa i sztuka współczesna? Komu to się podoba? To media... - Już mnie nie pyta nawet, czy media, choć proszę bardzo, mogę potwierdzić. - Media pokazują, co ma nam się podobać. Teraz na przykład... – Robi ręką ruch wsuwania. – Jest taka wrzutka do społeczeństwa...Ars homo erotica.

- ?

- Sztuka gejowska - uzupełnia moja żona.

- I co?

- Po co to?

- No nie wiem, zawieszam się, to jest jakaś inna wrażliwość...

- Jaka inna wrażliwość?

- Że ci ludzie jednak inaczej myślą, żyją.

- A gazety? Nie myślisz, że to gazety chcą tak?

- Dlaczego? Przecież gejów jest zawsze dużo. Dziesięć procent. To gdyby nas policzyć, jedno z naszych dzieci na przykład może być takie.

- Ale to jest ta sama wrażliwość. Jak się człowiek różni od człowieka? Jak?

Patrzę na Piotra, jego żonę i dzieci. I właśnie, myślę, kurczę, że jakoś niczym, że właśnie nie różni się człowiek od człowieka. Coś tam jeszcze próbuję mówić, ale to już mamlą raczej. Już nic z tego nie będzie. No, ma rację.

Kiedy Piotr podnosi filiżankę, zrywa się wiatr i porywa ze spodka serwetkę z napisem: „Lavazza”, którą chce złapać moja córka. To już opisywałem, dziecko ją łapie, ale serwetka odlatuje jeszcze raz.

- No dobra, to chodźmy do domu – mówi Piotr.

To wszystkim bardzo na rękę, więc rozchodzimy się do własnych samochodów, na ten sam parking, ale osobno. Cały czas tłucze mi się w głowie, że, kurczę, racja, człowiek ma tę samą wrażliwość, właśnie tak, a nie takie dyrdymały. To tak jak z moją wielkomiejskością - kiedy ją podrapać, kiedy podrapać tę moją wielkomiejskość, odchodzi płatami. Ludzie są tacy sami, wszyscy podobni do siebie, i nie ma co tak dzielić. A ja co? Dzielę. Geje, normalni. To wiadomo - wszyscy są tacy sami i potrzebują piękna. Właśnie to jest, nawet jeśli takie płaskie, branie religii z całą jej głębią. Chrześcijanie mają rację. Po co dzielić?

I właśnie wtedy moja żona chce sobie kupić stanik, stanik czy biustonosz, jak lepiej napisać? I prosi, żeby się zatrzymać. Ma wrażenie, że jej cycki opadają, i chce mieć ładne. Bardzo miła odmiana, jeśli jestem w stanie to zmienić. Ja też je bardzo lubię, lubię, jak sterczą, więc czemu mają być zwisłe? Chętnie się godzę. My z córką młodszą sobie w tym czasie pójdziemy zobaczyć kościół, starsza już chce oglądać biustonosze.

Żona wchodzi do sklepu, jeszcze chwilę stoimy przed otwartymi metalowymi koszami i przeglądamy bieliznę. Są bardzo ładne, te półkule, w kratkę, dzinsowe, ile tam by się mogło zmieścić piersi, każda może być ładna, wszystko musi być dopasowane. Za piętnaście złotych, nawet za dziesięć, Ula mówi, że musi sobie kupić dobry. Ja nie szczędzę pieniędzy, ładny to ładny. Chcę doradzać, lubię, ale po tej rozmowie nie mam ochoty. Zresztą - jest moją żoną. Czy biustonosz może coś zmienić? Życzliwie podaję kolejne, swoje robi sklepowa, też doradza, najlepsze polskie, a dla nas czas iść, idziemy do kościoła.

Najpierw do jednego, potem do drugiego. Chojnice - miasto jezuickie, tu jest cały klasztor przyklejony do starego miasta. Wiadomo, jacy są jezuici, już bym sobie poklął, pośmiał się, ale nie. Stop. Piotr ma rację. Wszyscy ludzie są tacy sami. Idę z nabożeństwem, pochyloną głową, kościoły mają mi pokazać, gdzie jest moje miejsce. Stoję jeszcze przez chwilę w progu, jestem na krawędzi tu-tam, i wchodzę. Miły chłód, ciemność, śliska kamienna posadzka, powietrze bardziej zrównoważone, delikatne, omszałe od lat modłów,

przewdychane, od razu się zmieniam. Patrzę prosto przed siebie. Na ołtarz. Jeszcze raz. Nie dowierzam. Co to?

Wielka Cipka. Wielka, o, wielka cipka. Nie żartuję. Patrzę kilka razy. Różowy kolor, barokowy styl, musiałbym poszerzyć wiedzę o architekturze, ale naprawdę, obraz główny jest ciemny, jak w cipce, z tyłu schowany, to wnętrze, droga do środka, dlatego po środku, centralnie. Z boku od wejścia, od obrazu, czy oni nazywają to nawy? No właśnie, takie falbaniaste, piękne, spadające ku dołowi, wargi większe, między tymi falbanami a obrazem - dwie kolumnienki, wargi mniejsze, na górze łechtaczka, taki tympanon, bardzo klasyczny, wpływy klasycystyczne, sam trójkąt na górze. Stoi to sobie bezwstydnie na samym środku. Jak to wszystko traktować, jak na poważnie? Moja ukochana cipka. Cipa. Ja tak lubię cipki. W kościele? Dawaj, szybko, gdzie kamera? Czy wydawca pozwoli zamieścić zdjęcie? Proszę. Wot artysta.

Myślę tak sobie w tym kościele, dziecko się bawi drzwiami konfesjonału, przychodzi po nas żona z drugą córką. Dla sprawdzenia pytam:

- Co ci to przypomina?

Patrzy na mnie ostrożnie, długo. Jej uśmiech, bardzo delikatny, wciągający, kuszący.

- Kupiłam dwa, pokazać ci?

Wychodzimy. Pokazuje mi staniki. Jest wierząca, jesteśmy dla siebie delikatni, nie chcę dopytywać, ale jest nas już dwoje, staniki rzeczywiście ładne, zbliżają piersi do siebie.

Co ja widziałem przed chwilą? Różowe, wielkie na jakieś cztery metry, z obrazem jakimś ważnym, nie przyglądałem się. I wszyscy co niedziela się do tego modlą. Co myślał ten człowiek, którego tu zawołali trzysta lat temu?

- Słuchaj, słuchaj. Zrób nam tu ołtarz, zapłacimy.

- Dobrze.

Co on sobie myślał wtedy, kiedy schylał głowę patrząc na głowy zleceniodawców na koniach, pod lekkim kątem?

- Jak prace idą?

- Bardzo dobrze.

- Pokaż.

- ...

- Ładnie, zapłacimy.

Jak się później cieszył z pieniędzy, no i z tego, co robił? W pracy artysty najważniejsze są pieniądze. To się nazywa artysta, to jest sztuka. Tam cyckami się będą żony zajmował, Piotrem. Ołtarz!

Jedziemy do naszego domku. Mnie bardzo jest wtedy podnośle. Z żoną gadam, naprowadzam na temat, nie ucieka, ale i nie dowierza, nie może potwierdzić, na wszelki wypadek, jest przecież wierząca.

W naszym wczasowym domku wszystko takie same niby. Piotrowi żona podaje herbatę, my też możemy się napić. I Piotr zaczyna znowu.

- Z tą sztuką...

No i coś tam mówi i mówi, ale ja już jakoś słucham tego piąte przez dziesiąte. Jak mogę słuchać go na poważnie o sztuce, religijnego człowieka, bardzo konsekwentnego w swym myśleniu, skoro ja przed chwilą widziałem czterometrową cipkę w kościele? To już się inaczej patrzy. Jestem bardziej tolerancyjny, oczywiście, czemu nie, owszem, ale żeby na poważnie?

- Rozumiesz, czy to jest sztuka? Że sto tysięcy uzna coś za sztukę, to wtedy jest sztuka? Ale dlaczego? Bo inni ich namówili.

Jestem bardzo dobrze ułożony. Są takie momenty, gdy człowiek zupełnie nie jest zainteresowany rozmową, a z drugiej strony nikt nie wyczuwa, że to go w ogóle nie interesuje. Przyzwolenie, zwykła dobroć. To są święte chwile, właśnie coś takiego się dzieje

I wtedy... wtedy Piotrowi wpada do wina kawałek korka. Korek. Że rozmowa jest też luźna, to możemy ją na chwilę przerwać, popatrzeć sobie w niebo. Mamy przed sobą kaszubską skarpe, patrzymy na okolicę, jest tam łąka niżej, na niej akurat ląduje bocian, kołuje jak samolocik robiony z papieru, jak ta chusteczka wcześniej, co uciekła nam w Chojnicach ze stolika, tylko że teraz wraca, siada tuż obok krowy, takiej jak ta z rynku. A my patrzymy sobie na to piękno i w dobrych humorach zawieszamy rozmowę. Piotr kręci się obok stolika.

- Tu obok była kiedyś szpilka do namiotu - mówi, znajduje ją, wkłada do wina i szuka tego korka.

Bujam się na krześle, delikatnie wszystko, Piotr wyjmuje szpilkę, nie udaje mu się, korek dalej w środku. Jeszcze raz próbuje, prawie, prawie. Jeszcze raz. Coś mu przychodzi do głowy, patrzy na mnie i po tym chwilowym zawieszeniu kontynuuje, na poważnie cały czas trzymając się wątku:

- A zobacz, w takiej butelce statek wyrzeźbić, to jest sztuka. Zobacz, ile to rzemiosła, pracy, kunsztu... No.

# TELEFON SPRZED DEKADY

Bandaż i kotka. Cały wieczór po operacji nasza kotka chodziła po domu i bawiła się bandażem, który wystawał jej z oka. Ona, kot. Jaka jest różnica między człowiekiem a zwierzęciem, skoro z perspektywy mówi się o nich po prostu w trzeciej osobie? Wina, wstyd, stygmat – typowo ludzkie pojęcia. Przeżytek. Mieliliśmy nawet kota bez pierwszej łapy, który tą swoją nieistniejącą łapą wygrywał całe wojny na osiedlu, łapał nią muchy, zmarł i nawet nie zauważył, że jej nie ma. O, nie ma łapy. I ta też nie miała z tym kłopotu.

Wysnuwała sobie bandaż z miejsca po oku, jakby to w ogóle nie był kawałek głowy, którego nie ma. Jakbyśmy kilka godzin wcześniej nie poszli do weterynarza i nie poprosili, żeby wyjął jej oko, uprzedzając to, że wcześniej czy później samo jej wypłynie z powodu choroby. Bawiła się tym bandażem jak przędzą przygotowaną wcześniej przez dzieci dla wspólnej zabawy, sprawnie, stworzona przecież po to, by walczyć, polowała na własną głowę, na to, co z niej wychodzi. Biały pasek materiału ciągnął się nawet pół metra za nią, nieco brudny od środka jej głowy i podłogi, a jej się wydawało, że to ona na niego poluje, i bach go, zza rogu. Przyczepiły się kurze, dawaj, cap-trach pazurami, przewracała się na brzuch i tryk, tryk, tryk, tryk, wszystkimi łapami atakowała ofiarę.

Bandaża było coraz więcej, aż przed zmierzchem, gdy plamy słońca na podłodze zaczęły blaknąć, wyjęła go całego. Położyła go obok siebie na kanapie jak nowe obce ciało, jakąś myszkę, którą koty przynoszą, żeby się pochwalić, że niby myszka, ale trupek, i zasnęła. Ciężkim, ślepym snem na całą noc.

Nie wiem, czemu przypomniało mi się to teraz. Zszedłem rano zaciekawiony, znalazłem kotkę na stałym miejscu i z większą niż zwykle, w ogóle zauważalną czułością, podszedłem do niej i wsadziłem jej palec w pusty oczodół, który został po tamtej historii. Palec wszedł do pierwszego zgięcia, miłe czarne futerko objęło go ze wszystkich stron, a Muza, nasz kot, zaczęła mruczeć od tej wątpliwej dla mnie, ale nie dla niej pieszczoty.

Tak sobie myślę. Może ten obrazek przypomniał mi się z powodu telefonu, który odebrałem wczoraj wieczorem. Może? Leżałem już w łóżku, dzień, który się skończył, nie miał żadnych szczególnych cech, a wszystko, czego chciałem, to spokojnie odejść pod ciepłym, dzieciennym ciepłem kołdry. Nie czytałem, nie gasiłem światła, nie ogarnął mnie stupor, codzienne nic. Mimo to, gdy zadzwonił Darek, zdziwiłem się.

Podszedłem do biurka, posłuchałem i w duchu już po chwili zacząłem wyć. Mrowiło mnie w całym ciele, rozrywało wszystkie kończyny energią, która należała do kogo innego. Co za nudny gość.

Minęło dziesięć lat, a on dalej nie był sobą, jego kaczkowaty głos działał na mnie – i to nawet gdy się śmiał - jak śmiech niewolnika: wesoły, usłużny. Z ludzi naprawdę można robić stoły. Oczywiście Darek nie służył tylko mi, ale wszystkim, co go słuchali, którym zdarzyło się przechodzić obok niego, a najbardziej jemu samemu: „śmieję się, jestem usłużny, jestem, jestem”. A był, wiesz, wiesz, wiesz, takim proszącym niewolnikiem. Służba! Ha, ha.

Dzwoniąc do mnie, Darek nie miał do stracenia nic. Byliśmy dla siebie nikim, znajomymi z angielskiego. Teraz stracił nawet tę zewnętrzną formę osoby zaledwie co rozpoznawanej. Rozlał się tam, tam stawy i kałuże mówiły, więc aby się pozbierać, zaczął od samego konkretnego. Czy pamiętam taką Agnieszkę, co chodziliśmy z nią na angielski? Czy mam do niej kontakt? „A w ogóle, to co u ciebie słychać, no jak tam żyjesz? A ty socjologię, no właśnie, na studia, dalej w Pruszkowie? No, nie, ja pracuję trochę, tak i gram, gram w kosza. Wiesz co? To gdybyś znalazł ten telefon, no do Agi, to daj.”

Drżałem, a każde jego słowo, każda linijka tekstu, którą wypowiedział, była jak bicz na moje skręcające się w bólu ciało. „Dobra, dobra, Darek. Jak znajdę, a na pewno go mam, mam, mam, bo mam stare notesy, to ci dam, dam, dam. Rano. No spokojnie, to rano się odezwę. Tak, tak, możemy się spotkać, czemu nie, na piwo. No.”

I Darek odłożył słuchawkę. Cześć Darek. Jezu. Ja się wcale sobie nie dziwię, że się tak zmęczyłem. Kategoria: dziwny telefon, dziwni ludzie, ci, którzy akurat mnie nie otaczają. Kategoria: przeszłość, nieistnienie. Młodzież powiedziałyby: „holokaust”, a to po prostu coś nie stąd, nawet nie z zagranicy, coś bez celu. Gdy chce się iść spać, a oni atakują, to jest zamach na samopoczucie. Na moją dobrą kiełbasę, którą zjadłem wcześniej, i to, że na przykład mogę czytać. A tak? Co ja teraz mam robić? Przed snem?

Darek, Aga. Wygodnie ułożyłem się w łóżku. Zgasilem światło. Przykryłem kołdrą. No fakt, Darek kochał się w Adze. Agnieszka była studentką architektury. Krótka obcięta, raczej męska, z tyłu to, że to dziewczyna, poznawało się tylko po jej zaokrąglonej pupie. W sześćdziesiątce piątce stała ze mną często na przystanku na placu Zbawiciela. Kościół dominował ciemną, wieczorną ścianą nad całą ulicą, a my dyskutowaliśmy o kapitalizmie. Chciałem nosić niebieską flagę, pamiętam, naszytą na swoją parkę, niebieską, bo niebieski to wolność, liberalizm. Myślałem sobie często wtedy, był taki okres, że szedłbym Krakowskim Przedmieściem i ludzie, tacy lepsi (teraz myślę, że mógłby być to na przykład jakiś rząd, ława bliskich sobie ludzi, idących całą ulicą, i gdyby ktoś ich mijał, przechodził obok, musiałby

widzieć, jacy oni są, jak idą z krakowskiego na UW, ci myślący o liberalizmie lepsi ludzie) mijaliby mnie i musieliby myśleć też o tej niebieskiej fladze, co ona oznacza, a potem wpadaliby na to, że to liberalizm. I zwróciliby na mnie hojną uwagę.

Broniłem wtedy „Pizzy Hut” przed Agą, że to może i korporacja, ale oni też kiedyś zaczęli i nie ma co ich dławić. Byłem zaangażowany. Aga mówiła, że no fakt i przekaże swojemu chłopakowi, anarchiście, Arkowi. Potem jeszcze spotkałem Arka, kilka lat później, jak z Brylewskim robili imprezy pod mostem Grota, jak przecinali kłódki i jaka tam była muzyka, oni na przęśle mostu, a na dole techno-punk w kurzu startym na mączkę z olejem. Tak, był też tam Darek, wybierał się na kosza cały czas, cały czas namawiał wszystkich i teraz dzwoni.

Minęło dziesięć długich, tłustych kapitalistycznych lat, fortuny się rodziły, ludzie zaczęli się wstydzić, że żyli w latach dziewięćdziesiątych, a on? Dzwoni. To było silne uczucie, pamiętam. Darek - spętany niewolnik nigdy nie odważył się przed nią otworzyć, powiedzieć. Darek - wiesz, takie tam. Ale zawsze w salce metodystów siedział blisko niej, opowiadał o komputerach i podrzucał zeszyty. Śmieszne.

Właśnie, kto tam jeszcze był? Pamiętam, że byłem w ostatniej klasie Technikum Gastronomicznego, a żeby się zapisać na ten angielski, pomijając pieniądze, trzeba było stać na ulicy całą noc, takie były kolejki. Siedzieliśmy w arkadach tego placu, tam, gdzie teraz są te modne knajpy, i rozmawialiśmy. Cały wieczór rozmów. „Czemu chcesz się nauczyć angielskiego?”. Jakiś gość, teraz pamiętam tylko kontur głowy, kwadratowe ciało, zarys brody, odpowiedział, że chce czytać sonety Szekspira w oryginale. Ja chciałem wiedzieć, co się dzieje na świecie. Ludzie, ci lepsi, jak zwykle gadali.

Rozłożyłem sobie gazetę przed słupem ogłoszeniowym, zawiązałem kaptur niebieskiej bluzy – o, ta bluza łączy mnie z wtedy z teraz – i położyłem się spać. Teraz też, właściwie zawsze mam taką niebieską bluzę z kapturem. Gdy przyszedł świt, rozwiązałem kaptur i sprawdziłem miejsce w kolejce. Tam odkryłem, że się ze mnie śmieli, kiedy tak polegiwałem zwinięty w kłębek z otworem na usta w niebieskiej powłoce. Potem wyczekałem, żeby zadzwonić do mieszkania mojej dziewczyny, z którego ciepło czuć było jeszcze przez słuchawkę w budce telefonicznej, i wróciłem do stania.

Ale zaraz, zaraz, trzeba wrócić do Darka, do ludzi z angielskiego, przecież przypominam ich sobie dla Darka. A korytarze? Jakie tam były w tej kamienicy korytarze? A ta Angielka, która nas uczyła? Wszyscy ci ekspaci z wtedy to byli fantastyczni ludzie. Tłumaczyliśmy piosenki „U2”, „Kingdom come” – co to znaczy. Gdy mówiłem, że Królestwo Niebieskie, mówiła mi, że nie rozumie, „Blue, blue – don’t understand”. Nie była katoliczką.



A teraz? Leżę na łóżku. Kto tam jeszcze był? Właściwie to się nawet ożywiam zamiast spać. Ta czarna, która dobrze się uczyła, dostała nagrodę, miała piękne zeszyty, pisała w A4. I ta, której ja się podobałem. Wtedy przyniosła artykuł z „Polityki”, że Meller podróżuje przez Afrykę stopem i ona też tak chce, a potem zdawała, zdaje się, na weterynarię. Miałem pomarańczowy zeszyt, ona siedziała po skosie i choć wiedziałem, że ta blondynka o nieco tłustawej cerze patrzy na mnie z sympatią, nie pozwoliłem sobie na zdanie z tego sprawy.

I kto jeszcze? Byli ci po prawej, właściwie gamonie. Często nie umieli, i to aż tak, że byłem zdumiony, jak można być idiotą do tego stopnia, a Angielka nie miała. Kto tam jeszcze?

Te korytarze, kiedy się wychodziło. To, że Arek często czekał na Agę (jak Darek musiał odbierać Arka, jej chłopaka?) i potem szli razem gdzieś, na manifę czy potańczyć. Jak wtedy poszliśmy do „Hybryd”, to oni siedzieli przy stoliku, wszyscy siedzieli, tylko ja tańczyłem ska w swojej niebieskiej bluzie. Sam na parkiecie. W niebieskiej bluzie. Moda z wtedy. Mamy 2010, piętnaście lat później, i w zasadzie wiele się nie zmieniło, jeśli chodzi o alternatywę. Lubię alternatywę.

Arek też miał sprawę o pobicie policjanta na jakiejś manifestacji. Oni i mnie wciągali w te sprawy. Kiedy poszliśmy na manifestację pod UW i złapała mnie policja, dostałem mandat (esbeckie metody) za to, że utrudniałem ruch pieszy, wzięli mnie w kółko i kazali mówić. Psy. Albo kiedyś na manifestacji jakiś brodacz mnie spytał, czy bym nie chciał na spotkania anarchistów. Dlaczego wyłowił ładną dziewczynę w kurtce z koca i mnie? Bo miałem francuską parkę z napisem: „Public Enemy”?

I potem ta Komuna Otwock. Ktoś z nich użył sformułowania, że to jest „metafizyka napierdalania”. Był też ten czarny następny, Rymarczyk. Czytałem ich pisma. Pamiętaj to, pamiętaj. No, ale jeszcze ten angielski. Co potem? Kto, jacy ludzie?

Tamten angielski bardzo lubiłem i wszystko zaczynało się teraz pamiętać, jedno prowadziło do drugiego. Ale ja nie chcę teraz poza angielski. Darek. Wracaj do Darka. Nie wychodź poza angielski.

W którym to jest zeszycie, ten telefon do Agi? W skrzynce. A skrzynka gdzie? W garażu. Trzeba tam iść. Lecieć. Ja tu, w ciemnym pokoju, wszystko jest możliwe. Odbij się, odbij od tego. Ściana pokoju, framuga, potem sufit, trzeba się tak odbić, żeby przelecieć do ściany przy schodach i tam trafić pod kątem w dół. Potem jakoś do garażu. Czy zamknąłem drzwi?

Lot. Na początku trudno jest się oderwać od ziemi, trudno sobie wyobrazić, że to możliwe. Lecę, lecę, grawitacja mnie ściąga i znowu wracam do ziemi, do głów. Aga, Arek, Darek, czarna i blondynka, tamci z prawej, Angielka. Na jakie angielskie jeszcze chodziłem? Kto tam jeszcze był? Ta z sąsiedniej klatki bloku, co jej ojciec był w służbach, jako

dziewczynka bardzo ładna, potem z każdym rokiem brzydła. W tamtej klatce mieli największe mieszkania. Co się w tej salce jeszcze działo? Kilkanaście osób, ona, mój przyjaciel, o którym nie ma co pisać, bo jest w moim życiu nadal, i poza tym nikt. Ta głupia baba sprzed tablicy. Odbij się od nich, odbij. Każde wspomnienie ściąga w dół. Ja muszę lecieć po notes.

Szybuję coraz dalej. W górze jest zawsze nieco zimniej. Powietrze świszczy delikatnie między dziurkami od guzików, poły kurtki i szerokie spodnie falują, rozpędzam się. A gdyby tak zrobić fikołka? Skłaniam głowę, ciało się przechyla, obracam się, trzeba kilka razy machnąć rękoma, aby znów nabrać wysokości. Źle obliczony skok, zamiast się rozłożyć, skręca mnie z powrotem do ziemi, do angielskiego.

Wracam. Takie postacie. To już z innych zajęć. Salka jest biała, siedzimy w podkówkę. „jak jest po angielsku tramwaj?” Facet w garniturze, któremu zależy, szuka, szuka. „Der Tram”. Ale musiał być żądny wiedzy, pracował w korporacji, chciał wiedzieć więcej. Garnitur chyba miał prążki, zresztą angielski był o ósmej rano, więc dla desperatów. Wielki zegarek. Moja dziewczyna chodziła do Berlitz.

A gdyby tak skoczyć jeszcze raz? Rozbiegnijmy się tam. Zawsze kiedy się lata, nie można skręcać w trakcie lotu. Ciało ma zbyt dużą bezwładność, żeby móc nim manewrować, dlatego latanie w zamkniętych pomieszczeniach jest trudne, przypomina pływanie w bardzo małym basenie. Czujesz się jak uwięziony. Odbijam się w tej salce od framug drzwi, ławek, staram się nie wybić okna, odskakiwanie jest precyzyjne, ale znowu ląduję. Czy uda mi się polecieć po notes?

Kto jeszcze chodził na angielski? A, ci. Ta grupa ludzi. Magda. Magda też się we mnie zauroczyła. Takie rzeczy zawsze spychałem nieco na bok, jakby nie widząc. Szedłem sobie, widziałem uśmiechniętą twarz Magdy, jej piękne pucułowate policzki na okrągłej, małej główce. Była bardzo kobieca. Na plecach nosiła kostkę, popularny wtedy plecak.

Poszliśmy chyba wszyscy raz nawet na piwo. Z dziesięć osób, na pewno był tam ten, który kochał się w Magdzie, Zbyszek powiedzmy. Nie pamiętam imienia, ale pamiętam jego zdjęcie legitymacyjne, przecież pokazuje się sobie zdjęcia legitymacyjne. Twarz biała, nigdy niemodne okulary, miejsce urodzenia: Bolimów albo jakoś tak. Magda go nie widziała, jego uczucia. Jej wujek był aktorem, już wtedy prowadził znany turniej telewizyjny z rodzinami, ciekawiło mnie to. Gdy szliśmy tym pasażem za Domami Centrum, pytałem o to, ale nie ożywiła się, a nawet ją to denerwowało, traciła do mnie szacunek. Była wiele lat młodsza. Trzy? A mimo to chwytła takie niuanse.

Gdyby się tak rozbiec... Raz, dwa, trzy. Może najpierw ugiąć kolana i się wybić. Znowu pod dachem, w tej salce Empiku w Domach Centrum, tu można dłużej polecieć jedynie przez

korytarze, a potem w dół. W dół to nawet nie trzeba było próbować latania, żeby było fajnie, a po prostu tak na żywo, spadać w dół. Z półpiętra na dół. Siedem pięter. To była zabawa. Jestem na chodniku, zaraz przyjdzie reszta. Trzeba dotrzeć do garażu. Po notes. Po telefon. W garażu te pojemniki są pod piecem, nawet notes z tym telefonem jest przytknięty do przezroczystej ścianki jednego.

A ta, co się w niej zakochałem? Co nic nie kumała. Olśniewająco piękna dziewczyna, ruda, z twarzą jak patelnia. Każda dziewczyna chciałaby taka być. Biała jak śnieg. Idziemy, dopałałem się do niej, przez Park Saski i jest bardzo zielono, a ona jest taka żółto-biała. Tak chciałem się z nią kochać, pożałem jej, do teraz jej pożałem, choć nie pamiętam z niej nic. Skaczę po drzewach, z jednego na drugie, to raczej kilka wielkich kroków i podbicie, bo między gałęziami trzeba się już tylko sprawnie poruszać. I dalej. Dochodzimy do bramy, co tam kiedyś było MZK, i w tej bramie się z nią rozchodzę. Przypominają mi się jeszcze jacyś ludzie, salki. Nie mogę zapomnieć, chłopak dzwonił, muszę ruszać do garażu. Po notes.

Ten pilot, który został wzięty do Stanów Zjednoczonych na jakiś staż czy ambasadę i się musiał podszkolić. Dziwiło, że był burakiem. I ta mądra, co zawsze miała zdanie i była lepsza, także językowo.

Decyzja. Wylatuję oknem. To już karkołomne jest, może i pomieszczenia ograniczają, ale też dają bezpieczeństwo. Dobrze, że tam był niżej jakiś taras i można było co jakiś czas uwiesić się na fasadzie. Wracam do Darka, do kościoła Świętego Zbawiciela, jest tam ciemno, granatowo, tak jak teraz, tu, w łóżku. Nie wiem już, czy się wznoszę, czy spadam. Krąg się powiększa. Najważniejsze to mieć rozłożone ręce, nie tak, jak do nurkowania albo wniebowstąpienia, bo to jednak zmniejsza sylwetkę, wypłaszcza i unieruchamia stawy, co jest najważniejsze, tylko szeroko, bez dna – jak najszerzej wszystko. Gwiazda. Robi się powoli błękitnie, ha, ha, niebiesko, wolność. A jednak góra. W górę! Darek, ten zeszyt, tam jest telefon do Agi. Dotrę. Tracę świadomość. Czy mam notes? Czy mam notes?

Rano wstał ładny dzień. Błękit nieba aż raził, otaczające nas powietrze było rzeźkie ostrością rozpuszczonego światła. Podszedłem do okna w salonie, tam widać dzień, i lekko skręciłem ku fotelowi, gdzie siedział kot. Przypomniałem sobie wczorajszy telefon, popatrzyłem na kota, wsadziłem mu ten palec w oko, tak znikąd. No bo skąd? A potem wybrałem nim numer, który się wczoraj wyświetlił i Odpisałem napisałem sms-a: „Darek, sprawdziłem, ale nie mam tego numeru. Będzie dobrze, 3maj się”. Nad „3maj się” pisanym właśnie w ten sposób trochę się zastanawiałem, ale wydało mi się to so nineties.

# DROGA REDAKCJO

Leży na podłodze. I płacze. To nie moja, kurwa, wina, że płacze. Rozsypują jej się włosy jak bierki i to ciało w zygzaku. Jak ciała z zajęć pierwszej pomocy. Bezwładne, pozakładane na siebie ręce, nogi, skrzywienia. Bierność wielkich łyd, szyi, bierność ramion. Oddycha? Wstawaj, kurwa. Patrzę na nią, chwila płaskiego jak podłoga spokoju, dwa, trzy oddechy i wszystko się znowu odwraca, kolejne warstwy powietrza łamią się, zachodząc na siebie, woda zaczyna się gotować. Każda komórka puchnie. Wrzy. Stół, na którym trzymam rękę, herbata na nim, krzesło, ubranie. Wszystko swędzi. Muszę natychmiast zerwać z siebie to ubranie, sapię. Biała koszulka lepi się do ramion.

Ona tu jest. Ona cały czas tu jest. To przykryte włosami coś. Monotonne buczenie na podłodze nie ustaje, wzbiera i znowu wybucha spazmami. Wstawaj! Wojskowe komendy. W tę i z powrotem, w tę i z powrotem, chodzę po domu i nie mogę do niej podejść. Ściana. Nie mogę jej podnieść, kopnąć, nie mogę, odstraszenie, siła silniejsza ode mnie. Mogę uderzyć się w głowę, kilka razy sam. Uderzam się w głowę, otwieram wszystkie możliwe drzwi w swoim ciele, wszystko, co zagradza drogę z brzucha. Przełyk, przepona, sztolnia, z ciemnego środka dobywa się głuchy szum. Szare wzburzone morze uderza o betonowe nabrzeża. A jednak nie. Schodzi na dół, jej długi zielonkawy szlafrok majestatycznie sunie za nią po każdym ze stopni i tworzy tło dla całej jej postaci.

- Cześć – ogłasza.

Jej włosy, faktycznie, jak bierki. Regularne, chwilę przed wyschnięciem. Teraz ułożone w proste kreski, po kolei. Czajnik gwizdże, zalewam herbatę, odwracam się do niej i łagodnie, miło, pozdrawiam:

- Witaj, Małgosiu.

Wchodzi do kuchni, bierze swoją herbatę, próbuje mnie pocałować i zadaje pytanie.

- Jedziesz dzisiaj sam czy ze mną? O której wychodzisz?

- O dziewiątej. Ale pojedę metrem.

Śpieszy się, niewiele rozmawiamy. Gdy wychodzi, jestem pod prysznicem. Chłodna woda oblewa ciało. Stygnę. A wcześniej? Piekący policzek. Płonące pole. Ile siły musiałbym włożyć, aby się przewróciła. Zamachnąć się? Czy może lepiej bez zamachu. Ściany się przysuwają, przesuwają podłoga. Łokcie. Czyli musi być zamach. Podbiec między dwiema ścianami. Zdążyć, nim zsuną się do siebie. Nim stracę zasięg. Ściany schodzą się tuż przed nią. A może z ciasnoty, właśnie z tego bunkra, z karceru spróbować? Pięść? Przypierdolić pięścią.

Czy ten ból ma piec, czy odezwać się gdzieś w zaciśniętym przełyku przełykaniem kamienia? Fizyka ciał stałych. Co potem?

Ubieram się. Chłodna już kawa smakuje rezygnacją i obojętnością. Kubek tego gówna wypełnia mi brzuch. Złość mija. Gdyby komuś coś złego robić, mogę się przyglądać. Wychodzę z domu. Jadę do pracy.

W pracy wszystko jeszcze raz wraca. Jeszcze kilkanaście lat temu bym się za to zastrzelił. Może przesadzam, to pewnie kwestia pica, ale dzisiaj nie słyszę nic łagodniejszego. Wystarczy, że otwieram komputer, one naprawdę nie otwierają się teraz tak długo, a myśli znów uderzają gorącem.

Moment przed snem, gdy człowiek nie śni, a obrazy już widać w głowie. Szybkie, intensywne, co wieczór w innym temacie. Chwila później zabierze je sen. Niszczę ją na tysiące sposobów. Biała broń, broń kamienna, nawet maszyny rolnicze. Systemy dźwigni, które uruchamiają szczęki wideł, podbieraki, rozety do rozrzucania siana. Czarne, przykryte kurzem i olejem przekładnie, zamszowe od kurzu - i to wszystko na nią. Z sadystyczną radością wyobrażam sobie moją rękę, która odbija się od delikatności pleców mojej żony. To musi boleć.

Ale nie zasypiam, w końcu otwiera się komputer i biały ekran przerywa marzenia. Jestem tu i z tego właśnie powodu, dzisiaj proszę, żebyście przyjęli to poważnie, moje wymówienie. Najogólniej mówiąc, widzicie, jaki jestem już zmęczony? Czy mam wam powiedzieć, że mi się już nie chce nauczać, że czuję się niewłaściwą do tego osobą?

Zrozumiecie? Czy mam uzasadniać to jakąś bzdurną pisaniną, sytuacją życiową, tak, trudną z uwagi na okoliczności, obowiązki zawodowe? Czy to musi brzmieć jak nekrolog? Ja chcę tylko odejść z pracy.

Mam pięćdziesiąt lat. Wciąż jestem zaangażowany. Ale jedyne, co mnie angażuje, to jak pobić własną żonę. A gadam z zaangażowaniem do tej kamerki, piszę zaangażowane felietony i udaję zaangażowanego Salomona. Yeah! Kurwa. Salomon. Zwłaszcza teraz. Mamy edukować. Tak sobie powiedzieliśmy lata temu. W tej chwili brzmi to dla mnie tylko jak tandetny totalitarny plakat. Narzuca się, drażni. Reklama pobicia własnej żony.

Co mi powiecie, że wtedy była inna wrażliwość? Panowie. Nie mówcie tak, bo każę wam spierdalać. Że co? Że trochę się już pozmieniało? Tak. No właśnie. Na przykład myśli w mojej głowie. Ja je widzę już od lat. Stopniowo narastają. Czy wiecie, że mam w domu różne narzędzia? Rano kroję chleb, używam siekiery, czytam Dostojewskiego? Rozumiecie to? Komedia, co?

Tak, wiem, że zaczęliśmy sprzątać w naszym kraju. Że była robota. Dostaliśmy szary bazar bez niczego, co by stało nieco nad nim, żadnych znaków, breja i trzeba go było, przepraszam za żart, pokolorować. Ja wiem, ja wiem, chłopaki. Wzięliśmy to na siebie, tu naprawdę nie było nikogo, kto byłby w stanie posprzątać to gównno, kto chciałby czegoś innego, niż szybko się najeść.

Ja wiem, co wy mi powiecie, co mi przypomnicie, że powiedzieliśmy sobie uroczyste, u Janka Zybermana, wiele razy, że nasza naczelna sprawa, małe rzeczy, pokazać, jak jest u innych, że kolorowe, dobre życie. I powiecie mi, że robiliśmy to. Ale jak wy mi to będziecie mówić, to ja będę miał przed sobą tylko jeden obraz. Ten, co już wam opowiedziałem.

Dacie sobie radę. Macie tych nowych. Zresztą przychodzą kolejni. Jak to jest, że ludzie dadzą się oszukać z łatwością ślepcą, byle dał im nadzieję? Przychodzą ze swoją świeżością i nienawiścią do wszystkiego, co przeszkadza im kochać, i wy tam jesteście, pokazujecie im, co ich krępuje, co powinni zmienić, co skorygować. To jest dobre. Ale każde ich słowo, każde ich natchnione zdanie o podniesionym tonie przypomina mi o moich jałowych obrotach. Tak. Nie jestem szczery. To się da zobaczyć. Ja bym zobaczył.

Czujecie to? Myśli nad Warszawą mają wyjątkową gęstość. Czy nie macie wrażenia, że to może przechodzić do moich tekstów, że w moim oku to może być widać? A jak te myśli przychodzą mi do głowy codziennie, kilka razy na dzień, to czy wszystko, co robię, nie ma tego zabarwienia?

Mówię wam, patrzę na nich wszystkich z naszego programu „Polska się kocha”, te wszystkie mamy, ojców z jednym oczkiem nie tak, lesbijki i artystów. Ja już nawet mam wrażenie, że gdzie byśmy ich nie zaprowadzili, zawsze będą nieco spoceni, obolali, troszeczkę oślepieni. Jak mówię, te wszystkie nasze rzeczy, te nasze things, to niestety, uwierzcie w mój ból, nie widzę ich tak, jak mówię, raczej właśnie jak te worki, jak żonę. Wszyscy mieli te same trociny, to wszystko my żeśmy włożyli w ich usta, w najlepszym wypadku chcę wyciągać im te słowa z ust. Mnie się nawet nie chce z nich kpić, to moje dzieci. Rezygnacja, gorzki zawód. Jestem zmęczony.

Tak. Bądźcie mi wdzięczni, jeśli to wam potrzebne. Długoletni pracownik. To dzięki mnie pół Polski je teraz bardziej zdrowo, częściej chodzi do kina, częściej stąd wyjeżdża i, właśnie, młode małżeństwa ... Zresztą co ja będę opowiadał. Jest o tym cały mój program na portalu, sukces naszej redakcji. Zawsze pytałem, czy im jest w życiu dobrze. I wiecie co? Chodziło mi o takie wywołanie intymności, żeby wszystkim było miło, wcale nie żartuję. Żeby naprawdę mówili, czy jest im dobrze. Jak można mówić z wnętrza i nie być naiwnym? To jestem. No i to pytanie, krążąc, odbijając się od tych ludzi, padało też do mnie.

Pamiętacie tę akcję, jak nagłośniliśmy, że matka trzydziści lat chowała chorego syna w pokoju bez okien? Idiota. Taki jak ja. To ten mur spękał. Chciałbym być w waszej sytuacji. Pewnych, stalowych, ironicznych. Śmiejecie się z takich jak ja teraz, ale co mam innego niż te gówniane proste słowa? Które mnie kruszą.

Przyjęliśmy na siebie pewną misję, napisaliśmy na ścianie, zawsze też mogę zajrzeć do kodeksu, nie raz drukowaliśmy go w gazecie, że potępiamy ciemnotę, szowinizm. Zresztą ja każdy artykuł do tej pory wewnętrznie oceniałem pod tym kątem, żeby nasza misja szła do ludzi, mam to w głowie. Przybliżyć kraj do świata, gdzie przemoc w rodzinie, chamskie napierdalanie jak za pańszczyźnianego chłopca jest zjawiskiem przeszłym, gdzie ludzie rozumieją się jako niezależne, samodzielne podmioty, decydujące same o sobie, w jakie związki wchodzą, na jakich zasadach i jak z nich rezygnują.

To są moje wybory. Znacie mnie. Przecież to ja, o czym z dumą chciałem powiedzieć, pisząc to wymówienie, DROGA REDAKCJO, w dużej mierze tworzyłem nasze środowisko. Z pewnością pamiętacie, że to ode mnie się zaczęła akcja. „Widzisz przemoc – daj znać” i ja też animowałem akcję „Młodzi się nie biją”. Ale teraz? Jak ja to mam teraz dalej robić? Wierzyłem, że kiedyś zrobi się czysto. Że posprzątam, damy ludziom czyste sztandary. Dziś jest jeszcze bardziej brudno. Kolorowy śmietnik. Myślałem też, że gdy są kolory, będzie więcej radości. Ale nie. Bardziej drżą ręce i oczy chowają się w głąb.

Dzisiaj faktycznie ją uderzyłem. Nie mogę tu dłużej przychodzić. Każda rzecz tutaj jest mi obca. Przyznawałem się do tego powoli, ale dziś jest koniec. Za miesiąc odezwę się w sprawie szczegółów, pracowniczych akcji, odprawy. Wykasuję też wasze telefony. Nie martwcie się o mnie. W Beskidzie obok domu mam szkołę, w której mogę uczyć. Czy ja się przed wami muszę tłumaczyć? Teraz muszę się nią zająć. Policją, jej skargą.

Ja wcale nie tchórzę, to i tak by wyszło, prędzej czy później. Akurat tak się złożyło, że przyjechała prasa, tak, te hieny zrobiły zdjęcia. Wiecie, to na pewno wyjdzie.

Renomowany dziennikarz, podpora i oaza. Ale nie myślcie o mnie źle. Znamy się. O sobie też tak nie myślcie. Ja to już dawno chciałem zrobić. Nie chciałem robić kłopotu. Biłem się z myślami, no i dzisiaj akurat się nadarzyło.

Powiedzcie, że się odcinacie, że już złożył wymówienie. Weźcie kogoś młodego, żeby to zagadał. Młodym wszyscy wierzą, niech nie gada za cwano. Trochę zmieszania na twarzy. Ja zresztą nie wiem jeszcze, co tam będzie w tym szpitalu. Obojczyk chyba czy coś, to nie wymaga wielkich występów. Traktujcie to jak pożegnanie. Wódki nie będzie. Do biurka też już nie podchodźcie. Wychodzę w tej chwili. Przy wyjściu jeszcze na was popatrzę. Sie ma chłopaki.

Zawsze Wasz.



# CZEŚĆ GARDEROBY

Jest około dwudziestu ośmiu stopni. Duszno i słonecznie. Choć mam ochotę je założyć, nie mogę. W taki dzień mogłyby się kleić, a kiedy się kleją, czar pryska. Staje się zetlały jak poranne ognisko, które nie wiadomo czemu już nie jest takie miłe, a wszystko wokół się klei od słońca, popiołu i potu na pustych butelkach po wczorajszej imprezie.

Tak, w czasie upałów mi nie pasują, oblepiają się, są zbyt obcisłe i czuję, że to jest jednak żart, wygłup, który niszczy radość, gdy je zakładam w dni bardziej chmurne, przewiewne, ciemniejsze. Trochę takie jakby w stronę nocy. Bo kiedy trafię na odpowiednie zachmurzenie, wilgotność, a nawet ciśnienie, wtedy bywa jak przy ognisku – wieczorem, owszem, magicznie.

Wyglądasz przez okno, wychodzisz na taras, szlafrok się rozchodzi, chłód biegnie po nodze w górę, wiatr owiewa twoje ciało i przynosi jesień, liście chcą się urwać z drzew, całe gałęzie nawet chcą na wolność, źle się oddycha, trzeba wracać i już wiadomo, że jeśli nie z powrotem do łóżka, jeśli spodnie są uprane, to dzisiaj jest dzień, żeby je założyć. Pocałunek.

Z pozoru nie ma w nich nic szczególnego, ale przecież bardziej niż swojej głowie wierzę ciału. Gdy je zakładam, moje nogi w jednej chwili stają się bardziej elastyczne, podobne do nóg sportowca czy lekkoatlety. I gdy, siedząc później, w fotelu w pracy, rozszerzam je, czuję, że w zasadzie jest to szeroki ką, którym mógłbym objąć bardzo wiele, a nawet być może wszystko, bo nogi rozszerzają się dalej i spotykają po drugiej stronie – od pleców. Wtedy myślę, że magia jest tu, na moich nogach. Buzi.

W środku, przez tunele nóg, przejeżdżają całe pociągi światła, podróżujący ludzie śmieją się, są rozluźnieni, zadowoleni i podniśli, rozmawiają ze sobą i trwa wielkie święto. Dzielą się kanapkami, czytają wspólnie gazety i pędzą mrocznymi przestrzeniami w pięknych świecących luxtorpedach, by spotkać się z jeszcze innymi, jeszcze bardziej przyjaznymi ludźmi. No chodź.

Co pasuje do moich spodni? Cóż, zawsze noszę te same buty. Firmy „Otmęt”, beżowe na wzór angielskich butów pustynnych, bardzo klasyczny krój. Za kostkę, zamszowe o dobrze wyprawionej skórze. I akurat, proszę, pasują. Góra? Nie skłamię, jeśli przytoczę tu znane nasze przysłowie: „Za mundurem panny sznurem”. Na górze do spodni dokładam zieloną koszulkę, dość powszechną w niektórych kręgach. Demobil Wojska Polskiego. Bacność. Jest niepozorna, z dobrej gęstej bawełny, krój właściwie żaden, uszyto ją, a poza tym nic, brak jej idiotycznych nadruków, fanaberii. Dość dobrze leży na w miarę, w miarę, trzeba przyznać, niegrubym i zachowanym, gnącym się teraz ciele. Ale i tak najważniejsze są spodnie.

Niewiele wiem o ich wcześniejszym pochodzeniu. Zwązają się nieco ku dołowi, z tyłu mają dwie kieszonki, jedną zapinaną guziczkiem na trójkątnej naszywce zachodzącej na kieszeń, druga jest bez zapięcia. Z przodu kieszenie schodzą pod kątem w dół, nieco inaczej niż w dzinsach, gdy wkłada się do nich ręce, to lecą w dół i nie sięgają dna. Materiał, z którego je wykonano (być może bawełna, być może len, nie znam się na szczegółach), jest delikatny, miło się gładzi ręką i daje dobre wrażenie dla ciała wewnątrz – wolność. Gdy z zewnątrz ręce suną bez przeszkód, w środku z nóg robią się pęciny konia gonionego nahajką.

Poza tym spodnie są we wzory. Może tutaj nie robi to wrażenia, ale to jedyna rzecz, jaką mam we wzory. I to do tego spodnie! Dorosły mężczyzna w spodniach we wzory? Był kiedyś, dwadzieścia lat temu, młody ruch punkowy w Polsce, i jeśli nie nosili rurek ani dzinsów, to właśnie spodnie we wzory. Jak z koszuli flanelowej czy piżamy, w żółte, zielone i ciemnozielone, prawie brązowe pasy. Na początku to mnie trochę przeraziło. Punk? Wzory? Ja mam trzydzieści dwa lata. Pracuję w mediach, poznałem smak sushi, zdystansowałem się do punka, i teraz to? Gdy pierwszy raz je zobaczyłem, pomyślałem: „cyrk” i zdecydowałem się ich nie zakładać.

Pierwszy dzień był w nich dziwny. Najpierw schodzenie po schodach... Spodnie niosły mnie same, do tego czułem, że jestem w cyrku, że klaun, który ze mnie wychodzi, to jakaś obca część, inkubus, i w dodatku podaje mi rękę na zgodę. Rozchodziły się, nie powiem, ale dopiero z czasem nauczyłem się nad nimi panować i do tej pory nie wiem, jak to się stało, ale spodnie sprawiły, że przez chwilę byłem innym człowiekiem. Bardziej otwartym, wolnym, towarzyskim.

Przykład? Może jeden wystarczy. To są jednak dość prywatne sprawy, nie tylko dla mnie, i nie chciałbym mówić o ludziach, którzy też przeżyli to, co ja, tylko z drugiej ich strony, i mogą czuć się urażeni, kiedy to przeczytają.

Mam je na sobie, wszystko tam się dobrze układa, i idę do hali kupić jedzenie na cały tydzień. Już na wstępie bardzo mi się podoba tyłek jednej z kobiet. Ma na sobie czarne lniane spodnie, lekką, bawełnianą koszulkę w seledyn, powyżej włosy upięte w kok, a całość buduje jeszcze wielki seledynowy szal upięty w takim nagromadzeniu pod szyją. Ruchać. Seledyn – powtórz dwa razy. Idę za nią i mieszczę się w jej tyłeczku. Cóż za cudowne towarzystwo. Tyłeczek do podejścia akurat, właśnie takie wymarzone poduszki, w ogóle to, co tam jest w środku, tylko zdjęcia mogą takie rzeczy opisać. Pytajcie fotografów. I już w myślach podchodzę, tam wacham, chciałbym wejść do środka, ale ona mija bramki sklepu, muszę za nią nadążyć, śpieszę się. Gubi się gdzieś w warzywach, to też mój pierwszy punkt zakupowy.

Papryka, banany, szukam nie tyle tyłka tej dziewczyny, co jej samej, jak to w sklepie, w końcu jest. Wiedziony ciekawością patrzę z przodu (cóż, jestem już dorosły, ale i młodszy) i nie podoba mi się... Rozczarowanie.

Żeby jeszcze była stara, to przecież nie jest ważne. Lat trzydzieści osiem, dobrze, ale jest obojętna, wyniosła z powodów, o których nic mi nie wiadomo, tam, podejrzewam, nawet żadnych zdrad nie ma, nic ciekawego. Patrzy na mnie – nie ma ani odrzucenia, ani ciekawości. Nic, idę dalej. Patrzy na mnie. Patrz, patrz, patrz. Co ty możesz zobaczyć, jeśli masz nieobecne spojrzenie? Spodnie widzisz, jak idę nimi po tych kafelkach? Patrz na nie. Co tam się może dziać w biodrach, rodzaj gorączki, punkt, do którego docierają wszyscy ludzie w mieście, centrum, mówię ci, to tu się umówmy, a potem chodźmy w swoją stronę, robić coś razem, iść do kogoś. Wszystkie krwinki tutaj.

Przechodzę przez słodycze, czekolada gorzka do kupienia, dalej lada z serami, już stoję w kolejce i... znowu. Czuję się, jakbym ich nie miał na sobie. Ta znowu jest podobna w urodzie do mojej żony. Bardzo chuda, ale nie chorobliwie, prosta, z małymi piersiami, musi mieć bardzo jasną skórę, może nawet piegi, różne nierówności obciągnięte skórą. Jest podobna do szpilki, twarz podłużna, jasna, ostre kości policzkowe, włosy zaczesane do tyłu, usta - jedna czerwona linia, nie więcej. Tilda Swinton, moja żona, pewne kochanki.

Jestem w niej zakochany i czuję spodnie. Prężą się, taki łagodny krajobraz, który na urlopie dodaje energii, wysiadasz wtedy z samochodu, siadasz na łące i chcesz skakać do jeziora. Regularny rytm mięśni pośladków podnoszący członka w górę. Spojrzenie trwa chwilę za długo, nie chcę jej płoszyć, chowam swą siłę. Kupuję ser. Mija mnie, jest w zasięgu ręki, złap ją i wyjdź.

Ma nieskończone szesnaście lat, nie więcej. Staje za mną. Razi. Po plecach co chwilę przechodzą mi dreszcze. Czuję się kryty przez klacz. Ryzyko, że kopnie, przyjemność z ryzyka. Jej uroda powinna być zabroniona, staram się nie patrzeć do tyłu. Jest z matką! Zamienia ze starą kilka słów i znowu rusza przed siebie. Mogę pójść za tobą. Dopiero teraz, od tyłu, widzę, co ma na sobie. Spodnie rurki (pasują), czarny, nabijany ćwiekami pas, widać ciało, kurtka, reformowana ramoneska. I jasne linie włosów łączące się w kucyk. Z przodu wyraźne spojrzenie nastolatki, która jest gotowa do walki. Małe śmierci, ekstaza umierania, moje spodnie.

Unikam jej. Zbyt dużo miałem tego ostatnio. Nie możesz być następna. Twoja matka. Być może wiek. Omijam mięso, skręcam ku zdrowej żywności, rzeczy bez glutenu, kasze. I wtedy ożywia się jej matka. Dokładnie mi się przygląda i zaczyna, klempa, za mną chodzić.

Wyczuła. Nie. Uciekam jej. Uciekam jej córce. Szepczę. Sorry, ale nie możemy tego robić. Ty bez niej. Tylko ty. Stara niech idzie. Stara czuje zdradę.

Młoda chodzi za mną, za nią stara, jestem bażantem, do którego strzelają. Gubię je. Chwila oddechu w alkoholowym i spodnie, które da się lubić. Czas do kasy. Wykładam zakupy, myślę o zakupach impulsowych i wtedy. Znowu. Stara staje za mną, młodej nie ma, to okazja. Mówię do tlenionej z piersią na kasie:

- Proszę pani, zapomniałem jeszcze wody. Czy mogę iść? – i ruszam dokładnie tam, gdzie mała. Nie patrzymy na siebie, nie musi nic robić. Lekko rozstawia nogi. Ja to wszystko widzę, patrzę na jej twarz, tego właśnie od niej oczekiwałem. Uśmiecham się. Dłużej niż zwykle, niż zwykle uśmiecha się do ludzi, bardzo niebezpieczny przedmiot, igła, amulet, rodzaj podniecenia przeżywanego przez mężczyzn kolekcjonujących rzeczy zakazane. I wtedy przychodzi druga.

-...przepraszam... - wcina się w nasze spojrzenie nowożeńców seledynowa. Twarz dalej nieobecna, przeciska się między igłą a regałem, wypycha biodra do przodu, ciemny materiał jej spodni ociera się z przodu o mrożonki, później mija mnie, toruje sobie drogę koszykiem. Jej dupka. Wciąż tam jest. Wybory. Bardzo dużo wyborów...

Donoszę wodę. Znowu stoję w kasie. Wybieram żelki, pani kasjerka pyta o kartę rabatową. Znowu czuję spodnie. Podniesienie. Pakuję zakupy i idę do łazienki, staję w futrynie i regularnie przechylam się w jedną i drugą stronę, regularnie, nawet trochę monotonicznie. Raz i dwa. Dwa i trzy. Trzy i cztery.

Gdy przychodzi seledynowa, najpierw dotyka spodni. Każda, każda z nich może być moja. Ta, żeby sprawdzić. Ta, skoro już trzeba, a może też będzie ciekawie. Ta, bo to jej oczywisty wybór. Ta, bo tego potrzebuje. Tak, ty też. A ile ich było? Ich spojrzenia, ja zwierzę, ja kuc, tarzający się w świeżej trawie wiosennej łąki młody koń. Dar, który zabiera ułożone życie. Spodnie. Mój kutas staje się w nich wielką rurą, lunetą, studnią w poziomie, Europejskim Centrum Badania Materii Pierwotnej, przez które przechodzi cały świat.

Zaglądam do niej, opływa mnie łagodny powiew wiatru, rura kadruje wszystko, jest ogromna i za nią dopiero są ludzie, a zwłaszcza... zwłaszcza kobiety. Słyszycie mnie, kobiety?

Są jakieś takie procesy fizyczne, tunele aerodynamiczne, akceleratory, gdzie cząsteczki zmieniają się, nabierają nowych cech i łączą się zupełnie inaczej z innymi cząsteczkami. I ja tak właśnie patrzę przez ten tunel na świat i widzę zupełnie nowe, jeszcze nieodkryte kombinacje. Dzieci bawiące się w piaskownicy, domy, słońce i księżycy, sklepy osiedlowe typu „Biedronka” z uwiązanymi przy nich psami, ludzi na rowerach jadących z baniakami po wodę, kobiety układające produkty na półkach - wszystko się uzupełnia, potrzebuje samo

siebie. Domówienia, kilku maili, listów, spojrzeń, cele są te same. Patrzcie na mnie, przecież i tak na mnie spojrzycie. Przewracam świat na drugą stronę. Podobno duża część z nas pochodzi od jednego człowieka. Czyngis Han miał takie spodnie. Możecie zadzwonić.

Tak, tak się w nich czuję, w moich spodenkach. Ale też nie założę ich już nigdy. Piszę to, a one leżą na fotelu jak ułożony pies, gotowe na każdy sygnał, teraz sflaczałe, puste w środku, pepitka rozchodzi się i zniekształca, czekają, aż ktoś włoży w nie siebie. Za oknem jest ładny dzień, nic nie wskazuje, żeby pogoda się popsuła, i nawet jeśli je założę, nic nie wskazuje, żeby miało się coś zmienić.

Już raz zdarzyła mi się taka sytuacja, taka przerwa. Dwadzieścia pięć lat temu kąpałem się na działkach u dziadków i później majtki były mokre, nie mogłem wracać w nich do domu, trzeba było założyć spodenki na gołe ciało, no i ten suwak, tam się „siurek” wkręcił, były kłopoty. Dla sześciolatka to duży ból. Zamek błyskawiczny, który mój tatuś próbował otworzyć otwieraczem, nóż...

Śmiechy pielęgniarek, ostre, piekące światło nad stołem operacyjnym. Ta przymusowa abstynencja, która się wtedy zaczęła, i ostatni, krótki moment karnawału, który niedawno skończył się tym samym. Czekam na chłodniejsze dni, zdrowie. Czuję tęsknotę. Może to wróci. Myślę, że wróci. Wróci na pewno. Musi wrócić.

# NIGDY SIĘ NIE ODWRACAJ

„To była prawdziwie wakacyjna przygoda” - tymi samymi słowami mogło się to opowiadanie zaczynać albo nawet zaczynało. Trzech mężczyzn jeszcze przed wojną wybiera się na wysokogórską wycieczkę. Idą granią, grań jest stroma, robi się mglisto, a potem ciemno. Gubią się. Nie mają lin, uprząży i czekanów - jedyne, co mogą zrobić, to iść dalej z nadzieją, że gdzieś w końcu zejda. Gdy robi się tak ciemno, że już nic nie widać, stają i boją się. Aby sprawdzić, czy mogą schodzić w dół, rzucają kamienie. Ale kamieni nie słychać. Jest bardzo wysoko. Trzeba czekać do rana.

Jest zimno, dość groźnie i nie wiadomo, co będzie dalej. Jeśli popsuje się pogoda, być może czeka ich koniec, wieczne nic. Wraz z pierwszym świtem, powoli, powoli, okazuje się, że z mgły wyłania się jakiś zarys czegoś na dole, z każdą chwilą wyraźniejszy. Nie dowierzają temu, co widzą, zaczynają nawet pytać siebie wzajem, czy nie majaczą. Z mgły wyłania się trawa, potem las, na końcu widać polanę, na której pasą się owce. Okazuje się, że grań była dosłownie metr nad ziemią, a oni całą noc przesiedzieli okrakiem na skale, wyobrażając sobie własną śmierć, gdy tuż pod nimi pasły się owce. Robi się śmiesznie.

To było pierwsze prawdziwe opowiadanie, które przeczytaliśmy w szkole, i zapadło mi ono w pamięć. Kiedy teraz się zastanawiam, to podziwiam autora za pomysł, tak łatwy i wdzięczny pomysł, który właściwie sam się zrealizował jako małe, a doniosłe opowiadanie. Strach ma wielkie oczy, ha, ha, ha. Ustawiony pierwszym konceptem czytelnik, uwierzy we wszystko, co dalej będzie napisane. Nie od parady jest też przenośnia, z tych najlepszych, taka, którą widać dopiero po dwudziestu latach, gdy człowiek wraca do samej fabuлки. Nagle oświeca go, że tam może chodzić o coś jeszcze – że oni spodziewali się najgorszego, że oni myśleli, że wokół nich, w ogóle w całym świecie nie ma nic, tylko ta skała, zresztą dobre i to.

No i przygoda. Taka przygoda to skarb. Sam chciałbym przeżyć coś takiego. I to jest właśnie powód, dla którego przywołuję to opowiadanie tutaj. Bo opowieść, którą sam mam teraz do opowiedzenia, jest dużo słabsza i właściwie muszę się teraz podpierać tamtą, by jako tako stanąć na własnych nogach.

A było to tak. Nie mam może najlepszego charakteru i ujawnia się to w takich momentach, jak wiadomo, krytycznych, ale moja opowieść też jest z wakacyjnych, a więc pasuje. Otóż wybieramy się z kuzynem na kajaki na rzekę Rawkę. Planujemy przepłynąć odcinek między Bolimowem a Sochaczewem, czyli połowę drogi Rawką, potem Bzurą, a

potem będzie trzeba organizować powrót. Kajak jest duży, świeżo kupiony, zaledwie tydzień wcześniej przywiozłem go z Augustowa, gdzie leżał jeszcze śnieg.

Jest bardzo pięknie, nawet chyba nie tylko dlatego, że żeśmy nigdy nie pływali po Mazowszu i dawno nie wyjeżdżali z miasta. W lesie są przyłaszczki, a nad wodą trawa odrasta tak, jakby chcieli łąsi ludzie, żeby im odrastały włosy – już wiadomo, że będzie zielono, ale na dobre się jeszcze nic nie zaczęło. I oby się nie cofnęło.

Wodowanie kajaka nie należy do najprzyjemniejszych. Wchodzimy w piękny, nizinny krajobraz i czujemy, że może tu dla nas zabraknąć miejsca, że to, co widzimy przed sobą, już może nas nie wchłonąć.

Wypchany kurtkami i wielką ilością bagażu kajak robi się ciężki i jakby zbyt duży na to małe, ale również wypełnione zbyt dużą ilością wiosennej wody koryto rzeki. Jest chłodno, szaro, buty zapadają się powyżej kostek w błoto, a cały ranek i okolica wyglądają jak spuchnięte od tej wody. Przełomowe chwile w skali wszechświata. Czy zbutwiejemy od tego deszczowego dnia i wieczorem rozwarstwimy się niczym stara dykta, zostawiona przez kogoś na zewnątrz letniskowego domku, czy też wszystko pod koniec tego samego dnia wyschnie na wiór w wiosennym słońcu?

Mimo tego nieprzyjemnego przywitania cieszymy się. Wiosła w ciszy wpadają w wodę. Zawsze wtedy lubię się bawić w Indianina, który musi podpłynąć do wioski nieprzyjaciół swoim kanoe i musi to robić jak najciszej. James Fenimore Cooper i jego przedwojenne wydanie stojące na półce w domu, które zawsze miałem, kiedy szedłem do łazienki. Właśnie taki Indianin jak ja dzisiaj był tam na okładce. A więc płynę cicho, bardzo cicho, i w przyływach frywolności, na którą można sobie pozwolić tylko wobec ludzi, których zna się od dzieciństwa, namawiam też kuzyna, żebyśmy obaj byli cichymi Indianami. Howgh, Kuzyn!. Piwo powoli dopełnia miarę wilgoci poranka, wlewa się o wiele gęściej do brzucha niż zazwyczaj, takimi kawałeczkami, które potem dopiero rozpadają się na mniejsze, i od tej jego pracy wykonanej za mnie robi mi się lżej i weselej, choć na pewno nie cieplej.

Mijamy kościół w Bolimowie, tamę spiętrzającą wodę, młyn, a potem zaczyna się jakiś leśny odcinek, gdzie wyjmujemy sobie na trawie kotlety do białej bułki i czerwonego pomidora, no i kolejne piwa.

Kuzyn pije więcej. W ogóle kuzyn pije więcej. Jakby nie mógł się upić, jakby to też była jego wycieczka, której nie może skończyć. Chce tam dojść, chce tam być, nie wiem - wspiąć się na jakąś wieżę, dojść do zamku - ale nie może i cały czas próbuje. Zdumiony tym jestem, odkąd pamiętam, ale mu nie przerywam, byle starczyło dla mnie. Sam lubię się po prostu upić. Zdjąć z siebie te wszystkie plecaki, kurtki, rozebrać do naga i po prostu przestać być.

Przeszkadza mi w tym teatr, który dokonuje się na użytek osób obok – że to już, że właśnie się podchmieliłem, a ja cały czas trzymam się tam czegoś kurczowo i nie chcę puścić. A puszczać dopiero gdy zasypiam.

Od samego początku gadamy o niczym, dosłownie. Że ja mam pensji pięć tysięcy, że Janusz to ostatnio zrobił to i to, i w końcu kiedyś zwariuje, i jak jest kuzynowi w nowej pracy. Na świecie nie dzieje się nic, co by przyciągało naszą uwagę, zresztą to jest jeszcze przed Kaczyńskimi i wszystkim. Podziwiamy rzekę, to, jak ludzie urządzili się w okolicy mimo czy dzięki niej, jak przerzucili nad nią mosty, mosty kolejowe, postawili u jej brzegów młyny i siłownie, i ciągle uważamy na to, co przed nami. Co chwila skręcamy, klucząc i omijając drzewa, które często przywalają główny nurt tak, że trzeba się schylać i raz za razem potwierdza się, że nasz szeroki i kolebiący w tej wodzie kajak jest nieco za duży.

W końcu Rawka przyspiesza, las się kończy i z powolnego miłego spływu robi się taka szybka trasa, która wymaga uwagi. Całe szczęście jesteśmy rozpływani, nie ma drzew i skończyło się piwo, więc możemy zająć się tylko prowadzeniem kajaka. Nie rozmawiamy, powiedzieliśmy już wszystko. Płynie nam się dobrze.

Mimo to wpadamy do wody. Woda, do której już zdążyliśmy się przyzwyczaić, obejmuje teraz całe moje ciało nagle, jakby z tyłu, i trzyma przez chwilę w niepozwalającym mi oddychać uścisku i z tego momentu właściwie niewiele pamiętam. Trzepoczę nogami. Zresztą zawsze, nawet kiedy woda jest ciepła, skok czy wpadnięcie do niej jest takim wyjęciem ze świata i na ogół nic się nie pamięta.

Pamiętam, że wcześniej zakręcaliśmy, kajak był prozaicznie za duży, wynosiło nas na bok, chcieliśmy – może zgubiła nas ta liczba mnoga i za duża siła za nią – odbić się od skarpy, czyli, że musiało być głęboko. Odbiłem się ja, kuzyn też dołożył wiosło. Jakieś siły z fizyki zadziałały i kajak się obrócił. A potem właśnie jest ta chwila zawieszenia, co nic się nie pamięta i nic nie wiadomo, a potem to objęcie przez wodę. Aby się od tego uwolnić, chlapię rękoma jak kaczka, próbuję wejść na białe dno kajaka, ślizgam się łokciami po jego powierzchni i nie daję rady, muszę go obejść czy opłynąć i dopiero od strony brzegu, po drabinie ze skarp, jakoś wyjść na wierzch. Przypominam sobie o kuzynie, że też tu jest, on ma doświadczenie, zresztą jakby to powiedzieć, właśnie jak z tym piciem - nigdy nie traci kontroli, chce dojść, donieść i cały czas się stara. Teraz szuka wiosła, wiele naszych rzeczy już jest po prostu wyrzuconych przez niego na brzeg.

To jest. To, wiosło jest, kalosz, OK. Kuzyn wychodzi z wody. I metodycznie zaczynamy wyciągać kajak. Ogromny ciężar, wypełniona wodą skorupa, która jeszcze kilka razy wpada nam z powrotem, jakbyśmy się z nią siłowali w przeciąganie liny.



Sprawdzamy rzeczy, moknie mi dyktafon, aparat, komórka, notes, o tyle to jest ciekawe, że układ między mną a nim, który wypracowaliśmy sobie wcześniej, takiego cichego przejmowania i ustępowania władzą w naszej zażyłości, teraz się jakoś przez ten wypadek rozwała. Działamy jak równi sobie. Wyjmowanie kajaka, sprawdzanie rzeczy - wszystko to jest tak proste, tak metodyczne jak walenie młotkiem w ścianę bez celu. Jesteśmy przez ten moment mniej ludźmi i gdy już tak wszystko zrobimy, poukładamy, to dopiero wtedy podnosimy głowy. Gdzie wylądowaliśmy? Co robić dalej? Ja już wtedy bardzo się boję, że zaraz się zaziębię. Jest przecież zimno, około stopnia, wszystko co mamy, zmokło.

Okolica jest bardzo ładna. Jak okiem sięgnąć, nie widać ludzi, a co dopiero ludzkich domów. To jest tuż przed waniem się Rawki do Bzury i tam wiosną są faktycznie ogromne rozlewiska, a teraz takie puste łąki. Zostawiamy kajak w załomie rzeki, tuż przed dobrze wyrosłymi olchami, i ruszamy przed siebie. Samochód jest w Bolimowie i albo tam jakoś trzeba dotrzeć, albo trzeba szukać ludzi, aby nam pomogli. Proszę, pomóżcie, pomóżcie nam. Czuję nadchodzący lament. Ruszamy przed siebie.

Jeszcze obija mi się o oczy, to co zawsze cieszy, gdy człowiek zgubi drogę, że najpierw jest malutka ścieżka, właściwie ślad po ścieżce, może nawet zwierzęcej, a potem jakby się spływało do jakiejś dużej ogromnej ścieżki, która prowadzi do Nowego Jorku, do centrum innych ludzi, czyli że z tej małej wychodzi się na już wyraźniejszą dróżkę, na przykład dla wędkarzy, grzybiarzy czy myśliwych, potem na drogę dla traktorów, a później ona wpada w jeszcze większą zbiorczą drogę dla kombajnów, aż w znajdziemy się w jakiejś wsi i nam pomogą dostać się choćby i do Ameryki. Tak, i nie można iść w drugą stronę. Myśli przerywa kuzyn.

- Jest!

- Co?

- Traktor.

Machinalnie skręcamy w tym kierunku, człapiemy powoli nieco przygarbieni od ciężaru i zimnych ubrań. Człowiek w traktorze lekko, zaledwie ty-ci-tyci, odwraca ku nam grubą ziemistą twarz, chwilę na nas spogląda przez brudną boczną szybę, patrzy na nas jak na zające, tyle że większe i wolniejsze, znudzony nawet ich widokiem, lata ich tu dużo. Patrzy. Jedzie dalej, to zbyt dużo, aby oczekiwać, że stanie, a jednak obaj, jak sądzę, myślimy, żeby się zatrzymał, żeby się zatrzymał.

Stawiam nogę na stopniu ciągnika, wdrapuję się, już wcześniej ustawiony pod tego człowieka i zaczynam swoją litanię:

- Wie pan, prosimy pana o pomoc. Wpadliśmy do wody, płynęliśmy kajakiem i czy może nas pan jakoś zabrać do wsi? Czy może jakieś auto?

Myśli chwilę, taką sekundę, jak się właśnie do wody wpada. I język dostarcza (delivery) następujące rozwiązanie:

- No nie. Orzę.... A tu to nie wiem. Kto.

Odwracam się, ruszam i widzę, że błędem było oczekiwać od tego człowieka pomocy. Zbyt poważnie chyba brałem siebie, nasz kłopot, przygodę. Mimo to donoszę ją znowu do człowieka, stoi z kijkiem tuż przed mostem. Kuzyn rusza pierwszy, chciał porozmawiać konkretnie, rzeczowo, ale w porę go ubiegłem, bo moim zdaniem jest dla ludzi zbyt gwałtowny, zasadniczy. Nikt nie ma obowiązku.

- Przepraszamy pana. – W środku duszy płakałem, byłem bardzo cienki. Jak odbicie w lustrze. Ukłoniłem się mimo to i stałem się zasadniczy. – Czy może nam pan pomóc? Chcemy zadzwonić do kogoś.

Starszy facet w kaszkiecie, wiskozowych spodniach oraz brudnej, tłustej i ciemnej marynarce spojrzał uważnie, poczułem jego wzrok na swojej cieniźnie, i odpowiedział powoli, z takim kłamanym dostojeństwem:

- Nie.

- No chodzi o jeden telefon.

Facet macha odmownie głową.

- A może ktoś tu?

- Wszyscy w polu.

- A we wsi?

- To we wsi.

- A tędy trzeba iść mostem?

Pytam, jakbym nie wiedział. Jakby on nie wiedział, że ja wiem, jak trafić do wsi. Wzrusza ramionami i zaciska rękę mocniej na swoim żółtym, wyślizganym od niego samego drewnie kijka. Musimy odejść. On już skończył, choć ja chciałbym mówić dalej. To odchodzenie od ludzi, od których się czegoś chce, a oni nie chcą tego dać, bo przecież zawsze mogą, dotyka mnie najbardziej. Zamykam się po cichu, stopniowo, kurczę się jak starcy po kolejnych chorobach, jeszcze można lusterko do ust, ale już nic nie ma. Koniec, ten człowiek nie nasz, nie nasz.

Podchodzimy do mostu. Jest stary, drewniany jak ożywione wspomnienie z Reymonta, to przecież tu pisali „Chłopów”, z czasów, gdy wszystko było drewniane i kamienne, woda pod nim kłębi się wściekle i dalej też. Dochodzi do mnie, że tak czy inaczej byśmy się dzisiaj

wywalili, Bzura przed Sochaczewem jest kamienista, a nawet żeśmy do niej nie dopłynęli. Na moście mijamy dwóch świetnie uzbrojonych w zieleń wędkarzy, ale nie zaczepiamy ich. Krok za krokiem, przechodzimy obok. Odwracają się tylko lekko, zupełnie jak ten traktorzysta (na Ukrainie jest miejscowość Traktorzysta) i znowu wracają do patrzenia na wodę. Może jesteśmy zbyt podobni do nich, zbyt tu obcy, żeby pytać, może wiemy, że nie mają nam jak pomóc, może już nie chcemy, a przecież, teraz myślę, mieli komórki na pewno.

Kurtka zaczyna mi wyraźnie ciążyć. I nie chce mi się już iść. Powoli zaczynam się nużyć tym, co się zdarzyło. Jest mi zimno, bardzo nawet, i choć wiem, że muszę to znieść, to już nie mogę i tylko staram się przestawić na takiego bałwana, który mimowolnie podąża naprzód i rokuje, że to się kiedyś skończy.

Droga wspina się lekko do wsi – to jakieś kilkaset metrów, wieś ułożona jest do niej prostopadle, a równolegle do rzeki, oczywiście przy skrzyżowaniu jest kapliczka. Ładnie zakomponowana przestrzeń. Zza zakrętu wyjeżdża wiejska baba, wiezie coś na wielkim rowerze jakie ostatnio są modne w miastach, może nawet jedzenie dla swojego traktorzysty. Pytamy. „Czy może nam pani pomóc? Potrzebujemy pomocy?” Pomoc, pomoc, pomoc. Kobieta nie tylko słyszy, ale i wyczuwa błaganie. Wystarczy spojrzeć. Jesteśmy przemoczeni, Kuzyn ma sine wargi, mija już godzina od kąpieli, no i ja drzę i obydwaj w kulturalny sposób klęczymy przed nią mentalnie, na tyle, aby jej nie przestraszyć, i na tyle, że nie czujemy tego gównianego osadu kłamstwa zwyczajnego dla normalnych rozmów. Przez chwilę czujemy, że schodzi z roweru, odstawia go na bok, na trawę, i staje z nami, patrzy i rusza z nami do wioski. Ale nic z tego. Omam. Zmienia się z tak na nie szybko, teleturniejowo, po czym, korzystając z zaskoczenia, kładzie nogę na pedał i rusza, ma łatwiej, z górki.

- We wsi pomogą.

Czyli wieś. Chrystus narożny ufundowany przez rodzinę Wierzbickich w 53 roku wraz z kwiatami pod spodem i zakręt. Po lewo jedyny dwupiętrowy budynek we wsi, idziemy tam, to sklep i remiza, czerwone tabliczki. Sklep – wielkie, ciężkie, ale blaszane drzwi, w środku z pewnością przytulnie, jak w norze zwierzęcia, chłodno, ciemno, ale i są towary i wszystko w jako takim porządku. Rusza się firanka, coś majaczy, blaszane drzwi kryją na pewno suchy korytarz, ale nie, nic z tego. Nic. Zamknięte.

Przed sklepem są dzieci, dzieci nic nie wiedzą. Gdzie rodzice? Na traktorze w polu. Patrzą za nami takimi spojrzeniami, które przypominają mi lot rakiety batalistycznej, tak to się mówi, pokazywany wielokroć w telewizji, na początku leci wolno, unosi się, a potem leci tak szybko i celnie, że nic nie może jej dogonić, zostaje za nią tylko smuga dymu. Dzieci unoszą ciężar swojego spojrzenia z ziemi, potem rozpędzają tym lekkim ruchem głowy i gdy kierują je

w naszą stronę, czuję, jakby uderzały mnie ziemią w plecy. Aż chce się kląć i je, i ich przyszłe dzieci.

Jestem cały obolały, wytrzewiony ciężkimi butami, wojskową ekstrakurtką, w zasadzie zaczynam majaczyć. Asfaltowa droga staje się mleczna, taka schodząca w monochrom jak z tego opowiadania przytoczonego na początku. Mgła, mroczki przed oczami, robi mi się strasznie zimno, chcę już tylko siedzieć na przystanku. Siedzieć.

Dlaczego jest raczej coś niż nic? Przychodzi mi do głowy to pytanie. Kiedyś, kiedy byłem mały, lubiłem się godzinami zastanawiać, jak to jest, że jest nic. Próbowałem zaskoczyć siebie tym, że nie ma nic. „Nic. Nic. Nic” – powtarzałem w myślach, próbując to sobie wyobrazić. Jechałem na przykład autobusem do szkoły, wciśnięty przez szerokie plecy i brzuchy warszawiaków w poręcz krzesła, patrzyłem na zaparowaną szybę i odpływałem przy tym pytaniu. Bo zawsze jest coś. Nie można sobie wyobrazić niczego, tak sobie przynajmniej zniechęcony mówię. Dajmy na to, że lecę, że nie ma oparcia, ale to ja, ja lecę. Albo gdy znikam - znikam ja, ja i moja ręka, brzuch i nogi. Jest to coś przede mną, to, co widzę, no ale jeśli nie mam oczu, jeśli jest ciemno, to jest ciemno. Zacieśniam się do małego punktu, najmniejszego, jaki może być, ale nie mogę tego sznurka tak rozwiązać, żeby super znikł, żeby się rozwiązało. Cały czas coś jest. I teraz na tym przystanku te dziecinne myśli wracają. Mgła, rozczapierzam ręce, a tam nic, naprawdę nic. Podrywa mnie kuzyn.

- Chodź, idziemy dalej.

Zdecydowanym krokiem przechodzi na ukos przez drogę, wchodzi do zagrody, znowu blaszana furta, ładne duże, zmechanizowane obejście. Jakiś facet naprawia traktor. Już nic nie mówię, kuzyn zaczyna mówić, że wpadliśmy do wody i że telefon do Warszawy. Facet powoli odwraca się od koła. Bez jakiegoś zadęcia, ale stanowczo, jak jego własny pies w obejściu, mówi:

- Spierdalajcie stąd.

Wybudzam się do odejścia. Kuzyn się odwraca. I odwraca się jeszcze raz. Najpierw uderza go pięścią bardzo mocno w głowę, przez chwilę myślę, że się zmęczy już całkowicie, ale i jakoś też się budzę. Patrzę z niedowierzaniem na to, co dzieje się przede mną. Jest taki chwyt z zapasów, kuzynwłaśnie trzyma tego gościa przy jego kole, dobija raz za razem do tego koła i mówi, równie stanowczo:

- Wpuść mnie, kurwo, do domu i daj zadzwonić. Wpuść mnie, kurwo, do domu i daj zadzwonić. Wpuść mnie, kurwo...

Patrzę na to, jakbym mszę odprawiał. Jest dość dobrze, nie mam do tego stosunku, jak to się mówi, emocjonalnego, mam pewność, że skończy się dobrze, właściwie celebрую bójkę, no

i sam chętnie bym dołączył, ale jestem tu przed nimi, a oni są schyleni i się zmagają. W zasadzie to dogasa ten rolnik cały.

- Dobrze.

Wpuszcza nas. Pijemy herbatę, nawet rozmawiamy. Ale cóż, wymuszona gościnność to nigdy nie jest to. Dają kalesony, ciepłe gacie, a nawet koszulki. Siedzimy, przebieramy się na pufach pokrytych sztucznym, dziwnym materiałem i wpatrujemy w regał z kryształami. Jest w ogóle taka odmiana chłopskiej chaty, estetyki, wrażliwości, która wędruje przez setki lat i jak Żyd wieczny tułacz zawsze wygląda tak samo, tylko w przebraniu epoki - tak sobie roję, mam wrażenie.

Żona tego rolnika przynosi nam ciasto, pijemy drugą już zawieszistą herbatę. Ich niepełnosprawny syn stara się nam opowiedzieć, że w Pasinach, Pasinach jest straż pożarna, sklep i rzeka. Robi się nawet miło, nie wiem, kto bierze adres do nich, chyba ja. Kuzyn znów zaczyna opowiadać swoje, jakby sam nie miał języka, tylko mówił to, co komuś na wierszówkę weszło. W końcu przyjeżdża jego przyszywany teść, jedziemy po kajak, teść mnie jeszcze sprawdza, czy dobrze znam drogę przez te wszystkie zagajniki do samochodu. „Treser” - myślę z niechęcią. Ale jesteśmy we własnym aucie, wracamy do normalności, uchylam nawet lekko szybę.

\*

Cztery lata później, już z kim innym, trafiam znowu do Pasin. Skoro tam skończyliśmy, to tam trzeba zacząć i w końcu dopłynąć Bzurą do Sochaczewa. Woda faktycznie rwie, nie jest jakoś przyjemnie, po kilku kilometrach wybieramy jointy, palenie zamiast pływania. Rozkładamy się na polanie i obficie śmiejemy. Gdy przychodzi czas, żeby się zwinąć po samochód, wracam sam po kajak do Pasin – rowerem, bo teraz zmądrzałem i aby to wszystko zgrać, od niedawna zabieram na kajak rower. Jadę trasą poznańską, mijam wiele rozjechanych psów, tiry mijają mnie, w końcu dojeżdżam do auta. Chwilę jeszcze wgapiam się ujaranymi, uśmiechniętymi oczyma w okolicę, w której się to wszystko wcześniej wydarzyło i zabieram auto.

Coś mnie podkusza, aby znaleźć ten dom, w którym żeśmy gościli, bo mieliśmy nawet wysłać kartkę. Pasiny Parcele 10 czy jakoś. Jadę wsią, wolno, spokojnie, mijam wiele domów. Ale w żadnym z nich nie rozpoznaję tamtego sprzed kilku lat.

# EVERYTIME WE SAY GOODBYE

Mówi się: „opisz to”, „opisz tamto”, „to powinienes opisać”. Ledwie człowiek ogłosi, że chce coś napisać, a już ma na głowie ludzi, którzy mu mówią, co jest warte opisanie. Mają rację. Jest tylu ludzi złych, samotnych, słabych, właściwie wszystko nadaje się na historię. Ale to nie są moje historie. Poza tym, na ogół wszystkie są smutne. Czy jest sens opowiadać smutne historie, jeśli nie są własne? Zamartwiać się, pochylać - o, nie. Jeśli chodzi o cudze, mogę opowiadać tylko wesołe. Zresztą nawet jeśli chodzi o własne, też wolałbym tylko takie. Nawet jeśli nie mają większego sensu, przebiegu, głębi. Cóż, są wesołe. I taką historię chciałem teraz opowiedzieć.

Do tej pory nie odkryłem, co było ciekawego w tamtym wieczorze. Co mnie w ogóle przyciąga do takich wieczorów, co sprawia, że je zapamiętuję i wyróżniam? Nie ma w nich żadnych przeżyć, zmian, a jednak nawet po latach wspominam je beztrąsko, sympatycznie i w oczekiwaniu na kolejny, jeszcze ciekawszy.

Ten przypomniał mi się, gdy pchałem wózek z dzieckiem po Kobylce, patrzyłem sobie na połamane płyty chodnikowe, omijałem kałuże i oceniałem dziesiąty raz architekturę domów. Z rzeczami, które kocham, jest tak, że nie jestem w stanie ich ocenić, zrozumieć i w końcu poznać. Przerastają mnie same sobą. Mogę powiedzieć, że architektura jest gówniana, płyty chodnikowe połamane i ten mały syf kocham. Ale nie. Czuję się wobec nich jak mrówka przy drzewie. Są niebotyczne. Owszem, może i taka mrówka mogłaby tam wejść, obrysować sobie to drzewo swymi prędkimi nóżkami, ale i tak zajęłoby to jej cenny, biegnący wiele razy szybciej niż nam, ludziom, czas. Zresztą, nigdy o tym nie pomyśli. I nigdy tego nie zrobi.

Ja tak samo. Stoję wobec tego zrudziałego betonu i kleju do styropianu, chaosu gałęzi, wobec wszystkich tych kochanych ludzi i nie potrafię ich zrozumieć, przemyśleć, zobaczyć. Są zbyt wielcy, nie widzę ich motywów, nie rozumiem, cieszę się i zarazem martwię, zupełnie jak idiota, że są, że tak po prostu sobie są. To samo z moim miasteczkiem. Cichym, zaschniętym i niepotrzebnym jak kaszka na dziecięcych ustach. A z Warszawą? Też to samo. Gazetowe prawdy, historyczne prawdy, prawdy innych ludzi, gówno prawdy, a ja snuję się po nich, nic nie rozumiejąc, wpatrując się tylko w końce ulic, ścinając przestrzenie, i czuję, że choćbym chciał, nie dotrę, nie pojmę. Może ich w ogóle nie kocham?

I właśnie wtedy, podczas takiego nijakiego spaceru po nijakim mieście Kobylce, spojrziałem na ulicy Pięknej w niebo, a tuż pod nim na kasztany. Był maj. Przyszło mi chyba

do głowy jakieś tandetne i zgrane porównanie, że to, co widzę, to kandelabry kasztanów. Przez chwilę dumałem nad jego trafnością, a potem jak włos w jedzeniu, który gdy już raz się tam znajdzie, zawsze da o sobie znać, przypomniało mi się, że właśnie rok temu patrzyłem na te kasztany w podobny sposób, tyle że było ciemno i wracałem sam do domu, po takim lekkim, głupim wieczorze, podczas którego też zresztą nie wydarzyło się nic specjalnego.

Było nas wtedy kilku, siedzieliśmy sobie, gadaliśmy, może piliśmy, może paliliśmy, chodziliśmy. Gdy ktoś w takich sytuacjach pyta: „A co wy robicie?“, zwykle się wtedy odpowiada: „A nic, siedzimy sobie”. Od razu uśmiech, każdy to zna. Zamknięty pokój, matka krzyczy: „A co wy tam robicie?” i odpowiada się: „A nic, nic, siedzimy sobie” (pałac jointa).

Albo inna rzecz. Taka reklama, bardzo dobrze nakręcona. Idzie dwóch południowców wąską uliczką w portowym, śródziemnomorskim mieście. Gwar ulic, ludzie przy stolikach. Tych dwóch śmieje się do rozpuku, nie mogą ustać na nogach, powtarzają czyjeś gesty. Uwielbiam taki śmiech. Z kogoś, tak w oczywisty sposób. Bez cienia pretensji. „- Z kogo się śmiejecie? -Nigdy z siebie się nie śmiejemy”. No i śmieją się, nachylają, aby ochłonać, śmiech znowu w nich wzbiera i znowu się nachylają, żeby odpocząć - i nagle stop. Jednemu z nich komórka wypada z kieszeni koszuli akurat do studzienki kanalizacyjnej. Prostują się. Robi się poważnie. Miny mają bardzo smutne. Widzowie bardzo się śmieją. Z czego się śmiejecie? No, nigdy z siebie.

To wszystko my. Tak się wtedy czuliśmy. Siedzieliśmy już którąś godzinę u mnie na tarasie. Słuchaliśmy muzyki z komórki, a nawet pewnych video z „YouTube”. Arek pokazywał na swoim telefonie, jak jeden człowiek na stoku góry obsiadłej przez młodzież jakiegoś festiwalu zaczyna sam tańczyć. Frenetycznie, pełnie, radośnie i całym sobą, a już po chwili biegną w jego kierunku jak zaczarowani wszyscy widzowie, którzy wcześniej przypatrywali mu się tylko ze zdziwieniem. Masa, masa ludzi szczęśliwych tą chwilą tańczy. Czuję się jak w kokonie tej muzyki i blasku z komórki. Nowoczesny rodzaj kominka, bardzo przenośny, mały, otaczamy tę komórkę, jesteśmy podnieceni, także tym, że jest nas więcej niż zwykle. Oprócz mojego brata, jest jeszcze trzech braci Głowackich. Robimy sobie piątkowy wieczór. Pierwszy maja.

Noc, choć majowa, jest wyraźnie ciepła, szczelna, przytulna, wchodzi się w nią jak dziecko do cudzego mieszkania, gdzie pachnie świeżo upieczonym ciastem. Poczucie, jakby ktoś cię adoptował, jakby dostali ci się lepsi, nowi rodzice. Taka ta noc jest. Możemy ją tu przesiedzieć na tym tarasie, jest miejsce, jest śmiech, ale możemy się też powłóczyć. Tylko musimy się zdecydować. Czy wódka z barku i piwo, jest jeszcze dużo piwa, czy może właśnie jointy. No to może byśmy ruszyli. Czemu nie? Po jointy.

Gdy wychodzimy, wszyscy leją w mój świeżo założony ogródek, nie powiem, dziwię się, ale dlaczego nie? Mamy ze sobą dwóch największych komików Kobyłki. Najmłodszego i najstarszego z braci Głowińskich. Arek, dwudziestodwuletni złoty młodzieniec, wszystko bierze na poważnie. Wszystko potrzebuje Arka uwagi. Wszystko, a właściwie nic. Trzeba widzieć jego uśmiech, gdy komuś doradza. Zepsute dziecko, które bawi się w miłosierdzie. Ale to da się lubić. A Robert? Wspaniały, dostoyny obywatel szarych przejść, ścieżek, załomów w murach, pożyczonych pieniędzy i wymuszonych zeznań, wielokrotny kawaler ciepłego i lepkiego orderu narkotycznego uśmiechu. Miły i uczynny, każdy jego żart to automatyczne przebaczenie. Jesteśmy zbyt słabi, by się nie śmiać.

Arek chce się uczyć angielskiego, więc każdą chwilę, kiedy mu się o tym przypomni, wykorzystuje na naukę. I teraz, do momentu, aż przejdziemy przez świeżą część osiedla – ulicami Zwady, Zgody i Pokoju - zmusza nas, żebyśmy rozmawiali po angielsku. Yes, I want to say that the night is incredibly nice, it's magic. And so on. And księżyc jest taki piękny. I jeszcze quiet is the night. Gdy wychodzimy na asfalt, mamy jeszcze kawałek do domu Roberta, gdzie zdeponowane są jointy. Kobyłka bierze nas pod siebie i głaszcze swoim ciepłym ciałem.

Często mam takie myśli, że chciałbym nagrywać się ustawioną pięć metrów dalej kamerą, sam siebie, jak tańczę właśnie na pustych ulicach, jak wzbiera we mnie energia, która musi wyjść takim szalonym tańcem jak tego gościa na górze, co go oglądaliśmy z komórki. Tańczyłbym, a do mnie by wyszli wszyscy ludzie z ulicy Pokoju.

- Co to za kutas tańczy? Patrzcie, jak on tańczy. Ale on tańczy.

I do mnie. Teraz jest podobnie. Asfalt nas niesie. Droga pod górę, a jednak lekka, mniejsza gęstość powietrza, lżejsze winy, żadnych rozmów. Twarz Arka w wesołym zapamiętaniu. Ludzie poważni i optymistyczni mogą sprawiać wrażenie idiotów, ale to najlepszy gatunek człowieka na Ziemi. Coś o skuterze, że się popsuł, oddał do naprawy – wszystko po angielsku - ale mu nie oddali, kogo na nich nasłać... Idziemy. Są różne zdarzenia.

Przestawiamy malucha, kradniemy pierwszomajowe flagi z budynku gminy. Biegając, machamy tymi flagami. Podobno słyhać nas już przy przejeździe, gdy dobiegamy do Wentylowej. Żona Roberta czeka na niego w domu, słyszy nas wszystkich, ale nie może się dodzwonić.

Przed domem chwila spokoju. Robert wchodzi po jointy. Chcemy mu pomóc, dajemy rady. Trzeba zrobić tak, żeby żona Roberta, która wydaje nam się szefem twierdzy, coś jak ten domek angielskiego premiera, Wentylowa 10, się o niczym nie dowiedziała, nie chciała go zatrzymać.



Stoimy pod kasztanem, który rośnie w ogrodzie tego jedyne chyba pięknego domu w Kobyłce. Wybudowany w latach siedemdziesiątych, niby typowa kostka, a ma zabraną, wyciętą jedną część z piętra. Została tylko rama wypełniona pustką i tam jest taras z proporcjonalnymi, ładnymi barierkami zrobionymi z pomalowanych na biało gazrurek. Mazowiecka kostka, bękart modernizmu, wyniesiona na piedestał. Piękny dom z jeszcze piękniejszym, tajemniczym ogrodem. Robert zawsze mówi, że mieszka tam hrabina. Ale teraz go nie ma, zginął w tym pięknym domu i nie wychodzi.

- Pewnie ma schowane i nie wie, gdzie - mówi średni z Głowińskich z ręką w kieszeni.

Jest takie powiedzenie, że Kuba wszystko robi z jedną ręką w kieszeni, i tak jest teraz. W drugiej ma fajka i gestykuluje. Wyważony, akuraty, tylko czasem się zapomina., Arek, mój brat i ja też gestykulujemy. Ruszają się barki, trochę do przodu, do tyłu. Rytmicznie do siebie podchodzimy, odchodzimy. Cały czas żartujemy. Nie ważne, o czym są te żarty. Czekamy. W głębokim, dosadnym jak ciśnienie na zbyt dużej głębokości, spokoju tego wieczoru. W końcu jest. Robert otwiera okno, zrzuca pudełko i zamyka okno. Nie pada żadne słowo, ale wiadomo, że nie wyjdzie. Żona.

Praktyczny Arek bierze, sprawdza. Mówi, że jest dużo, i już kłócimy się wszyscy z Arkiem, gdzie palić, jednocześnie pocieszając, że jego brat jeszcze wyjdzie. Jeszcze wyjdzie, jeszcze wyjdzie, on się dzisiaj nawet nie ujawnił, nawet nie powiedział nic od siebie. Czy Dorota go wypuści?

- Może się wdrzeć?

- Którędy?

- Dorota! Dorota!

- Nie... Krzyczymy: „Robert”...

- Robert, Robert...

- Dobra. Dojdzie. Chodźmy zapalić.

Na Łąkowej jest dobre miejsce, dziwnie ułożony klon. Złamany, rośnie w bok, tworząc przyjemnie obrosniętą chwastami kilkuosobową ławeczkę. Ciemny chłód ubitej ziemi, na niej drobno rozsypane szkła rozbitych butelek, mieniące się w nich światło, jakby patrzeć w rozgwieżdżone niebo z dala od wielkiego miasta. Ciemno, wszystko nas unosi i wciąga w siebie. Zapalmy tutaj.

- No pewnie, że przyjdzie.

Na pierwsze wrażenie zawsze trzeba poczekać. Mija chwila, muszę się wykrztusić, ale jest. Właściwie już w trakcie trzymania dymu w ustach delikatna nieprawość rozchodzi się po całym ciele. Takie oszukańcze wrażenie spięcia, ale potem już wiadomo. Jestem jeszcze

lżejszy. Światła takie wyraźne, kolory. Intensywność. No i chłopaki. Uśmiech mojego brata, o ileż radośniejszy. Zmieniamy miejsce, chodźmy między torami, to nas nie chapną psy. Dobra, chodźmy tamtędy. Przy transformatorze znowu jest miejsce, można przystanąć, zajarać. Ale czemu Robert nie wyszedł? Wszystko się trochę rwie.

- Musi coś ugotować. – I znowu się śmiejemy. Wiele różnych hipotez.

Gdy siadamy na schodkach tego wielkiego urządzenia elektrycznego, jesteśmy jeszcze bardziej upaleni. Arek zaczyna opowiadać o tym, że ktoś go pytał, skąd wziąć kichanie, to zaczął załatwiać. Nie przeszkadza mi, że diler, dlaczego? Śmieję się razem z wszystkimi, gdy zaraz potem mówi, że zapisał się, że imponuje mu młoda polska organizacja faszystowska, nazwy nie pomnę, dla wygody nazwijmy ją Siemię Lniane. Kichanie i Siemię Lniane kontrastują ze sobą jak znak drogowy i ciemności. Widzę to, śmieję się. Opowiadam bratu. Mówi, że to znak ze smileyem. Wszystkiego słucha Kuba, starszy brat Arka i nie jest mu to w smak. No bo niechby był taki albo taki, a jest ten jego brat? Śmieszny. To dla Kuby za dużo. Skromny, wrażliwy i przyziemny, bierze nas na bok i mówi, że jego brat ma czasem jakby, wicie, nie wszystko OK, ale spokojnie, chłopak rozgląda się, poznaje świat i śmieje się z tych słów. Śmiejemy się wszyscy. Wyczuwa to Arek. Światło na niego.

- Siemię Lniane jest imponujące – opowiada. - Oni mają swój hymn, wiesz, mundury i żebym do nich dołączył, proponował mi funfel. Siedzieliśmy sobie na piwie, śpiewaliśmy, pokazywali mi tatuaże, że mają jednakowe. Wspólne pieśni. Poszliśmy pobić czarnucha, kurwa, ale nie było go akurat tam, gdzie szliśmy na ten bazarek, tego czarnucha, co zawsze sprzedaje.

Zupełnie bez cienia wątpliwości, nawrócony dealer mówi o Wielkiej i Jednolitej Polsce. Sanacyjnej.

Podkręcamy go:

- Słuchaj, słuchaj, Arek, tylko miecza nie przynieś. A wiesz, że był Dmowski? Wąsy chcesz?

Arek niby nas słucha, ale co jakiś czas robi się jeszcze bardziej uważny, strzyże uszami jak zając. Właściwie cały czas niby słucha, bo przecież cały czas wie, że on ma rację, ale też jeszcze co jakiś czas już zupełnie nie słucha, tylko zawisa gdzieś w powietrzu jak Indianin, wyłapując fale możliwych zagrożeń. Tłumaczy, że może nas znaleźć tu policja, a on już ma przygody z policją, właśnie jakieś tabletki, wiesz, nic wielkiego, i nie chce mieć znowu, też prosił nas wcześniej, żeby flagi, które zdjęliśmy z gminy, wyrzucić. Przechować przed Niemcami - jak się śmiał - bo mogą nas zgarnąć.

No i jest jakiś traf w tym wszystkim, bo faktycznie przychodzi straż miejska, ale tylko łagodnie nas wyganiają. „Panowie pójdą do siebie do domów.” Wyglądamy w końcu poważnie, nic takiego złego nie reprezentujemy i mogą odpuścić.

Ścieżki całego świata przeplatają się, łączą, tną nawet i zwalczają, ale gdy jest się ujaranym, każda z nich jest czuła, każda kryje na tyle wiarygodną obietnicę, że można się zgubić, wybierając wciąż nowe. Podróż międzygwiazdowa trwa dalej. Tu, tam. Zaczynają z nami chodzić drzewa, rzeczy, wszystko trzyma cię za ramię. Akurat ścieżka nasza idzie obok policji, dobra, chodźmy na policję. Flagi wyrzuciliśmy, nie ma obaw, na pewno nas nie złapią. Stróżowie porządku dumni ze swoich samochodów, granatowych mundurów, i tego, że są w nich do siebie podobni, obserwują nas. Trzech idących cicho ludzi na tle z lip i rozpadającego się betonowego muru w słabym świetle latarni. „Łapiemy ich” - myślą policjanci. I ruszają, aby nas spisać. Kubę łapią za ramię i wypisują mandat za noszenie piwa. Kuba się denerwuje. Być może nawet wyjmując rękę z kieszeni. On się w takich chwilach bardzo unosi. Trzeba go powstrzymać. Po kilku minutach rozmowy zadaje im ważne pytanie:

- Czy wiesz, kim jest mój ojciec? - krzyczy.

Tu niestety nie bardzo jest komu nie tylko wiedzieć, ale i go uładzić. Arek nie chce mieć kontaktu z policją. My już nie pamiętamy, że zawsze są takie kłopoty, poza tym mam sporo blantów w kieszeni. Hm, gdyby był tu Robert... Rozmowny, wygadany i nadzwyczaj towarzyski, podszedłby, powiedziałby, od tego trzeba zacząć:

- Panowie...

Ale go nie ma. Kuba brnie, wyjmując komórkę, składa skargę do ojca sms-em. Siedzimy obok w cieniu lip. Ukryci za policyjnym autem, najarani w dobrych, ale nieco przygaszonych humorach, Kuba nie może trafić w klawisze telefonu do taty, ale podtrzymuje rozmowę z policjantami:

- Że co to, kurwa, jest?

Jest w takiej lekkiej, ciemnej kurtce jak zawsze i oni jakby go chyba szarpną za tę kurtkę, tak widzę zza volkswagena, mówią, że musi poczekać z nimi chwilę. Podchodzi do nas, mógłby uciekać, myślę. Każdy krok daje mu większą wolność. Może minąć nas i wpierdolić się na ogrodzenie od rozjazdów na kolei, widzę, że ma coś takiego w oczach. Ale nie. Podchodzi.

- Słuchajcie, te chuje chcą mnie zatrzymać na jeszcze chwilę, bo może być obraza funkcjonariusza. – Uspokajam go, czuję się jak tchórz, ale Kuba nie słyszy, po prostu do nich wraca. - Chłopaki, idźcie do parku - mówi. - Zaraz dojdę.

I ruszamy. Trochę nam to psuje humory, ale kiedy tylko wchodzimy między te bloki, Arek mówi, że Kuba da sobie radę, poza tym nikogo nie obraził. No właściwie tak. Dajemy się przekonać. Już nigdzie nie siadamy, dlaczego nie zajarać? Jaramy. Arek zaczyna żartować z policji. Już sam nie wiem, czy żartuje. Że jak przyjdzie ojciec, to im pokaże.

Przechodzimy obok wielkiego szyldu „Oninen” ze strzałką pokazującą w prawo i mój brat mówi, że zawsze myślał, że po jakimś, dajmy na to po skandynawsku, „Oninen” to w prawo, ze względu na tę strzałkę. Zaczynam rozumieć dowcip. He, he. Oninen w prawo. Ile razy to mijalem i zawsze myślałem, że to jakaś firma, a to znaczy w prawo. Zaczynamy czuć się jak wcześniej, może skład nieco zmieniony, uszczuplił się, ale duch, duch wraca. Coraz cieplej, luźniej, jakby więcej miejsca.

I wtedy, tuż przy kościele, dzwoni Dorota, żona Roberta. Na początku nie wiadomo kto, Arek łagodnie wyjmując telefon. Patrzy i zaczyna go parzyć.

- Dorota dzwoni! Dorota Krawędź dzwoni.

Podaje go mojemu bratu żeby odebrał, ale ten mu go oddaje. Zaczynamy się przerzucać tym telefonem, nowoczesnym kominkiem, który gromadzi wokół siebie ludzi.

- Dorota Krawędź dzwoni. Dorota Krawędź dzwoni.

Zaczyna mnie to śmieszyć. Nie mogę się opanować. Telefon chodzi między bratem a Arkiem.

- No odbierz, weź.

- Nie, ja jej nie znam.

Boją się zdalnej Doroty Krawędź. Arek w końcu kaszle, uspokaja się, zostaje mu tylko teatralny gest wymownego młodego człowieka na twarzy (studiował prawo) i przykłada słuchawkę do ucha.

- Ekhm, ekhm, słucham? - Musi go pytać, co się tam dzieje, bo Arek odpowiada: – Nic, nic, siedzimy sobie, tak, chodzimy. Nie, no dobra, tak, przyjdziemy. Tak. Spoko. A Robert jest?... No... Możemy przyjść? Dobra. To wrócimy po Kubę... Nie, Dorota, to ci później wytłumaczę. No pa. – I kończy, upuszczając słuchawkę. Wracamy po Kubę.

Przed komisariatem zastajemy już tylko pustą scenę. Cisza. Teraz moja kolej. Wykręcam telefon do Kuby. Musi iść już gdzieś nawet Strażacką, blisko swojego domu, bo wcale nie chce się wracać.

- A tam, kurwa, idę do domu. No... trzymajcie się.

Już nawet nie silę się na żart na koniec. Kuba bywa też konkretny. Ma papierosy, może zostawili mu to piwo. Cóż, wracamy pod dom Doroty i Roberta, jest nieco lżej, zaraz zejdzie z

nas zioło, zaczynamy nawet – dziwna rzecz – zaczynamy się ścigać, choć nie umawialiśmy się na wyścig.

Przez asfalt na Ołówkowej przechodzą cienie linii elektrycznych. Idziemy powoli, powoli, snując się, ale mnie na przykład zależy, żeby taką linię minąć zawsze jako pierwszy. Widzę, że także chłopakom, bo później już mi coraz trudniej jest ją pierwszemu minąć. W końcu ktoś mówi to na głos.

- Ścigamy się?

- He, he.

Moment, kiedy rzecz odkryta, zadenuncjowana, się kończy, wcale nie trwa długo, nie ma czasu. Arek nagle zrywa się gwałtownie i ucieka. Czuję dosłownie jego nogi. Szybkie, żywe, wcale nie pijane, trzeźwe, pełne energii. Ani mój brat, ani ja nie wiemy, o co chodzi, zero pytań, podziw. Ginie gdzieś między pocztą a piekarnią. Znikający punkt. Z ławki przy skwerze wstaje gość i mówi: „Powiedzcie temu kutasowi, że i tak go złapiemy”. Spoglądamy na siebie. A, o to chodziło! To przed tymi gośćmi uciekał. I jeszcze bardziej porozumiewawczo. No tak, Arek będzie w domu pewnie u Doroty. To idziemy.

- Ty, ale może chodźmy na hot doga. – rzuca jakby w kontrze mój brat.

- Dobra.

Już bardziej milczymy. Nie opowiadam żadnych teorii, Dominik też nie. Stacja to kawałek drogi, która się dłuży, i trzeba ją tylko przetrzymać. Frenetyczny, ale i taki źle doprawiony wieczór. Na stacji hot dogów nie ma. Kupujemy sobie czekoladę, siadamy przed „Shellem”, o tej porze są miłe krawężniki, i ją zjadamy.

Idziemy znowu w kierunku Doroty i Roberta, ale już chyba mniej do nich, a bardziej, żeby się rozejść, jeszcze nie wiem, co na to Dominik, to już Dominikowi trochę nie po drodze, ale mnie odprowadza, jest mi miło, ale mogę iść też sam. Od pomysłu z hot dogiem nie mówimy już, że zrobimy to, co ustaliliśmy. Nawet nie wspominamy o tym, żeby znowu dołączyć do Głowińskich. Temat sam znika, tak jak się usypia wieczorem. Wyjmujemy ręce z kieszeni. Żegnamy się. To trzeba bardzo starannie opowiedzieć. Odwracamy się plecami do siebie i idziemy w przeciwnych kierunkach.

Zostaję sam.

Strząsam z siebie fałszywy śmiech, staram się zostawić to, co było dobrego, i powoli, łagodnym krokiem, idę do domu. Już sam mijam pierwszy cienie linii elektrycznych na Witkiewicza. Potem z Witkiewicza w Znojną i do Pokoju. Przypatruję się psom, myślę, czy mógłbym się z nimi zamienić, pozdrawiam naszego Pana Wszechmogącego, Te Igitur Clementissime Pater, bo tyle stamtąd znam i jeszcze jakiś kawałek z Rilkego: „Co byś zrobił,

gdybym umarł, Panie?”, nie tyle rozumiejąc to wszystko, co pamiętając, że swobodniejszym chwilom zawsze towarzyszą podniosłe słowa, ale może też nie mówię tego, tylko gapię się w kasztany i spierdalam do domu.

Jeszcze na Pokoju, w tym miejscu, gdzie wcześniej mi też przyszło to samo do głowy, zastanawiam się, czy nie tańczyć. Nie zdjąć koszulki, do pasa, a jak, tam, przy tym rozwalającym się domu skrzypaczki, i nie zacząć się ruszać. Jak ten chłopak, ten z komórki. Kiedyś już tak robiłem. Umiem. Idę w tym kierunku, uczynnie, w połączeniu z wszystkim, co obok. Podchodzę do płotu, zamyślam na chwilę, rozpinam koszulę, potem spodnie, wyjmuję cienkiego jak zawsze po paleniu kutasa, leję i idę do domu. Dzisiaj nie tańczę.

# PORZĄDEK W IMIONACH

## Marek

- Wiesz, jak dojechać do Broniewskiego? – rzucam w tył samochodu, do chłopaka, który przypadł mi do rozwiezienia.

- Ja nie wiem – odpowiada. Choć, poza mną i żoną, jest tu sam, jest jeszcze niepewny, że chodzi o niego.

- To może jedźmy Wisłostradą – rzuca moja żona.

Ruszamy. Kilka kilometrów dalej, już na Sikorskiego, postanawiam zaryzykować. Chłopak wydaje się na tyle zabawny i ciapowaty – z tą łysiną, okularkami, ząbkami chomika i zarostem jak druga strona rzepa, że śmiało i we własnej sprawie myślę, czy nie spróbować. Znamy się raptem dwie godziny, więc nawet jeśli się pomylę, ale powiem pewnie, tak jakbym się tylko przejęzyczył, na pewno się nie obrazi i coś tam na moje usprawiedliwienie wymyśli. Jeśli natomiast zauważy, jeśli go to dotknie, usłyszy że się bawię, to też nic, bo sądząc z tego, jak się zachowuje, to poprawi mnie nieznacznie i utrzymując ton, będzie śmiało mówić dalej.

Jedziemy. Milczę i kalkuluję. Mijamy kolejne puste, zimowe warszawskie ulice. Wycieraczki pracują cały czas. Pada bardzo wiele słów. Boję się ciszy, cisza zbliża nas do końca, a źle jest rozmawiać, gdy nie zna się rzeczy najważniejszych. To zabarwia wszystko. Nabieram odwagi.

Chwila cierpienia, parę bardzo bliskich sobie, żeby nikt nie widział oddechów, i słyszę sam siebie:

- A Ty? – Teraz wyraźnie, konkretnie: - Marek, czym się w życiu zajmujesz?

Facet wybudza się w swej lepiance z płaszczy, odwraca głowę od zimowego okna i znów gotowy do gadania rzuca:

- Informatyką.

Wracamy do rozmowy.

W domu Zuza dziwi się. Mówiłem tak pewnie. Skąd wiedziałem? Zgadywałem. Pasował.

## Elwira

Wielki wieżowiec na MDM-ie, nieznane światowe towarzystwo wynajmujące mieszkania wynajmuje je i robi imprezy, my też tam jesteśmy, siedzimy w kuchni, pijemy piwo, rozmawiamy sobie. Jestem akurat w takim nastroju, że nic mi nie grozi, wpadam na pomysł, że skoro już wszyscy nie znamy swoich imion, to może byśmy je zgadli. Idzie zaskakująco dobrze.

Jest na przykład Krzysiek, młody brunet w cienkich okularach, lubi klub Polonia, z boku głównego nurtu, choć go akceptuje. Krzysiek zostaje odgadnięty od razu. Jest absolwentka liceum plastycznego, słucha Milesa Davisa – to Ania. Wysoka, ładne ciało, twarz tylko ciekawa, organizatorka wystaw w Zachęcie prosto z Warszawy – na imię ma Hania. Przedstawiciel handlowy z Gdańska wyglądający na Pawła albo Tomka. Ale raczej Tomka. Mimo że można się pomylić tylko trzy razy, wszystkich daje się zgadnąć jeszcze przed ostatnią szansą.

Warto spróbować. Przyglądasz się wyglądowi, dopytujesz, czy z Warszawy, jakie pochodzenie, i już wiadomo, że jeśli nie Monika, to Kamila, a jeśli nie Kamila, to czy i jakie skończyła studia i gdzie teraz pracuje, to się wszystko łączy i wychodzi na to, że Patrycja. Bawimy się świetnie. To w ogóle jest kulturowe odkrycie, że wiemy tak wiele o sobie zupełnie pod spodem, że są takie gry, w których można dotykać się bardzo głęboko, tam, gdzie na pewno bolą zęby, i bawić się tak doskonale na powierzchni.

Ale jedna osoba stawia nam opór. Z tym oporem trudno. Siedzi akurat naprzeciw mnie, za kuchennym stołem, patrzę na nią cały czas, właściwie wszyscy na nią patrzą. Wszyscy chcą wiedzieć. Słucha mrocznej muzyki, wokół twarzy ma dużo czarnego, farbowane na czarno włosy, trochę czarnego metalu z kolczyków, niżej jeszcze czarne korale, na twarzy dużo czarnego makijażu, sama twarz przypomina wazon z wielkimi białymi plamami oczu. No i nikt nie jest w stanie zgadnąć, jak ma na imię ta osoba w czarnych, podartych rajstopach, czarnej skromnej sukience i subkulturowej twarzy. Nikt. I tak jak wszyscy siedzimy w kuchni, tak wszyscy czujemy się nieswojo. Koniec zabawy. Detonuje to nas.

- To, słuchaj, jak masz na imię?

Odpowiada.

Zuza w domu mówi mi już później, że ona wiedziała, ale wstydziła się zapytać.

- Dlaczego Zuza, dlaczego wstydziłaś się zapytać?

- Bo my tak na koloniach nazywałyśmy cipkę.



## Imię nieznane

Imię. Czasem myślę, czy nie lepiej byłoby, gdybyśmy ich nie mieli. Gdyby przed każdym człowiekiem było już tylko pusto. Żeby nie uszczegóławiać. Jedno wielkie nienazwane plemię. Żeby nic nas różniło, hej – nie nazywaj go po imieniu, człowiek nie wymaga imion. Dobry obraz widziałeś, a fotografię, a człowieka w mroku, a palącego papierosa, a oko jakieś, co jechało tramwajem w przeciwnym kierunku, a ucha kawałek? To nie ma imienia, to plamy barwne, kształty cieliste, to my, tu nie ma nazw. Zrezygnuj i ty. Jest lepiej bez wahań, dystansów, propozycji pomnika.

Marek, Elwira – to są przecież gotowe pomniki. Podchodzi się i szuka spizu, głowę zadziera do góry, widać ślepe białka oczu, głuchotę uszu i dopiero potem szuka się gdzieś między nogami tego kajtka, tego czegoś wielkości metr siedemdziesiąt, trzymającego się rączki w metrze, sikającego ze strachu pod kupą metalu.

W podręcznikach do reklamy, może nie od razu, może nie na pierwszym miejscu, ale jest taka aluzja, namawiają, wprawne oko zobaczy, wrażliwe poczuje – aby nie używać imion. Wiedzą, o czym piszą. Nawet jeśli w reklamie użyją słowa: „Tomek”, nigdy nie pomyślę o sobie. Imię na dobrą sprawę wycina wszystkich, ktoś nie lubi, ktoś nie chce, kogoś to żenuje, no i nie jest o samym ludzkim ciele. O tobie - już bliżej, prawda. Tak więc jeśli nie tworzymy bohatera marki, mówią podręczniki, nie używajmy imion. Jedna z tysięcy ciemnych zasad marketingu.

Ja też wstydzę się imion, imiona mnie oddalają. I to już przy samym początku. Jak jej dać na imię, jak ją od siebie oddalić? Imiona zabierają przestrzeń, która należy do wszystkich. Wraz z imionami wchodzi w nią banda niebezpiecznych ludzi z miasta i podpalają sklepy, rozbijają samochody i kopią psy. Spotkani przechodnie czekają na ciosy. „Masz być Piotrkim i nim będziesz, nabierzesz wszystkich tych cech, których od Piotrka wymagamy” – żaden bandyta ci tak w twarz nie powie, nikt tak na ulicy nie mówi, ale groźba jest wiarygodna. Oznaczmy cię jak bydło i tak już od tej pory będziemy do ciebie mówić. Wejdzie to w ciebie i poddasz się tej niewoli. Będziesz codziennie wyglądał ze swojego sklepu w pasażu i oczekiwał ataku, codziennie nadstawiał na cios imienia. I przychodzą, sprawdzają. Naznaczeni tak samo jak ty, poddani tej samej władzy, jeszcze innym bandom, które napadają w ich własnej okolicy. Bardziej zorganizowanym, w mundurach, na schwał.

## Imię

Weźmy takie urodziny moich dzieci. Biały dom na obrzeżach miasta. Czerwiec. Grill, huśtawka, taras, salon, kuchnia, wszędzie. Wszędzie są ludzie. Na stercie drewna dzieci, przed domem dzieci, w salonie dorośli, na huśtawce dorośli i dzieci. Wszędzie głosy. Przez niebo, poczawszy od wysokości oczu, przetaczają się stalowe burze. Dźwięk widelców dzwoniących o noże, talerze, zęby. I nawałnica dźwięków, która dociska ścianki uszu do wewnątrz, ścisła głowę i uszczupla przestrzeń. Wąskie okopy pierwszej wojny światowej, którymi przemieszczam się, by podać kawę z kuchni na taras dla gości, potem zachodzę pod akację do grilla i z powrotem do salonu, by znowu przejść przez kuchnię. Ciało się brudzi, uśmiech nie schodzi z ust, napięcie woli, które broni mnie przed zgubieniem, pozwala wyławiać tylko te dźwięki, które dotyczą mnie najściślej, jak świst kuli. Wprawne ucho wojskowego, które kłania się tylko kulom lecącym w jego stronę. Podać herbatę – już proszę. Kawa, łyżki, kakao, gdzie jest kamera, czy masz pieluchy, telefon ci dzwoni, chodź, napompujemy basen. Czy masz śruby do trampoliny. Tomek, dzieciaki wchodzą na drewno. Czuwam. Przenośny, spokojny środek burzy. Oko cyklonu. Tomek? A masz kombinerki?

I w tym wszystkim, w całej bitewnej zawierusze, gwarze kul, świście pytań, pamiętam wszystkie imiona gości. Niczego nie zapomniałem. Nie zginąłem, nie poddałem się.

Pamiętałem imię Violetty, którą charakteryzuje to, że ma nie dwie piersi ale trzy, a jedną zamiast głowy. Jej męża, Arka, w bardzo delikatnych okularach, im delikatniejszych, tym człowiek bardziej okrutny, do którego imienia trafia się przez nazwisko, bo na nazwisko ma Sęk. Pamiętam ich. Nie myślę też imienia siostry (która przyjeżdżała do nas, kiedy byłem mały, bo jej przeszczepiali oko, a ja wtedy choć raz w życiu mogłem gadać z kimś, czuć się w jakiś sposób blisko), siostry, która teraz ma poranione ręce, dwadzieścia lat później, od farbowania ludzkich włosów – i na imię ma Sylwia.

Tak samo jak nie pomyliłem jej męża, który regularnie wkręca się w fizyczne jakieś rzeczy i jak on i jego koledzy schodzą się do jakichś kultowych zabaw, na przykład biegów czy roweru, to wiadomo, że kończy się trend. Jego imię jest Michał. Nie miałem wątpliwości co do ich córki Agnieszki, że to Agnieszka, jej siostry ganiającej się z moją córką po ogrodzie. Zosi o ząbkach krokodyla. I tych, co siedzieli obok, Pstrokowskich też nie zapomniałem. Renaty, która często nie pamięta mojego imienia, ze słonecznym, miłym uśmiechem umocowanym na grubej, bardzo grubej twarzy. Tak samo pamiętałem imię Marka, jej męża w zbyt małym samochodzie, ich syna Kacpra, pierwszą, jeszcze żłobkową miłość mojej córki. Nowackich z

bardzo miłą Magdą, która źle się starzeje i obserwującego mnie cały czas jej, muszę przyznać, bystrego męża, Witka, i ich rozwrzeszczane dziecko o imieniu Maciek.

Potem pamiętałem też imię płaczącego się z nocnikiem Zbyszka za swoją córką Paulą, dalej jeszcze Roberta, kiedyś bliskiego mi bardzo kolegę, teraz w za małych dzinsach, wypełnionych balonowo jego udami i w długich mokasynach, tak jak i jego dwóch czarnych córek, pięknych już teraz, Robert niepewnie się czuł, gdy je głaskałem – Pauli i Mani. Ich wszystkich nie pomyliłem. Tak samo, jak pamiętałem nazwy miłych sąsiadów Mateusza i królowej Moniki Trębowskich, z Alkiem, który grałby tylko w piłkę i na widok którego wzdychały głośno aż trzy dorosłe kobiety i jego brata Jakuba, który nachylał się nad dziećmi w piaskownicy i mówił tylko: „Pacie do mnie”.

Czabańskich, a właściwie Olgę, która dzwoniła do mnie kilka razy w trakcie imprezy, jak dojechać, co mnie złościło umiarkowanie, jej mamę, której imienia nie poznałem nawet. Ich znajomych, czyli Gładyszów, z synem Kamilem, choć można by myśleć, że Stasiem, i małą Leną, świeżą córką, też nie pomyliłem, Gieratów też nie. Przez moment może, na zasadzie spięcia właśnie ze Stasiem miałem wątpliwość, czy tak ma na imię, ale tak, to syn Krzysztofa. Krzysztof niesamowity człowiek, sam twardy rdzeń korporacji, a przy tym bardzo, w szczególnie sposób poczciwy, nie wiadomo, czy człowiek. Zarazem pamiętałem też imię i jego obgryzającej paznokcie w strachu, choć sympatycznej żony Ady, kiedyś szansy na bliską przyjaźń dla mojej żony, i ich drugiego dziecka, Zosi.

Nie pomyliłem też imion Sikorów z dziećmi Mają, Szymkiem i Kamilem, serdecznego kolegi Pawła, jego córki Marleny, której imię jest zbyt trudne dla innych dzieci, ale dlatego łatwo się je pamięta, to z nimi stałem przy grillu i co jakiś czas odchodziłem, by zbliżyć się do ludzi, którzy siedzieli na huśtawce, żeby sprawdzić, czy nie czują się samotni. Doroty Rzepeckiej, Marka, którego pytałem, czy kandyduje na prezydenta Warszawy, ich córki śpiącej jeszcze w siodełku wyniesionym z samochodu, która ma tak samo na imię jak córka Zbyszka, Paula. Asi (kiedyś po pijaku zrobiła na mnie niesamowicie świeże wrażenie), z którą gdy rozmawiałem, jej mąż, kolejny Piotrek – zawsze myślałem, że ma na imię Wojtek - podchodził do nas, zazdrosny, i zaczynał ją karmić, by pokazać reguły, co nie podobało się Asi, która potem mnie pożegnała: „Do zobaczenia kiedyś tam”, zakłopotana, wyższa, ale tylko, by pokryć swoje zakłopotanie, że nie wie, co zrobić z tą narzucającą się przyjaźnią. I imienia ich dziecka, Kamili, też nie pomyliłem tak jak wszystkich Masińskich. I Darka, który wszystko, co robi, robi z ręką w kieszeni, chyba że nie ma kieszeni. Jego żony, obrotnej, której jeszcze dobrze nie poznałem, ale której imię znam na zawsze, to Basia, która rządzi w domu, tą małą częścią, na

którą zgadza się Darek. I ich syna, o imieniu po zbyt wcześnie zmarłym dziadku Tadku. Ich wszystkich.

Pamiętałem ich imiona. Prawie że odruchowo, w rwanym rytmie urodzinowo-wojennej kanonady. Czułem się odpowiedzialny za każdy opis, każde złe słowo raniło i mnie, każde dobre cieszyło. Gdy wyszli, czułem się ogłuszony. Pierwszy raz. Zapamiętałem ich wszystkich. Czy być z tego tak po ludzku dumnym? Czy cieszyć z krwawej dumy zapamiętałego w swym szaleństwie wojennego bandyty? Wszystkie imiona. Coś więcej niż zwykła zabawa. Podobno w środku każdej klatki o imieniu „człowiek” mieszka jej bohater.

### Chrzcziny

Na programie przyrodniczym, które zwykle ogląda się, gdy ma się poniżej dziesięciu lat albo jest się kompletnie narajanym, albo gdy jest sobota i człowiek jeszcze liczy na to, że w niedzielę się coś wydarzy, i daje sobie ten luz, żeby oglądać takie programy, to na tym programie pokazują ucztę wilków. Drapieżników na pewno, które wcześniej swoją przemyślną grą załatwiły słonia albo antylopę, jakieś duże zwierzę, wokół którego mogą teraz usiąść jak dookoła stołu i się najeść. Czego tam nie ma! Widzieliście pewnie sami. Jest matka, syn, koledzy-wilki, jeśli komuś wpadnie w oko kąsek, to nawet rozedrze paszczę i ryknie jeden na drugiego, byle tylko zjeść to, co on sobie zaplanował. To wszystko kamera podgląda z góry, patrzy na ich stół z perspektywy gałęzi, na której też nie jest pusto. Są sępy. Patrzą łapczywie w dół, bardzo czujnie, bardzo głodnie, nie są w stanie zabić, czekają, aż tamci, rodzina wilków, naje się na tyle, że już im będzie wszystko jedno, kto im z pyska wyjmie antylopinę czy słoninę.

Czekam w kuchni, gdzie zgromadziło się nad fajnym stołem kilkoro znajomych, jemy tu sobie, zrobiliśmy sobie takie właśnie spotkanie i wszyscy się śmieją, a ja nie znam imienia jednego z nich. Bardzo bym chciał, dopytuję żony gdzieś w pół drogi do kibla, też nie wie, ale nie, ogólny stan niewiedza, głód. Bardzo uważnie patrzę na twarze gości, żeby zobaczyć, czy któryś w końcu zwróci się do niej po imieniu, czy któryś wypuści z ust, uroni właśnie ten kawałek imienia. Beata czy jakoś. Może być każde. Byle było. Ktoś rzuca:

- Magda, a gdzie są rękawiczki dla Krzysia? - No i to jeszcze nie jest takie pewne, głodny nigdy nie zrozumie, że ktoś mu coś mógł dać za darmo, a w zasadzie zapomnieć zjeść. Chwila niedowierzania i później. - Jest. nie szukaj. Magda, tu są. Czuję się syty i zadowolony. Rozmawiajmy.

# CZEKAJĄC NA GODOTA

Polną osiedlową drogą jedzie mały, kolebiący się na boki samochód. Czyste i nieruchome powietrze wieszka się tektonicznie warstwami wprost z nieba i tu, na płaskim dole, wydaje się, że mózół autka bierze się nie z drogi, ale wprost z ciężkości tego dnia.

To jedyny zauważalny ruch, jaki można teraz oglądać. Jest świeżo po deszczu, błoto i kałuże są tak duże, że bordowy fiat zwalnia przed każdym obniżeniem, by objechać wodę lub sięgnąć małymi osiami ponad koleiny. Mimo to w końcu daje za wygraną i nie dojeżdża do żadnych zabudowań. Staje na poboczu drogi w środku pola, dwieście metrów od najbliższego domu, tuż przed wielką płaską kałużą, i się nie rusza.

Przez chwilę nie dzieje się nic, dopiero po jakimś czasie w maluchu uchyla się szyba i zza niej wypływa w górę mały, rozpuszczający się powoli w powietrzu dymek. Jest cicho, bardzo gorąco i nudno. Mijają chwile. Dym znika i wszystko wraca ku nieruchomości. Można zacząć liczyć.

Jeden, dwa, trzy, cztery. Drogą, która krzyżuje się z trasą malucha, biegnie dziesięcioletni chłopak, w charakterystyczny dla siebie sposób, a może wszystkich dziesięciolatków wypełnionych Nintendo, Mundialem i ogólnym szczęściem tego, że się urodzili, szura nogami tam, gdzie ziemia jest sucha, a tam, gdzie jest mokro, podnosi je zaledwie o kilka centymetrów wyżej, jakby leciał w powietrzu.

- Przemek!... Cześć, Przemek!

Zza płotu świeżo postawionego domu dobiega głos jego sąsiada, spodziewającego się, że chłopak biegnie akurat do niego, by przywitać się i umówić na mecz wieczorem. „Furtka jest otwarta, chłopak zaraz podejdzie do mojej drabiny, spojrzysz z dołu i powiesz: - Cześć, wujek, kiedy gramy w piłkę?” – myśli sąsiad i wraca do układania drewna. Szczapa po szczapie, po drabince i na górę. Ale Przemek mija jego dom i biegnie dalej. Sąsiad patrzy za nim i zaczyna przyglądać się wszystkiemu, co dzieje się na drodze.

Przemek mija kupę żwiru po lewej, stos drewna na rogu, potem stale i delikatnie gnijącą przyzmę skoszonoj trawy, barok warzywniaka za płotem i trafia na samochód.

Tym razem zza drzwi auta wystaje noga i opiera się o ziemię. Chłopak nie podchodzi do nogi, tylko chwilę przed nią gestykuje, a potem wkłada jedną rękę do buzi i po krótkim, ale dramatycznym oczekiwaniu na odpowiedź (jest przecież nieruchomo, wędrówka mrówki to dramat w takie niedziele) gwałtownie odejmuje ją od ust i, znowu spokojnie szurając, wraca.

Sąsiad widzi, jak przebiega obok jego płotu, skręca w swoją ulicę i znika w obejściu drugiego domu za zakrętem.

Z samochodu wychodzi pięćdziesięcioletni szczupły mężczyzna. Kładzie ręce na biodrach, wyciąga się w powietrzu, przebija je, patrzy w ślad za znikającym Przemkiem i przygląda się okolicy. Znów cisza. Jeśli jest tu pierwszy raz i przyjechał z Warszawy, zastanawia się pewnie, jak oni tu wszyscy, całe te nowo budowane osiedla domów w podwarszawskich polach, żyją, bez dróg, szamba, osłony miasta, sklepów i aptek. Czy to zaprzęta jego głowę? Czy może jeszcze co innego, najbliższa przyszłość, która pokieruje jego autem?

Wydaje się zaskoczony, gdy przed jego oczy w tym samym tempie i rytmie, co poprzednio, zakręcając z gracją psa, wbiega Przemek. Chłopak staje, nawet na baczność, zaczyna gestykulować, a potem wyraźnie do czegoś namawia. Przemek jest dobrym posłańcem. Gdy kończy, schodzi z pola widzenia, staje tuż za jego plecami, ale z boku, by go nie krępować, i czeka na odpowiedź. Obydwaj zastygają, po czym, gdy facet się odwraca, Przemek, nie czekając na odpowiedź, rusza.

Dom, chaszczce, sterty, błoto, lot, dom Przemka. Znowu ta sama droga i cisza. Wszystko trzyma się siebie z braku innych możliwości. Po dłuższej chwili, w ślad za Przemkiem, niedbale, rusza facet. Dochodzi do domu sąsiada, kiwa mu głową i skręca ku domowi Przemka.

Jego kroki robią się coraz wolniejsze. Dochodzi do momentu, w którym już wie, że dalej nie pójdzie. Każdy kolejny ruch ma coraz mniej znaczenia, nie tworzy całości, jeszcze chwila, pasaż fortepianowy i ciało w końcu się wyzwoli. Stop. Facet zawraca. Teraz sąsiad widzi go w całości. Ciemna cera, włosy, szczupłość, twarz, która nie ma w sobie nic poza trudem. Bez żalu, radości, zniechęcenia, żadnych przemyśleń. Ileś zmarszczek, rys, nic więcej, linie policzków. Koszula i spodnie niewarte opisu. Mija dom sąsiada, prawie skręca ku samochodowi i znów staje.

Sąsiad zaczyna się domyślać, że ta mechanika chodzenia w ostrym, piętnującym słońcu wysuszonych godzin niedzielnego popołudnia jest czymś więcej, niż widzi. Czy oni się kiedyś spotkają?

Z domu wychodzi ojciec Przemka. Jest bardzo podobny do faceta z samochodu i z daleka robi w jego stronę lekki ruch ręką. Facet odwraca się do niego, a potem podchodzi z powrotem do domu. Idzie akurat ku płotowi. W końcu dobija. Jest. Przez chwilę są we trzech. Przemek, jego ojciec i najprawdopodobniej dziadek stoją przy murze i coś żywo omawiają. Ruchy rąk, twarzy, spojrzenia. Jest. Ustalenie. Przed domem robi się pusto. Przemek odłącza się od nich i wbiega na moment do domu, by prawie bez zatrzymania z niego wybiec. Kiwa głową. Facet

rusza do auta. Przed nim, ale na tyle daleko, by nie psuć mu kroków, i blisko, by go zapowiadać, błaznuje po dziecięcemu Przemek. Obchodzi samochód i czeka na starego. Dopiero razem go otwierają.

Z samochodu wychodzi gruba, szara kobieta ubrana w równie szarą sukienkę. Już we troje, kolebiąc się na boki, ostrożnie pokonują tę samą, co zawsze drogę. Podchodzą przed świeżo wybudowane ogrodzenie i przechodzą na drugą stronę drogi. Patrzą na zachodnie słońce wpadające w redliny ogródka, łapią się pod boki i milczą. Przemek niecierpliwie szura nogą w pyle wyschniętej ziemi.

Gdy z domu wychodzi jego ojciec, nie odwracają się od razu. Musi przyjść do nich, na drugą stronę drogi, i dopiero tam go zauważają. Mimo to wszyscy dalej milczą. Patrzą się na siebie, a potem znowu w słońce i warzywniak i tylko czasem zerkają w stronę domu. Sąsiad zaczyna rozumieć.

Matka Przemka musi być bardzo zła, że przyjechali. Głucha rodzina jej męża, która pojawia się zwykle niespodziewanie, nie odbiera telefonów, nie wie, jak się zachować, i zawsze ją zaskakuje. Matka siedzi teraz w domu i czeka, aż zdecydują się wejść, przecież mówiła Przemkowi, żeby weszli.

# PIĘKNI LUDZIE

Kiedy na przykład siedzą w kawiarni albo idą z dzieckiem do parku, muszą bardzo pięknie wyglądać. Jej długie, lekko falujące, wypłowiałe od słońca włosy rozwiewa wiatr, odsłaniając opuszki uszu pokryte białym, brzoskwiniowym meszkiem. Oczy mrużą się od słońca, które oblewa też silne, królewskie kości policzkowe, usta o rozchylnych już wcześniej wargach i całą pociągłą twarz o ciemnej cerze z rzadka ozdobionej piegami. Jej szyja, ramiona, nawet łuk długiej, błękitnej sukienki, który znika, gdy wstaje z kawiarnianego krzesła, by dogonić Stasia, wszystko mówi o niej: królowa. Kartagińska królowa.

John? Męska, mocna twarz, okrągła w sposób, który nie przypomina kartofla ani też nie wdzięczy się swymi kwadratowościami jak te z męskich magazynów, zdradzające fałsz i słabość. Podnosi białą filizankę do ust, odstawia, sięga po papierosa, wyciąga zapałki i mocno się zaciąga. Mruży oczy zupełnie jak ona, patrzy prosto w światło ulicy, podnosi rękę i zakłada ją na kark tuż za rzadszymi włosami na czubku głowy. Zarośnięty, z podwiniętymi nogawkami szerokich spodni, marynarską koszulką, rozłożonym laptopem na stoliku i miejskim rowerem, który stoi tuż obok, wygląda na prawdziwego artystę. Człowieka wolnego.

- To może na jesieni? – zaczyna Róża.

- I'm not sure...

- So when then?

- Last day of summer?

I cisza. Silence.

- ...OK.

Przez Dobrą przejeżdża samochód, dziewczyna na rowerze, potem przechodzi zarośnięty student, a oni unoszą się na powierzchni tego dnia jak ostatnie możliwe dzieło życia. Delikatni, silni, niemożliwi. Jak fotografia, gdzie już wiadomo, że światło świeciło tam tylko po to, by pokazać tak wspaniałych ludzi, że chodnik był tam tylko po to, by ich nosić, a przestrzeń - by mieli na co patrzeć.

Bardzo im zazdrosczę. Ilekroć przechodzę obok takich par czy ludzi, czuję, jakbym połknął ciężarek na ryby. Kawałek ołowiu o wadze siedmiu-ośmiu deko, którego nigdy nie strawię ani nie wypuszczę z powrotem, w którąkolwiek ze stron. Sprawdzałem. Zostanie tam na dłużej. Ile ich w sobie noszę? Dość, by nigdy nie oderwać się od ziemi. Patrzę na nich z podziwem, jak ten mijający ich wcześniej student, i wiem, że nigdy nie osiągnę tej doskonałości. To się nazywa mieć szczęście. Filizankę w ręku i pewien wyraz na twarzy.



Ale zatrzymajmy się. Zaczyna wiać chłodny wiosenny wiatr, Róża i John wstają od stolika i ruszają w stronę domu. Wiatr goni ich przez most i w końcu smaga letnim, zmysłowym deszczem na Pradze, by przestać dopiero przed bramą ich kamienicy. Do zrobienia jest wiele rzeczy. Róża już po obiedzie obdzwaniania koleżanki. Gdzie? Kto świadkiem? Jaka muzyka? Jak dużo osób? Czy kościelny, czy cywilny? No i czy w Szkocji, czy w Polsce? Poza miastem czy w Warszawie?

Wieczorem siada spokojnie w fotelu, czeka jeszcze chwilę, aż Staś uśnie. John przynosi jej piwo i zaczynają rozmawiać...

\*

Trzy miesiące później trafia się jeden z tych niewyobrażalnych dni, kiedy wrześnie słońce potrafi stworzyć iluzję lata. I ze względu na tę hiperboliczną aktywność kłamstwa, już w trakcie zostawia wrażenie czegoś szczególnego, co odezwie się jeszcze później w zupełnie inny, nieoczekiwany sposób. Ale póki co, nie ma czasu na myślenie. Jak z każdym ślubem, wir spraw, który otacza gości i parę młodą, nie zostawia nikomu czasu i możliwości na wychylenie się w bok, by objąć całe wydarzenie na raz.

Już kilka tygodni wcześniej siła ta porwała ich i kręciła nimi coraz szybciej, aż w zamęcie i pośpiechu dotarli do dzisiejszego dnia. Dziewczyny pożyczały sobie sukienki, wychodziły z pracy w poszukiwaniu butów, zasłaniając się wizytami u lekarza, a im bliżej było tej doniosłej chwili, nawet faceci zawisali z głowami utkwionymi w kalendarz, myśląc, co dokładnie trzeba tam na siebie włożyć.

Wszystkim najbardziej brakowało czasu. Róża jeszcze rano myślała o menu i zarazem gdzie zostawić synka na tę jedną noc - czy może właśnie tym razem nie mógłby go wziąć jego prawdziwy tata? Miała do niego trochę żalu, osoba ojca Stasia przewijała się często w jej myślach, mimo że nie zapraszała go na uroczystość. Poza tym ktoś jeszcze kupił za małe buty i nie zdążył ich wymienić, ktoś założył zbyt mały garnitur, bo miał tylko ten, świadkowa nie zdążyła kupić kwiatów, John do ostatniej chwili organizował wizytę szkockiej kapeli weselnej, ale przede wszystkim nikt nie myślał, jak to będzie, kiedy już się zacznie.

Takie rzeczy zostawia się same sobie, wierząc (zawsze ze spełnioną nadzieją), że usłużna pamięć zrobi swoje. Zapamięta i pokoloruje wszystko na swój własny, sprzymierzony ze wszystkimi dobrymi siłami świata, sposób. Ludzie czyścili się i malowali, przyczesywali włosy, dobierali bieliznę, ale dokładnie dlaczego i po co, z jaką konkretnie nadzieją, nikt - poza ogólną wiedzą, że idzie wesele - nie wiedział i wołał się nie zastanawiać.

Ślub, tylko cywilny, bo do kościelnego brakło zaświadczeń z różnych parafii, odbył się w Zamku Królewskim i jak każdy w tym miejscu wyglądał podobnie. Tłumek wlał się po schodach, wysłuchał, zlał z powrotem, patrząc na siebie nieco nieufnie, badawczo i na wszelki wypadek z rezerwą. Zastanawiało jedynie to, dlaczego z jakiegoś powodu świadkowa nie mogła towarzyszyć dawanej sobie przez młodych obietnicy, bo zgubiła tego dnia dowód. Krótkie zamieszanie zatrzymała zwykle trzeźwa Róża, biorąc pierwszą lepszą młodą dziewczynę. Chciała co prawda przyjaciółkę, ale jej nieobecność czy może to, że przyjaciółka stała za daleko, i ogólne wymogi sytuacji sprawiły, że wzięła sobie po prostu dziewczynę w niebieskiej sukience z podczesanymi do góry blond włosami, którą widziała pierwszy raz w życiu. Czy to ważne?

Przy składaniu życzeń musiała sobie zapalić papierosa, jednocześnie wysłuchując uwag ciotek i śmiechów znajomych, którzy jeszcze nigdy takiej panny młodej nie widzieli. Następnie towarzystwo wsiadło do dwupiętrowego angielskiego czerwonego autokaru z odsłoniętym dachem, starannie zapakowano kwiaty, wiele osób chodziło w tę i z powrotem po schodach, szukając miejsca, choć i tak już wszystkie były zajęte, i zaczęto szukać Stasia, który gdzieś się na tę okoliczność zapodział. Mama Róży jeszcze przypominała, aby ta zobaczyła się z wujkiem Wieśkiem, którego nie widziała od lat, wywołując ją z dołu przez gości siedzących na dachu autokaru. Musiało być to coś pilnego, bo mimo lekceważącego machnięcia ręką, prośba mamy dotarła do Róży jeszcze dwa razy przez znajomych. Gdy Róża, już wściekła, wychyliła się zza burty autobusu na górze, zobaczyła, jak matka opiera nogę o schodki autokaru i kończy właśnie papierosa. Odpowiedziała jej szybko: „Nie teraz. Słyszysz, kurwa?”. I wszyscy pojechali.

Sala weselna urządzona w dawnym i modnym klubie „Kotły” na warszawskiej Woli przypominała mroczną piwnicę, która kryje w sobie, najprościej mówiąc, niejedną zbrodnię. Aby tam dojść, trzeba było przejść przez zapuszczone podwórko, zamknięte przemysłowymi murkami z czerwonej cegły, minąć z boku zawsze zamkniętą bramę i dopiero potem, wąskim przejściem, wyłożonym teraz czerwonym dywanem, zejść w dół, by natknąć się na setki baloników i zastawione stoły. Nie działa się tam już nic od kilku lat, więc zwykła w tym lokalu zadymiona ciemność dawała wrażenie, jakby wszyscy chcieli się skryć przed czymś i zapomnieć, że muszą stąd kiedyś wyjść.

Tak elegancy teraz Róża i John, ale i spięci tą chwilą, wsadzeni w stroje, które jak rzadko ich krępowały, wzniesli pierwszy toast.

Wyrzucili za siebie związane kieliszki (jeden z nich zaplątał się w rękę Róży), spojrzeli na siebie, uśmiechnęli i każde z wolna, odzyskując ten sam spokój, który mieli jeszcze na

wiosnę, potoczyło wzrokiem po sali. Po szkockich gościach, niektórych w kiltach, po ciotkach ze zbyt ciężkimi biustami, po wujku Wieśku, rodzicach obok i dzieciach, które się na to wszystko załapały. „Sto lat, sto lat” – zaśpiewała mama Róży i zaraz wtórowała jej cała sala w odpowiedzi na to spojrzenie.

Coś się zmieniło. Wszyscy, zarówno goście z Glasgow, jak i Polacy, sięgnęli po swoje kieliszki i z westchnieniem ulgi, świadomym lub nie, rozcięli krępujące ich więzy konwenansu i spokojnie – po chłopsku lub marynarsku - oddali się zabawie. Szkocka kapela zaczęła grać, a wszyscy tańczyć. Wesele wystartowało naprawdę i, trzeba powiedzieć, już do końca nie przestało się rozwijać z jakimś swoim wewnętrznym przeznaczeniem. Każdy kolejny przełom przynosił tylko zaskakującą pewność, że dalej będzie tylko podobnie.

Był i pierwszy taniec, gdy dziewczyna pokazała całą swoją nogę zaplecioną o nogi Irlandczyka, potem pierwszy taniec, gdy ktoś upadł, potem była i kłótnia o talerze, i pierwsza bójka. Pierwsza lecąca torebka podobno była jak gołąb, którego wypuszcza się przed kościołem. Dobre i to, przed urzędem nie było ani ryżu, ani drobniaków. Potem takich latających torebek było wiele, musiało się to naszym paniom spodobać. Ale był i huczny wyjazd po koks. Kłótnia Polaków z irlandzką kapelą, za którą wstawiły się polskie dziewczyny znajdujące w Irlandczykach miłe towarzystwo. Ich wspólny wyjazd do hotelu.

Gdy zabrakło kapeli, zagrał polski didżej, z wyglądu całkiem podobny do Mateusza Kuśnierewicza, którego granie nikomu się nie podobało, ale za którym wstawiła się pijana świadkowa Róży, i gdy go wypędzono na tę siną noc, zaczęła go czule pocieszać na dworze, do momentu, aż ktoś bardziej roztropny, anioł tego wesela umówiony przez samą Różę, wciągnął ją do środka.

Muzyka z radia, atak mieszkańców Woli, właściwie oblężenie, z wyrzucanymi przez uchylone drzwi butelkami w stronę, niech mi wolno będzie tak powiedzieć, wolań - nic nie było w stanie przerwać zabawy, która to lekko stygła, to znowu, rozgrzana nagłym nowym wydarzeniem, podrywała się i rozgrzewała, by strzelać z gorąca balonami w środku sali – ani przyjazd policji, ani zwiniecie taty Róży, który od zawsze nienawidził policji. A nawet, co najciekawsze, szybka ewakuacja wszystkich, zespołu, świadków, pary młodej, która nie tylko nie zakończyła wesela, ale pozwoliła mu pączkować w całej Warszawie.

Róża przeniosła się do mieszkania swojego znajomego, w którym siedziała już jej znajoma z Louistem, pochłonięta tą szczególną miłością osoby świeżo po miłosnym zawodzie i w trakcie depresji. Na kanapie leżał Dariusz, stary chłopak Róży, zupełnie miły i grzeczny chłopak, teraz kompletnie pijany. Panna młoda próbowała go zgonić z łóżka, ale gdy to się nie udało, usiadła na schodkach prowadzących do salonu, złożyła się w sobie i z butelką obok

zasnęła. Było cicho. Para ściskająca się na kanapie w bladym świetle lampki znad okapu tworzyła dobre tło i do śpiącego Dariusza, i białej panny młodej, z odsłoniętymi plecami oraz nogami wystającymi spod krótkich falban, wyglądającej teraz jak śpiący, oświetlony z łódki nocą łabędź.

John, gdy tylko z podwórza kamienicy znikli miejscowi i policja, wziął resztę swoich Szkotów i poszli szukać miejsca, gdzie znowu mogliby scalić to, co rozłączone. Wtedy właściwie wszyscy słyszeli o nim ostatni raz, do momentu, kiedy to powtórnie zjawił się, może nie świeży, ale ułożony, z zawiązanym krawatem i nieco przespany, następnego dnia o dwudziestej na poprawinach w tym samym miejscu.

Na poprawinach dalej brakowało zespołu, który zaległ w kilku hotelowych pokojach, i warszawskiej części gości, znużonych samymi sobą, a przede wszystkim zbyt dużą ilością wódki już na samym początku. I tym razem, nim wszyscy pozostali siedli znowu do stołów, John i Róża musieli się jeszcze zgodzić na zapleczu, że jedzenie będzie tylko pod warunkiem, że zapłacą za wszystkie wyliczone przez właściciela koszty. Tym razem były to wczorajsze pobite kieliszki, zalane fotele, połamane krzesła. Nie targowali się. I impreza zaczęła się na nowo, tym szybciej, że nikt nie był trzeźwy.

Dopiero potem, dzień i dwa później, wyszło, że zgubili pieniądze, które dostali na ślub, ktoś zniszczył samochód wujka Wieśka przed klubem, powstała kolejna miłość dziewczyny „szukającej bolca z oparciem” - jak to określiła jedna z uczestniczek wesela - do brzydkiego Szkota, która szybko przeniosła się do „Facebooka” i pewien kłopot z długami za niezapłacone wcześniej elementy imprezy, choć honorowo trzeba przyznać, że szkocki zespół postanowił za siebie zapłacić. I słowa Róży, które śpiewnie powtarzały jej serdeczne koleżanki: „Przecież nie zostanę z dzieciakiem sama na zimę”. Czy może: „lepiej być rozwódką niż starą panną”, ale tego nikt dokładnie już nie pamięta.

\*

Gdy widzę ich drugi raz, są już po ślubie. Żałuję, że mnie nie zaprosili, ale też mam świadomość, ile mi się należy, i że to zupełnie normalne, że zapomnieli. Wkrótce wyjeżdżają. Pozdrawiamy się krótko w Empiku, gdzie kupują właśnie przewodniki po Hongkongu. Prowadzimy małą rozmowę, z której dowiaduję się, że jutro wylatują. Wszystko tam mają poumawiane i chociaż to ich podróż poślubna, spędzą ją na szeregu biznesowych spotkań z chińskimi producentami tkanin. Róża jest projektantką i traktuje ten wylot bardzo poważnie. Zawsze spada na cztery łapy, jak mówią koleżanki, i to mimo że żyje jak Mick Jagger. Jeszcze

przed ślubem rzuciła pracę w znanej firmie odzieżowej, licząc na to, iż rozkręci swoją markę i wzornictwo. Zapłaciła też komuś, aby wypełnił jej wniosek do Unii, i czekała na dofinansowanie. Tuż przed ślubem dowiedziała się jednak, że jej odmówili. Potem był ten ślub, zgubili pieniądze, powiększyły się długi. Cóż – mówi o tym bardzo otwarcie, ale też dodaje, że nie chciała już zwracać biletów.

Taksówka płynnym ruchem mija ciągi samochodów, John trzyma rękę wyciągniętą wzdłuż szyby drzwi i poddaje się oswojonym nerwom podróży. Ciemne okulary pozwalają mu patrzeć wprost na wrześnie niebo, a ręka wybija rytm nieznannej melodii. Róża myszkuje w myślach po bagażach i zastanawia się, czy wzięli wszystko. Staś jest u babci, dokumenty i projekty w laptopie, wszystko w porządku. Gdy mijają bramki odprawy, jest jeszcze mały kłopot z dowodem Johna, ale wkrótce się znajduje i mogą swobodnie usiąść w fotelach, czekając na kilka spokojnych godzin lotu.

Najbardziej boli mnie w tym wszystkim, wstyd mi to nawet napisać, że jeszcze nigdy w życiu nie leciałem samolotem.

# DZIECIĘCA ZEMSTA

Widzę popalowaną łąkę i nieco niżej bardziej wilgotną i zieloną dolinę rzeki. Wszystko zamyka się w stu, dwustu metrach, otacza mnie wkoło, czuję to nawet na plecach i jest bardzo przyjemne. Nie bronię się.

Mam dziesięć lat. Dwanaście? Osiem? W każdym razie, mimo tego nieokreślonego wieku, czuję się już dorosły, a nawet kiedy teraz, po czasie, o tym myślę - dojrzały. Jestem w krótkich spodniach, na nogach mam niebieskie półbuty skórzane w drugim gatunku z brązowymi sznurówkami, białe skarpety frotte, nieco uciskające nad kostką, jakieś drobne łydki wsadzone w to wszystko, wyżej, na końcu, czarne włosy nałożone na pełną piegów głowę i na twarzy szybkie szare oczy, którymi czujnie czegoś szukam w tych zielonych falach. Jestem daleko poza domem.

Właśnie przyjechałem na wakacje, lub też, tego nie pamiętam, jestem już na nich któryś tydzień i traktuję tę wycieczkę jako coś ważnego. Właśnie początek albo koniec, coś wyraźnie innego, być może dlatego, że jestem w miejscu, gdzie wcześniej mnie nie było, gdzie nigdy nie dotarłem, i każde stąpienie jest wyraźnym aktem woli, obroną samego siebie, świata, który już się poznało. To chyba dlatego, mimo że nie pamiętam wiele z dzieciństwa, te obrazki akurat z niego zostały i jestem w stanie teraz o tym opowiadać. Takie rzeczy zawsze zostawiają ślad w człowieku, a każda nowa ścieżka jest wydeptana także we własnej głowie. Tym bardziej że oprócz tej wycieczki wydarzyło się coś jeszcze, rodzaj obyczajówki, można powiedzieć, dziecięcej.

Dziś chcę się z tego rozliczyć. A dokładniej zemścić, nic wielkiego, tylko na chłopcu, z którym wtedy akurat na tej wycieczce byłem. I to też właściwie dla próby, więc jakoś nie mam sobie specjalnie nic do zarzucenia. On nawet dziś nie umie czytać, a czytelnicy i tak będą się przyglądać. Chłopak jest ze wsi, do której przyjechałem z Warszawy na wakacje, a teraz, dwadzieścia lat później, także z Niemiec, dokąd wyjechał i nie wrócił. Nie powinien też tego pamiętać, dla niego to rzecz doprawdy błaha nawet wtedy, ale mam poczucie, że swoje krzywdy trzeba regulować i tak samo zemszczę się na bliższych osobach, tu z Warszawy. Mam nadzieję, że już wtedy nie będę żartował, bo w życiu jednak trzeba być poważnym. Nie chcę się potępiać, raczej zrozumieć, a wszystkim w ogóle radzę wyrozumiałość. Nie interesuje mnie żadna teoria moralna, długie książki bez fabuły, w tej chwili jedyne, czego bym sobie życzył, to spróbować spuścić wpierdol tej już prawie fikcyjnej postaci, żartobliwy wpierdol z akcentem właśnie na „żartobliwy”. Czy stać mnie na śmiech? Czy stać? Od śmiechu warto

zacząć. Tym bardziej że od siły tej zemsty zależy moja miłość, bo przecież zemsta jest miłością (na mailu mogę to wytłumaczyć), a ja chcę kochać. Nawet za cenę zemsty.

Tak więc jestem sobie u babci, nie? Ale bardziej może powinienem się skupić na nas obydwu, na naszej wycieczce, na Pietrku i na mnie. Jest tu ta rzeka, las na górze, wieś dzieląca odległości między nimi na pół swą żużlową, opadającą w wąwozach i wznoszącą na łagodnych pagórkach drogą, wszystko przykurzone jak w kompozycjach ze starych rycin, no i pachnące, bijące ciepłem, w ogóle taki ładnie zagospodarowany świat, który odurza na początku zapachem, potem bez udziału głowy tumani i okłamuje wszystkie pozostałe zmysły, a na końcu dochodzą już kupione oczy. Jest to Świat Boga.

Z pewnością brzmi to pretensjonalnie, ale jak się czyta jakieś rzeczy i to, co inni popisali, to nie jestem pierwszy, który tak sobie wyobraża raj. Góry mają wyraźnie ludzką skalę, są ruczaje (słowo „ruczaj”?), strumienie, źródła i ptaki wiszące na niebie, tajemnice i misteria, zaś duchy tych miejsc unoszą się wokół ciebie i opiekują tobą, nawet bez twojej wiedzy i woli. W maju na chwałę tego tajemnego, ale łaskawego świata przy kapliczkach gromadzą się baby i śpiewają, zaś niezmordowani mężczyźni oczywiście napierdalają się jak trzeba cały rok, ale też nikt nie powiedział, że w rajku ma być nuda.

No więc idę tam nad rzeką razem z Pietrkiem Krucichem. Jeszcze dzień wcześniej umówiłem się z nim, synem Adeli, że pójdziemy łapać ryby. Jest to cała wyprawa.

Pstrągi u nas łowiło się tak, że trzeba było szukać w rzece bełków, jak mówiła babcia, wchodzić w te bełki, czasem o głębokości nawet do szyi, wsadzać ręce w korzenie i szukać ryb. Zimna, wartka woda, kamieniste dno, korzenie. Często nasze drobne ręce gubiły się całe w tych korzeniach, wyciągnięte przed siebie wciągały do wody też głowę, moczyły włosy, uszy i usta. Palce sprawnie przeszukiwały wszystkie rozgałęzienia olchowych korzeni, by czasem ze szczęściem trafić na śliski kształt, który strwożony zatrzymywał się na chwilę i trafiał na drugą rękę. Palec włożony w skrzela, mocniejsze ściśnięcie wijącej się ryby, straszliwe dziecięce napięcie, by nie upuścić tego skarbu, i wyciągaliśmy z wody ryby często o długości, to już wiadomość dla wędkarzy, nawet do dziecięcego łockia.

Piszę o tym teraz niepotrzebnie, bo łowienie ryb, słońce odbijające w wodzie od razu nasze twarze, gładka powierzchnia wody w tych zagłębieniach czy chłód otaczający nasze dziecięce ciała nie ma nic wspólnego z głównym wątkiem. Ale tak to jest z przywoływaniem rajku - chciałoby się stamtąd nie wychodzić. Krańcowy realizm, brak hierarchii ważności wątków, brak w ogóle fabuły, detaliczne, długie same opisy. Tak mogłoby być, ale.. no właśnie. Nie mogę zapominać.

Gdy zaczynam to opowiadać, każdy z nas niesie kij. Na moim wisi jedna ryba, na jego - oprócz ryby para starych kłapek. Zielone i czerwone kropki na skórkach pstrągów jeszcze godzinę temu żywe i jaskrawe, powoli blakną, a sama skóra rozwarstwia się i wysycha w marszowym słońcu. Pietrek jest prawie zadowolony, Adela wysłała go po obiad, jeszcze jedna ryba i może wracać do domu. Ja, warszawiak, tylko dołączyłem i cieszę się, że coś w ogóle mam. Coś! Złowiłem ją własnymi rękoma! Mimo to ukrywam swoją radość. Między nami trwa zakład.

Muszę wyśledzić miejsce, gdzie nasza rzeka łączy się z inną bardzo do niej podobną. Z uwagą przypatruję się zaroślom rzeki. Pietrek wie, gdzie to jest, i ma mi nie mówić. Jeśli zgadnę, jeśli zgadnę... To jest nasz zakład i zależy mi.

Mimo że wpatruję się w to z dużą siłą, wszystko wygląda podobnie. Dolina rzeki, zalewowe łąki, dopiero wyżej nad skarpą zaczyna się chłopski świat, owies łączy się z pszenicą i poletkami koniczyny, nieuczesane, skołtunione granice pól kryją kamienie i węże, słońce opiera się o korony olch i grabów, by upaść na plecy Pietrka, a później wpaść do moich oczu. Wysokie trawy pochłaniają nas całkowicie, to one pierwsze są zainteresowane naszą obecnością, potem reszta.

Jesteśmy znużeni. Pietrek milczy, był tu, widział to, dla niego to obiad. Ja nigdy tu nie byłem, towarzyszy mi dziecinna myśl, którą lubię nawet teraz - że tam, gdzie jeszcze nie byliśmy, jest przepaść i można w nią wpaść - więc każdy krok ma w sobie wiele z odwagi, mimo to szukam. Krok w wysoką trawę, oczy w górę, chwila zawieszenia i dalej. I nagle, nagle Pietrek w naszej kilkugodzinnej wędrówce i milczeniu wiejskiego dzieciaka zaczyna mi intensywnie nawijać o czereśni wiszącej gdzieś dalej, nad nami, że są dobre czereśnie na niej teraz. „Tam, widzisz. Nad tą kupą kamieni wyży, no patrzaj tam”. Odwracam wzrok, idziemy do czereśni. I wracamy z powrotem nad rzekę, ale już kawałek dalej.

Przegrywam zakład. Ryba, na którą wcześniej cały czas patrzyłem z nadzieją, zawieszona metr przede mną na kijku na tle jego pleców, zostaje tam i do niej dochodzi moja, z mojego kijka. Pietrek teraz niesie dwie ryby. Ja - pusty kijek. Jest mi ciężko. Niewymownie ciężko. Czy powinienem mu coś powiedzieć?

Bez większych nadziei, ale liczę na to, że uda nam się coś jeszcze złapać. Namawiam go na jeszcze jedno miejsce, tam są duże ryby. Zostawiamy rzeczy na brzegu i wchodzimy do wody. Gość, który błąka się tutaj, zabiera nam ryby.. Wychodzimy na brzeg i idziemy za głosami, które słychać kawałek dalej. Trafiamy na piknik kilku dwudziestolatków. Jest tam wydeptane, są dwa samochody, ognisko, , dziewczyny, no i nasze ryby. Wołają, żebyśmy podeszli.



- Chcecie spróbować? To przynieście nowe.

Brzuch wypełnia się szarością, koniec. Pietrek się martwi, że w domu, przy bladym świetle słabej żarówki, czekają go tylko wyrzuty, że zmitrzążył tyle czasu. Ja go pocieszam, złorzeczę tamtym. Dla rewanżu, marnego przecież, wchodzimy w krzaki i w słabym, upadającym już słońcu krzyczymy z krzaków: „Łysy jest debilem, ruda cipa”, wszystko, żeby popsuć tamtym zabawę. Ale nawet nas nie gonią. Nasze ryby smażą się nad ogniem, nie ma ich już tego dnia i nie będzie. Musimy wracać. Tego akurat nie chcę pamiętać, bo i nie chcę się skarżyć. Ani na niego, ani na tamtych.

Szukam zemsty, a to, co spotkało nas wtedy z zewnątrz, niczego nie zmienia. Tak samo zresztą jak późniejsza śmierć dwóch braci Pietrka, z których jeden zginął w wypadku przeładowanego malucha, drugi sam już nie wiem jak. To nie jest nasza wspólna sprawa. Naszą sprawą, Pietrka i mnie jest ta oszukańczo wygrana ryba. Może błaża, ale gdy przypomina mi się dwadzieścia lat później, myślę, że widać miała jakieś znaczenie, skoro ten malinowy dzień, kijki jakieś, moje buty, a zwłaszcza uczucie, gdy Pietrek po jedzeniu czereśni powiedział, że to ujście – jednej do drugiej – to właśnie minęliśmy i „widzisz, to wiesz, co się teraz dzieje, ryba idzie do mnie” – nawet uśmiech z jego twarzy, wszystko pamiętam, jakby wydarzyło się pół godziny temu.

\*

- Ja, ich haise Peter Krucich. Peter Auch. Ich come aus Poland und nein aus Deutschland.

- Warum bist du so sauer? – pytam brata.

- Nein, ich bin bitter.

- Jawohl, herr Peter

Adam, mój brat, leży na wersalce w brudnej babcinej pościeli, akurat żeśmy przyjechali na wieś, tę od Pietrka, ja siedzę sobie w fotelu przed telewizorem. Może jakoś duszno, jak w wiejskich rozpadających się chałupach, ale dyskutujemy sobie mimo to i jest nam bardzo do śmiechu.

Zresztą od dwóch dni każde dłuższe otwarcie gęby przy świątecznym stole kończy się słowami: „Peter auch”. Można powiedzieć, wir haben gute zeit denken uber Peta. Na przykład mówimy coś o wojsku, część rodziny jest w wojsku, i wtedy pada: „Peter auch. Kartofflen ich mochte“. Podaj mi kartofle. Ja. Peter auch.

Jesteśmy już po opowieści babci o tym, jak się Pietrkowi imię zmieniło, ja zaraz ją wykorzystam, aby wyrównać sobie z Pietrkim, a mój brat po prostu się śmieje. „Peta kome zum mir. Alles kla?”

Wyobrażamy sobie, że mały, ślimaczący się (jak to jest możliwe, że śmiech jest nad wspólnym wyobrażeniem, że można mieć wspólne wyobrażenie?) Pietrek, naści talara, podchodzi teraz do nas razem, panów szlachciców grających w karty powiedzmy w małym dworku, takim z Wajdy, i my go pytamy, czy alles klar. Jeśli nie to:

- Nein? Warum? Peter, nim zwei cigaretten. Thuss.

Albo na przykład pytamy go tak:

- Wie haise deine Frau?

- Meine Frau heise Olga.

Peter schyla głowę, ma koszulkę w marynarskie paski, mleko pod nosem, jest małym, bladym kartoflanym chłopcem z sanacyjnej biedoty i ja sobie po tym jego frau mówię na przykład:

- Schaumall.

Być może jesteśmy okrutni. Pietrek przecież ma jeszcze tyle zajęć na gumnie, musiał szczyścić gumiaki nim tu wszedł, ale, ale, ale....Peter auch.

Cóż. Sam jest sobie winien. Najpierw ta ryba, teraz jego własna historia. Kował złego losu. Cała wieś całe lata dziewięćdziesiąte wyjeżdżała za niemiecką granicę do pracy. Moje ciotki, wujowie, wszyscy się tam znaleźli, wrócili lub nie. I pojechał też Pietrek. Pietrek, który miał już wtedy swoje lata - ja, Ich bin zwanzig jahre alt - i szukał chleba jak inni, na budowach, przy szparagach, opiece nad jeszcze niepomarłymi hitlerowskimi Niemcami. Trafił do stajni. I tam, w stajni Pietrek się zakochał.

Niewiele było wiadomo o jego miłości, ale zakochać się w Niemce? Krucichowa, która się o tym dowiedziała, nie chciała się długo pokazywać na wsi, nikt nie myślał, że to dobrze, ale i tak wszyscy czekali, kiedy to Pietrek zjedzie ze swoją. Dochodziły stamtąd tylko wieści, że jest gruba, że siedem lat starsza, bardzo gruba, i tak samo pracuje w stajni przy kuniach. Śmieli się z pocącego się babska, które nic nie umie, tylko ogląda telewizor i wchłania Pietrka w siebie co noc, mogą się założyć, że o tym myśleli. Czy nie takie były ich żarty?

Ale Pietrek chciał być mądrzejszy, wrócił. Podobno przyjęli go ciepło, tak jak umieli, nie śmieli się, rozmawiali. Był w sklepie, na spacerze z żoną, podawali mu piwo i wurst na grilla. Był jak swój. Ze swoją Niemką. Grosse Liebe. Nie przewidział tylko jednego. Czy ja byłbym mądrzejszy?

Wyobrażam sobie tę scenę tak. Pietrek wchodzi do swojego niemieckiego auta i przygotowuje się do odjazdu. „Thuss. Meine leben ist nicht in vaterland” - myśli, że mówi matce, że takie już jego losy, ale tam ma lepiej, ale będzie wracał i już siebie też widzi rozpartego jak tą samą pagórkowatą, już wyasfaltowaną drogą opuszcza Polskę przez wieś, miasto i granicę. Tak myśli. Dumny.

Całej scenie zza firanki w kuchni przyglądają się jeszcze dwie osoby. Siedzą przy stole, w tej wsi wszyscy siedzą przy stole, ręce mają założone jedna na drugą, nawet jeśli odrywają, to też zaraz złożą je z powrotem. Bacznie obserwują i dalej milczą. Pietrek z Helgą już wykręcając swym srebrnym autem z gwiazdą na przedzie na żwirowym podjeździe, matka zamyka bramę ze świeżych zbitych desek, wizyta już przy samym, samym końcu. Mercedes, duże auto, toczy się ze żwiru na asfalt, wykręca, kamyczki chrzęszczą pod czystymi czarnymi gumami kół. Mężczyzna patrzy w kawę, w fusy, czeka, aż Pietrek, sto metrów dalej, przy drugiej chałupie zmieni bieg i z tą samą, dużo jednak wolniejszą niż my w naszym małym, paniczowskim dworku, kpiną mówi do kobiety:

- Ten Pietrek...

Cisza. Po chwili.

- ... to się teraz taki, taki...

Cisza.

- ...Peter zrobił.

Kobieta kocha mężczyznę.

- A wiesz, ty masz rację. Peter. Herr Peter.

Przed sklepem podoba się żart. Wkrótce w całej wsi wszyscy mówią, że ich Peter odwiedził. Ten dawny, chudy i głupio, tanio roztropny chłopak tera je Peter. Dumny wurst. Nie ma możliwości, by nie słyszeli tego i jego rodzice. W końcu ktoś przychodzi i usłudnie im opowiada. Jedno po drugim. Tadek, jego ojciec, siedzi na ławce przed domem, patrzy na mijających go drogą ludzi, jego jedno oko zezuje gdzieś straszliwie, chwilę myśli nad tym, co usłyszał, oko skupia się na jastrzębiu kołującym nad lasem i wydaje - tak to jednak - wyrok.

- Peter. Ta. Tera...to on ...Peter.

Potem przyjeżdżamy my. Słucham historii. Błyska. Przypomina mi się tamto łapanie ryb. Pietrku, czemuś mnie wtedy opuścił?

# KTOŚ MUSI ODEJŚĆ, ŻEBY ZOSTAĆ MÓGŁ KTOŚ

Gdy rozpoczyna się budowę domu, właściwie gdy cokolwiek się zaczyna, zawsze spotyka się ludzi, z którymi będzie się to robić. Moja ekipa od budowy domu przyjechała na miejsce rowerami, widziałem ich, jak zbliżają się polną drogą w jeszcze zimnym marcowym powietrzu. Trzech gości, którzy, gdy już dojechali, oparli rowery o blaszak, popytali o klucz i w środku zaczęli palić. Zaraz po nich pojawił się samochód z majstrem. Na początku byli nikim, dopiero później zrozumiałem, że mam do czynienia ze Zbyszkim, Tadkiem, Jerzym-Jurkiem, ale i tak największe wrażenie zrobił na mnie Tomek.

Tomeczek był fajny, gadatliwy i inteligentny, żywe świadectwo dla wszystkich, których życie przerosło formą albo samotnością, że można być sobie takim o, pięćdziesięcioletnim facetem i ze złośliwą pogodą oprzeć się o własną samotność. No więc Tomek, kiedy się przyjeżdżało na budowę, miał to do siebie, że widział mój strach i niewiedzę, i choć mógł mi tym szkodzić w prosty, ludzki sposób, jakoś tę pechowość sytuacji omijał, a nawet potrafił ją odwrócić. Szedłem sobie schodami domu, o którym nie wiedziałem, czy go budują, czy burzą, a Tomek wyłapywał mnie gdzieś ze swojej drabiny i wołał:

- O witam, pana inwestora!

Było w tym tyle oczywistej kpiny, że natychmiast pozwalało uzbroić się w maskę cynizmu i złośliwości, a że byliśmy w tym dobrzy obaj, wkrótce potem nakręcał mnie i jeszcze dozbrajał, przez co reszta ekipy zyskiwała do mnie szacunek i bolesne spotkanie z budowlaną prawdą warszawskiego inwestora znów odraczało się na nie wiadomo kiedy. Tomek był dla mnie dobrym człowiekiem.

Dlatego Tomka lubiłem. Ciekawiła mnie jego przeszłość, to, że był w więzieniu, kropki nad oczami, esperale i dobroć starego, wyrośniętego mężczyzny, który ma już pozamiatane. Nie wiesz się na nikim, a z życzliwością, bez większej filozofii, czasem nawet głupio patrzy na świat i się z niego śmieje. Stał tam, dajmy na to, na drabinie, bez koszuli, chudy, jego plecy były całe pokryte tatuażami, powyżej nich jeszcze gęste, czarne włosy kończyły się przepisowo, ustępując z drugiej strony miejsca twarzy, która w połowie sezonu przypominała już jakiś zapomniany kawałek skiby na polu – przewalony na wiosnę i zostawiony przypadkiem na wieczne wyschnięcie. Oczywiście były też wąsy, ale wąsy to oddzielna sprawa i nie ma co o nich pisać.

Stojąc na tej drabinie, Tomek zawsze raczej udawał, że pracuje, niż pracował, zajmując się bajaniem ze swymi kolegami i ze mną, jeśli się akurat napatoczyłem. Całkiem miłe zajęcia. Tomek mówił tak, że można było za nim iść albo z nim zostać. Że pałac budują i kiedyś się pieniądze skończą, że nie stać mnie na dodatek alkoholowy, że dlaczego nie chcę mu dać starego drewna na opał dla jego gołębi i że co ja z tym zrobię. Kręcił właściwie cały czas. Ustawiał rozmowę, jakby uczył mnie grać w szachy, każde słowo domagało się odpowiedzi, którą planował. Że działka nie zrobiona, że te kurwy z gminy to już wiadomo – ho ho z tymi kurwami, zadzierał wtedy głowę i spoglądał dokładnie w kierunku, gdzie ktoś naradzał się teraz nad Tomkiem i problemem z jemu podobnymi ludźmi w gminie.

Gdy mówił to wszystko, więzienne kropki nad jego oczami raczej rozśmieszały, niż odstraszały, a ruszające się wąsy przy ironicznych tyradach tylko dodawały światła dniowi. Często z tych wizyt wywoziłem jedynie jego uśmiech i później też przez niego wracałem do ścian, wapna, zobowiązań, z których miał powstać dom, gdzie zamieszkamy. Dopiero potem, idąc w zachodzącym świetle po rozpoczętej budowie, odróżniałem jego robotę po złych fugach, maźnięciach i raczej malarstwie niż murarce. Ale gadał jak preraphaelita, jak neorealista. Słowa trafiały celnie w najbardziej skryte wrażenia, chodziły po domu mojej głowy, jak kobieta prowadzona na największym balu Petersburga za rękę.

Ale żeby nie było, Tomuś był normalnym człowiekiem i całe jego człowiecze piękno miało w sobie też strach. Poważniał, gdy mówił o swojej „sytuacji lokalowej”, a przyciśnięty do muru tłumaczył się na serio z dokonanej papraniny. Byłem zbyt miękki, żeby go wtedy łajać. Szybko wyczuli to pozostali. Stali się mniej ostrożni, choć dzisiaj już nie pamiętam ich błędów, trochę ich było. Usunąłem wszystkie, a ten źle wylany balkon od frontu jest takim znakiem, że zawsze musi być coś nie tak.

Zresztą podobnie jak z tym balkonem, na budowie zdarzyło się też coś, co może już nie teraz, ale wtedy było dużą sprawą. Tadek zniknął czasem na kilka dni z powodu picia, Zbyszek pił na budowie, na bieżąco, Tomek w muszkieterskiej komitywie - może nie pił, ale cały czas tłumaczył tamtych i proponował mi okazję, kiedy mogliby się napić oficjalnie. Ich picie specjalnie mi nie przeszkadzało, te wszystkie wiechy, fundamenty - to wszystko było wliczone w koszty. Pozwalałem. Jakby nie mógł? Ale gdy zaproponowali, że zaproszą kurwy na mój koszt, nie wiedziałem, co powiedzieć.

Rozwalony na kanadyjce przykrytej szarym wojskowym kocem, wpatrzony w przenośny czarno-biały telewizor z wystającą anteną i zawsze ogóreczkiem w ręku, Tomek nie był przekonywający. Maja rozebrana zajmująca się sobą. Wywłok pobrudzony tatuażami. Jedzenie to zresztą najczystszy egoizm, więc po co jeszcze miał patrzeć na mnie? A może już wiedział,

że zabawa, na którą się zgodziłem, będzie na tyle dobra, że może o mnie zapomnieć, bo mu miejsca w głowie nie starczy?

- Kierownik puści tam.

I tyle. I tak się zaczęło. Wiele dni grzało słońce, oni robili, ja przyjeżdżałem co rano i szybko, podobno jak piorun kulisty napierdalałem po pokojach bez dachu, to Tomek tak mówił, a wieczorem, kiedy wracałem z roboty, a ich rowery razem z nimi wywiewało do ich domów, snułem się w blasku zachodniego słońca, wyobrażając sobie słabiutko, że tu kiedyś, może coś, dom. Zupełnie zapominając o tej myśli, która była jednak jakimś podważeniem - że to nie są moi koledzy i w ogóle, raczej do widzenia czy spierdalaj, gdy my mówimy o takich rzeczach. Śpiewały ptaki, zachodziło wielkie słońce, a ja znowu musiałem wracać do stęchłego, utopionego w żarze mieszkania na pierwszym piętrze bloku w betonowym mieście. Trochę jakby mi Tomek ten dom odebrał.

W piątek rano jak zwykle pojawiłem się na budowie z notesem i listą pytań – szerokość komina, dlaczego zbrojenie wieńca tak wystaje, co z pompą, czy się pompa psuje, mlaskałem przy tym językiem, gubiłem notes na murkach okien i cały czas go szukałem. Przypominało to gładzenie głupiego nauczyciela, którego dzieci przewyższają nie tylko energią i sprytem, ale i ogólnym pojęciem życiowym. Nie zwracali uwagi - po drugiej stronie nie było życia, ale i do czego się przyczepić. Oferma z miasta. Choć przecież mieli interes. Gdy stanąłem i zapatrzyłem w jakąś dziurę, myśląc o notesie, wydelegowany, a może sam z siebie Tomek, odezwał się z kąta, gdzie zacierał pacą kawał ściany, czy ja im przywiozę soczki, no i może flaszkę.

- Taką, zwykłą, normalną - dla fantazji dodał – przeźroczystą, wiesz. - Czarne oko przyjrzało się badawczo i, widząc brak reakcji, roześmiało się.

- Tak, muszę uciekać, poproszę matkę. - I już w środku samochodu jak co rano, wykonałem o jeden telefon więcej. Matka kupiła. Wieczorem oni robili zabawę, a my poszliśmy na spacer z dziećmi. Potem pewnie coś jeszcze czytałem albo oglądałem, ale o budowie już nie myślałem. . Jak tam nogi w górę muszą iść i że gdzie oni się podzieją, kiedy już się rozejdą, czy Tomek pije, to już mnie nie interesowało. Tak sobie powiedziałem. I wytrwałem tak aż do poniedziałku, kiedy jak co rano podjechałem na obchód, by odebrać stan robót. Swój dom dla siebie.

Przywitała mnie cisza. Na budowie nie było nikogo, a zamiast zgodnego gwaru radia i betoniarki, było obco, nieudolnie i jak w ruderze. Przed wejściem do kanciapy leżały mokre papierosy, za to w środku, w cementowym pyłe, jak zwykle stały stare szklanki, otwarte konserwy, ogórki Tomusia, puste flaszki starodawnym zwyczajem koniecznie podpierały nogi

stołu. Patrzyłem chwilę na rozbabrane stare koce, chciałem mieć więcej czasu, żeby sobie to wszystko pooglądać i powyobrazić. Sam w ich syfie. Gdzie się kładli, gdzie gadali, oglądali telewizję i piątkowej nocy kochali. Ale ich nie było. Wściekłem się. Wydzwoniony majster przyjechał po piętnastu minutach.

- Wie pan, panie Witku, taka sytuacja. Tak. Taka sytuacja. - Musiałem przytakiwać. Patrzyłem mu w jego oczy i znałem jego plemię. – Wie pan, trzeba powiedzieć wprost. – Podniósł głowę, pokazując, że teraz będzie mówił prawdę, czyli kłamał trochę mniej. - Pobili się, na razie ich nie będzie. Tak, nie wiem do kiedy. – I zaczęło się to, co zwykle: - Oczywiście, oczywiście, tak, dam znać - Gdy za jego odjeżdżającym samochodem opadł kurz, we wracającej ciszy przypomniałem sobie jego ostatnie słowa. - Bo niech pan pamięta, że trochę to taki wspólny pomysł był.

Zostałem sam z czymś zniszczonym, co jest mi po nic, co wziął ktoś, kto się podał za kolegę, i oszukał mnie. Tomuś, kurwa, jebany. Ściana domu stała przede mną jak mur, który oddziela od tego, co tu się zdarzyło naprawdę, i nic nie mogło go przesunąć. Zacząłem rozglądać się po placu. Obszedłem dom z prawej, i z lewej strony, muszę powiedzieć, nie było łatwo. Za usypaną górą ziemi leżał materac i koc, obok pantofle, męska przepocona koszula i damska torebka w złym guście. Z tyłu, w gruzach zwałanych pod przyszły taras, była jeszcze zamazana butem plama krwi i stłuczona butelka. Niewiele, ale przy tych żyłastych mężczyznach, z których każdy przecież miał siłę konia, można było sobie wyobrazić bardzo dużo.

Gdzie są teraz, co robią? To wiedział pan Zajda i nie chciał o tym mówić. Trzeba było ładnie posprzątać teren inwestycji, jak w papierach, i czekać. Wziąłem koszulę w dwa palce, buty najchętniej wsadziłbym na szufelkę, kondomów nie ruszałem. „Wróć, proszę dać mi chwilę” – mówił Zajda. Czasem zastanawiałem się jeszcze, co tam się stało, ale i to minęło. Trzeba będzie zaczynać z nowymi. Zapomniałem nawet o Tomusiu. Dom, dom, dom – znów cały w marzeniach.

Parę razy spadł deszcz, raz nawet ulewa, zdarzyły się krótkie wakacje, w końcu Zajda przyprowadził nowych ludzi. Innych. Cięższych, także w dowcipie, trudno było nawet myśleć o nich i przypominać sobie tamtych. Jeden z nich, ten najbardziej wyszczekany, zaczął, też zresztą z drabiny, musiałem patrzeć na niego, by dowiedzieć się więcej.

- No to się ładnie Tomek urządził.

- A co się stało?

- Co, pan nie wi?

- Te kurwy, co tu były – wytrzymał mnie.

- No...

- To jedna jego córka była.

Reszty dowiedziałem się od Zajdy. Tomek, gdy zobaczył Zbyszka i ją, na początku jej nie poznał, ale potem wściekł się i poszedł po nóż. Wtedy wszystko się skończyło. One się rozbiegły, Zbyszka Zajda wziął do szpitala. „Nic się nie stało.” Parę dni później, gdy wracałem w zachodnim słońcu, jakby było ono moim autem, już wygodnie, bez żadnych dyskomfortów do betonowego miasta, przed sklepem Klimek mignął mi znajomy, chyba trzeba powiedzieć, ryj. Siny, zielony, zbolący, podparty w kucki z butelką w ręku. W środku oczu było pusto, a w rogu coś na kształt obcego stwora, myślącej plazmy. Minąłem go i pojechałem dalej.

Podobno mówią, że z nowego domu zawsze musi jedna dusza odejść.



# POZDROWIENIA DLA BORDO

Niedaleko grilla, tuż przy wejściu na działkę, wisi brzemienna, pełna owoców, zbyt ciężka, by wytrzymać swój własny ciężar, złamana gałąź czereśni. Mam to w dupie. Zaraz będę się tu napierdalał, a póki co uważnie chodzę po działce i przyglądam się każdej rzeczy, która na niej jest.

Działka jest bardzo mała i wszystko na niej jest malutkie. Na środku stoi malutki domek, do którego prowadzi krótki i wąski betonowy chodnik. Obok stoi czereśnia, przycięta tak, żeby nie rosła za duża, przed domkiem stoi odpowiednich proporcji weranda z malutką pergolą i trejżami, po których pną się klematysy i bluszcz, poza tym dookoła widać róże, azalie i dużo różnych mniejszych kwiatków.

Jest ładnie, a nawet, jeśli można tak powiedzieć, pięknie. Małe piękno małych ludzi, gdyby to ich nie obrażało. Zadbany ogródek działkowy u zbiegu Malinowej i Agrestowej w obrębie ogródków działkowych „Glinianki” zakładów produkcyjnych „Kabel” w Ożarowie Mazowieckim. Wszystko stworzone dwadzieścia lat temu, gdy architektura sakralna budowana była ze składek polonijnych, a materiał na domki działkowe zdobywało się w senne popołudnia długimi kombinacjami zamian w wielkich fabrykach tonącego PRL-u. Z wanny na przydział wczasów, z wczasów na ustąpienie miejsca w kolejce o awans, z miejsca w kolejce na kilka palet suporeksu, z którego powstać miał kolejny prywatny raj, bo tak później nazwali je „antropolodzy codzienności”, opisując stosunek świeżych mieszkańców przemysłowych miast i miasteczek do tych działeczek, działeczuniek właściwie, które zapewniały im choć trochę porządku w świecie, do którego się przenieśli i którego nie rozumieli za grosz. A tak to wszystko było OK. Mieli ziemię. Choćby pięćdziesiąt metrów kwadratowych.

Ostatni raz byłem tu dwadzieścia pięć lat temu. Muszę powiedzieć, dużo się pozmieniało. Wszystko wedle zasady: mniej warzyw, więcej uczuć. Już zeszłego lata, gdy przejeżdżałem tędy z córką rowerem, nie mogliśmy się nacieszyć tym, że dróżki dojazdowe to po prostu przycięte i równe trawniki, w swej wymowie podobne do domowych dywanów, zza płotków uśmiechają się do nas uroczym malwy, dalej puszczaają oczka wiśnie, czereśnie i nawet morwy. Wszystko w skali nieco za małej na powagę, ale całkowicie ją udające. Wyciągając wtedy głowę na rowerze i próbując ją przerzucić przez to małe ogrodzenie, nie mogłem się nadziwić, że po ćwierćwieczu wszystko to trwa dalej, ktoś to pielęgnuje i że dla niego ono może być równie ważne, co kiedyś dla mnie.

Pamiętam, jak w latach osiemdziesiątych moja matka i ojciec, wspólnie z bratem ojca, budowali ten domek. Ja i ich syn, a mój cioteczny brat - Olek, byliśmy wtedy mali. Smoła do papy, wapno, piach - cała budowa była dla nich świętem, tak samo, jak dla nas wtedy świętem był każdy dzień. Robili coś dobrego i robili to razem. Gdy już skończyli budowę, urządzali domek, rozgrabiali przywiezioną na działkę ziemię do wyrównania, a mnie wyrósł na niej dąb, z którego bardzo się cieszyłem i który mama kazała wyrwać. Potem babcia jedną decyzją zabrała nam to miejsce i oddała rodzinie brata, bo przecież już mieliśmy dom. To dlatego na działce nie było mnie aż do tej pory.

Co prawda to pierwsze zetknięcie z działeczką jest zbyt słabe, żeby od razu wybrzmiało całą przeszłością, a w dodatku właśnie, kiedy tak po niej krążę, muszę się zastanawiać, czy będziemy się bić, i gdy tylko próbuję rozkręcić pamięć, znowu wraca męczące nawoływanie Olka:

- No dawaj, kurwa, chcesz zobaczyć?

- Olek, weź, nie chcę, nie.

- Jak chcesz tam iść, to chodź teraz. Zobaczysz, jak tam jest.

Szkoda mi tego czasu na bicie się, choć z drugiej strony ciekawi mnie, jaki to wszystko przybierze obrót. Chodzę bosy po pięknej, delikatnej frotte-trawie działki, po samym jej obrzeżu, i znowu bardziej do środka, to są naprawdę metrowe odległości i niechętnie rozpinam swoje myśli między wspomnieniami a przyszłą bójką. Przede wszystkim nie mogę zrozumieć, że teraz jestem duży. Że wcześniej miałem sto centymetrów, a teraz mam sto sześćdziesiąt i to jest aż taka różnica. Ponad pół metra. Że płotek i domek jest taki mały, że znam wszystko większe, a tu to tak nie urosło. Kłopoty ze skalą, jak w nieodwiedzanym od dzieciństwa znajomym lesie. Patrzę na Olka, jego gości i zastanawiam się, czy oni też są duzi, czy o tym wiedzą, czy może już tak do tego przywykli, że nic nie zauważają. Olek znów przywołuje mnie do porządku.

- Kurwa, tak się tam pchasz, a nie chcesz tu spróbować. No, bij się.

No dobrze, niechętnie wracam na ziemię, trzeba zacząć myśleć. Olek jest pijany, to mój atut, choć w sumie on się nie upija i zna judo, więc wciąż może mi dołożyć. Ale ja znowu też umiem niezłe uderzyć, lubię też swoją zadziorność, więc dlaczego mu nie przypierdolić? W końcu muszę się jakoś definiować. Niestety, kiedy zacznę się bić, to już przegram, bo on będzie zadowolony, że zacząłem. Może się nie bić. Ale wtedy najnormalniej w świecie przegram. No chyba że nie przegram. Mogę nie przegrać. Wystarczająco mogę nie przegrać. Jedyna możliwość to wygrać. Bić się i wygrać. Dobrze, jeszcze chwila. Uspokajam się, po czym wracam do oglądania działki.

W środku domku była stara kuchnia, o, jest jeszcze, to ta sama, co babcia w niej gotowała. (babci z nami dawno nie ma), dalej szafa dziadka przeszklona, w Warszawie lubią takie starocia. A te brzozy i czereśnie na zewnątrz? Brzozy to już sadziła ciotka, czereśnia jest jeszcze posadzona przez matkę. To było takie małe, wiotkie coś. Matka powiedziała wtedy: „Tu będzie czereśnia”. Widziałem kontynent czereśnia, ale i matka też była większa.

Podejmuję decyzję. Nie mogę się bić z Olkiem. To moja pierwsza wizyta tutaj, to po pierwsze. Po drugie, czy my jesteśmy małe dzieci? Normalnie biję się dla żartu albo na serio, a teraz mamy się bić nie wiadomo jak. Dla żartu, tylko żeby zobaczyć, jak może być naprawdę? Kłopotów ze skalą ciąg dalszy.

Myślę z natężeniem. Chodzę i widzę. Złapał mnie w potrzask. Przy płotku rąsia delikatnie nakłuwa się na wystające drutki, a on stoi przy grillu i łypie na mnie spod oka. Pijany goryl brat. Bić się i przegrać - najgorzej. Bić się i wygrać - najlepiej. Nie bić się - średnio źle. Policzone. Teraz będę to męczył, będzie mnie to kręcić po tej działce - jaki malutki płotek, jakie piękne tuje, nawet malutkie szambko z tyłu jest, jak oni się tu urządzili, wszystko malutkie, a takie przytulne - aż w końcu gdzieś nadepnę na decyzję i dawaj.

Przyjechaliśmy tu z dziećmi na rowerach, pokonując zaledwie dwa kilometry od naszego domu, wzdłuż torów w zachodnim, upalnym słońcu.. Można powiedzieć, przez tę malutką furteczkę wróciliśmy do rodziny. Sie ma. Kurwa. Sie ma. Oł. Naprawdę, dwadzieścia, trzydzieści lat tu nie byłem. Odkąd babcia dała domek rodzicom Olka, a moi się obrazili, nie przyjechaliśmy tu ani razu. Nad furką zwisa złamana gałąź czereśni, ale dalej bawi się rodzina.

Jeden i drugi cioteczny brat, ich dziewczyny i żony, jakaś sąsiadka Olka z bloku, kolega brata Olka - wszyscy już dawno siedzą na werandzie przy stole, jedzą kiełbasy, są butelki i zabawa OK. No, siedzimy sobie, tak. Siadaj ty też. Dzieci też niech siadają. Olek tylko wstaje, przewraca rybę na grillu i śmieje się ze swojej czapki. Wysoki, może nie gruby, chudy też nie, idący w stronę kulki, zwłaszcza jeśli chodzi o kształt ogolonej na łyso głowy, na której wisi czapka. Stara, zakładów PZL, już ich teraz nie ma, z szachownicą na denku, nawet tego kroju czapek nie ma, trochę cyklistówka. Wszystko po naszym wspólnym dziadku i babci, oni stawiali ten domek, rękoma naszych ojców. To jest właśnie to. Kto się lepiej zna niż rodzina? Nikt. Jedna glina.

Wspaniałe uczucie, co by nie mówić. Nieważne, jak i czy się pokłócili, kto by o to dbał. Dziadkowie nie żyją, kilometr dalej jest ich grób, Rodzice Olka wybyli, moja matka i ojciec się tu nie pojawiają. Młodzi siadają do stołu swoich rodziców. Bez wujków, cioć, matek, dziadków i ojców, w końcu. Tak, przyszliśmy tu i przejęliśmy to miejsce. Długo żeśmy tu szli,

na pustyni nie było wody, bardzo często studnie, którym wierzyliśmy, okazywały się złudami, ale w końcu doszliśmy i spotkaliśmy się tutaj. Jesteśmy tu sami. Sami. Zwycięska armia, która patrzy na dokonaną rzeź. Trzeba zobaczyć te podniesione w górę, rozciągnięte ramiona brata Olka z fajkiem i piwem. Sporo czasu trzeba było, żeby to się stało. Czekaliśmy i nie porzucaliśmy nadziei. Teraz zatańczymy na waszych grobach. Zaskakuje mnie ta myśl i ją też zaczynam nosić po działce. Czy nie jest tak? Po długim marszu przyszedł czas na oddanie honorów.

- Dawaj, na jednego – krzyczy Olek ze słynnym uśmiechem i skacze przez werandę, o mało co jej nie łamiąc.

- Tylko uważajcie na ojca.

Dopowiada dziewczyna Olka. Mój wuj, a ojciec Olka, jest czujny, wszystko tu po nas sprawdzi i wszyscy się z tego śmieją. Wódka jest bardzo dobra. To może jednak spróbować? Może pójdzie szybko? Dzieci rozeszły się po rodzinie, ktoś je nawet wozi na rowerze. Klaudia, żona brata Olka, bardzo fajna. Dostał świetną żonę. Gratuluje mi, bo jako jedyny zgadłem jego tatuaż od razu, celtycki krzyż, zakamuflowana swastyka. Radeczku, po co się kamuflować? Heil Hitler. Choć jeszcze za wcześnie, jeszcze nie czas. Dla zabawy patrzę na wszystko teraz oczami wujka, który przyjdzie tu jutro i będzie sprawdzał, co się po nas zmieniło. Jego królestwo. Ja po jego śladach, które przerywają jego synowie.

Brat dołącza do Olka i teraz krzyczą obaj. Jeden serio, drugi dla kpiny. „No dawaj, bij się.” Ja chodzę, oni wstają. Ciężar rozmowy przesuwają się od stołu na zewnątrz, wygłodzona sąsiadka wstaje i idzie - hej, ładną masz cerę! Zagaduję w myślach. Olka dziewczyna, już na jawie zaczyna o opowiadaniu, co napisałem, co na to moja żona, ona ich nie czyta. Ale fajne, tylko dużo zaimków. Trejaże, altanki, żywopłoty, stąd nie da się uciec.

- Dawaj, jeszcze jednego, No mówię ci, nie idź do „Bordo”.

Przekonuje teraz inna część rodziny, Radek, brat Olka.

- Na wejściu zarobisz swoje i cię wyniosą. Spojrzą tylko. Jeden dojdzie. I po kłopotcie. Zamaluje, a potem cię wyniosą, bo tam się bawi. Myślisz sobie, że co? Chojraczysz, a tam takich jak ty nawet nie ma. Gong i do widzenia.

Radek ma w sobie niekonsekwencję. Gestykuje powoli, chce robić wrażenie, ale mówi za szybko. Jego uśmiechnięta żona się z niego śmieje. Artystyczny efekt. Do „Bordo” mam nie iść i koniec, bo tam mi od razu dołożą i jeśli mam iść – do tego się sprowadza obietnica – to najpierw dostać wpierdol tutaj, a potem pójść tam, wtedy już będę wiedział, co mnie czeka, ale po tym wpierdolu tutaj i tak wiadomo, że już tam nie pójdę.

Śmiesz mi to. Jak ja to lubię. Ja to kocham. Drażnić i bawić się. Od pierwszych słów wyczułem zabawę. Gdy godzinę temu Olek zaczął o klubie „Bordo”, wiedziałem, że się zaczyna.

- A wiesz, że w Ożarowie, u nas, u nas jest klub, gdzie chodzą wszystkie bambry z okolicy? Piastów, Gołąbki, nawet Jelonki. Wesoło, wódka.

- No to dlaczego tam nie idziemy?

- Bo tam biją.

- Kto bije?

- Wszyscy.

- A znasz tam kogoś?

- To poznam. A fajne dziewczyny są?

- Zobacysz dziewczyny, kiedy ci która kuflem przypierdoli jak w „Copaco”.

- Radek, tamta była silniejsza. Idziemy do „Bordo”, już mam ochotę to zobaczyć. No, chodźmy do „Bordo”. Kto tam chodzi, kto tam jest? – zaczynam namawiać.

- Pół powiatu tam chodzi, nie wyłapali ich, to chodzą.

- No to nas wpuszczają. Kiedy idziemy, chłopaki? Olek?

- Weź się uspokój, przecież oni ci tam od razu nałożą.

- Ej, weźcie się, z kim idziemy?

- Chcesz tam iść? - Dopiero po chwili na to wpadną, i to obaj: – To bij się tutaj.

Ołka męczy moja radość. On ma radość w takich momentach zabronioną. Zakazany owoc. Teraz będzie stał na straży. Starotestamentowiec. Pokaże mi, jak tam jest, czyli mnie pobije i mi się odechce. Bracia Wiaderko pokażą mi, jak jest w „Bordo”. Ha, ha, ha. Macham na nich ręką, jeden z kącików ust podnosi mi się dużo wyżej, kompas radości. I cały czas namawiam.

- No chodźmy do „Bordo”. Ja nie chcę się tu bić. Ja mogę tam. Może sami komuś dowalimy?

Serdecznie ich drażnię. Olek namawia, żeby tutaj. Nie możemy się zrozumieć. Podnosi górną wargę, ręce jakby chodzą, nie przewraca już ryby na grillu, odwraca się tam, gdzie ja teraz jestem, kręcę się po działce. Patrzy. Jestem już klaunem. Mam ich. Chcą tam iść, ale się boją, i za to, że się boją, chcą mnie pobić tutaj. Słabo? Bawi mnie to, dogaduję żonie, szukam dzieci. Dziećmi kto się zajmuje? Znowu piknik. Znowu rodzina. Kocham nas wszystkich.

- Dawaj, weź polej.

Ręką podnoszę kieliszek, drugą czekam na swoją popitkę, musi Olek popić, potem ja. Porządek musi być. Najpierw on, potem ja, ale to ja ich mam w ręku. Żółta fanta jako popitka najlepsza. Co kieliszek ważniejsza.

- Oni nawet na ciebie nie spojrzą. Zgniotą cię jak... - Brak mu słów. Zaciska rękę. - Zgniotą cię.

Gniecie mi koszulkę, usta się skręcają, potem warga wykrzywia się i jak jakaś zła kołdra przykrywa pół świata. On już się gotuje. Zaczyna mnie to denerwować. Złapałeś mnie za rękaw? O ty! Zmiana nastroju. Ale jeszcze wytrzymanie. Teraz Radek bierze w obronę brata. Kpi tak jak ja.

- Jak ty się nie chcesz bić z nim, to będziesz miał do czynienia ze mną. Nie możesz iść do „Bordo”. - Pręży chude ramiona, a właściwie je tylko podnosi do góry ze swastyką na barku, choć nikt nie wie, że to swastyka, tylko ja.

- Dawaj jednego i się bijemy.

Drzwi na rogu, trawa, tuja, szambo, mały płotek, pomidory sąsiada, szambo, szklarnia sąsiada, płożący się iglak, chodnik, śmiechy, moje dzieci - wszystko przygotowane. Tata będzie się bił z Olkiem. Kocyk pod czereśnią. Cóż. Poszliśmy w tym kierunku i nie ma odwrotu. Ja jestem wkurwiony, Olek musi swoje odsłużyć. Radek jest nieważny.

Zaczynamy. Zbiera się na burzę. Jestem dość pijany, jak się okazuje. Wszystko jest żółte. Tak żółte jak kolor żółty. Żółty czarny, żółty niebieski i zielony, żółty pomarańczowy i biały. Dziwny żółty filtr. W górach zakładałem taki na aparat. Z początku zdziwienie, że to już. Czuję to w jego ruchach, nie ma nic na żarty. Obok się śmieją. Ale już pierwszy jego upadek na mnie - wielkie zdziwienie. Dyszy. Wykrzywione twarze. Za klub „Bordo”, w dawnym ośrodku kultury „Uśmiech”. Myślę, że jestem już pijany. Obudź się. Zdejmuję go z siebie nogami, od tyłu, robimy jakieś parę wygibasów, nie wiem, jak, w którą stronę w końcu Olek ląduje na mnie. Duszę go. Duszę i duszę. Charczy. Spokojna, morska cisza. Dusić dalej? Nedorzeczne. Klepię po ramieniu, żeby skończyć. Kilka razy, żeby zrozumiał, że już koniec. Skończyliśmy. Wstajemy. Znowu żarty.

Każdy do swojej rodziny. Ja do żony, śmiesznie było, moja trzyletnia córka obskakuje mnie. „Biłeś się, tato! Tato!”

Nagle znowu leżę na ziemi. Oczy widzą trawę z bardzo bliska. Mrówka na zapałce. Znów Olek. Widziałem tylko dwa ostatnie kroki. Za nogi, w dół. Po co? Będziemy tego żałować, ale kurwę załatwię. Niestety. Trochę szamotania i koniec. Tę rundę przegrałem. Przegrałem. Żle mi to przyznać. Coś gruchocze mi w barku, żebro będzie boleć później. Szepczę mu do ucha, które wisi nad moją twarzą: „bark, bark”. Wypada mi bark. Wypadł mi bark. Łapie. Powoli

wstajemy, udajemy, że dalej jest śmiesznie. Że niby fajnie, atmosfera rodzinna. Ale padają pewne podejrzenia. Jacy oni domyśli. Rozchodzimy się, próbuję mu coś jeszcze wyszeptać. Na odchodne. Olek, zawsze możesz na mnie liczyć. Zniszczę cię. Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć.

Znów zaczynam chodzić po działce. Patrzę na to wszystko, staram się tak jak wcześniej to widzieć, ale ta żółć, bitwa, wszystko podeszło jak ciało krwią, tu już nie będzie wspomnień. Nawet wyobrażanie sobie ojca Olka, który przyjdzie tu po nas jutro i będzie cesał jak śledczy każdy kawałek grządki – nic nie działa, nie mogę się oderwać od nas. Za domkiem trafiam znów na brata, jak patrzy sobie pod bosc nogi, rozerwana koszulka, nieobecność. Szkoda i żal. „Ale, Olek” - mówię - „kocham cię i razem, razem możemy więcej”. To hasło znam z reklamy, wierzę w nie całym sobą, więc idzie. Jestem zdziwiony swoją szczerością. Olek nakłuwa ręce na siatkę i międli coś rozklejonymi wargami. Gałki oczne. Jak te u fotela. Mat! Potem wchodzę do domku, Olek już tam jest. Klei się do nóg swojej dziewczyny. Rozpacz. Mijam futrynę i wychodzę niezauważony. Impreza powoli znika, żona wyjeżdża wcześniej. Wsiadam na rower. Moja córka zasypia w foteliku i zaczyna wiać. Pada. W domu przekładam ją do łóżka i modłę się.

Spotykamy się dopiero miesiąc później. Nie jest łatwo. Znajomość o stopień wyżej, trudno tu się utrzymać. Podobno ma jakieś problemy z szyją, mnie bołą zebra. Z tematem „Bordo” jeszcze cisza, choć jestem pewien, że wróci. W końcu, następne kilka tygodni później pada hasło. Jeszcze w domu przed marszem przez Ożarów, już wieczorkiem, w ciepłym sierpniowym powietrzu wypijam piwo i setę, Olek ma jointy, szykuje się dobra zabawa, w „Bordo” mamy znajomego DJ-a, będziemy uprzywilejowani. Na wesoło i szumnie, przechodzę przez tory, miasteczko jest ciepłe, rozgrzane, powietrze, którym oddycham i które opływa mnie z zewnątrz, ma w sobie wielką obietnicę, wyszeptuje ją, przenosząc dźwięki fabryk i dzwonięcia kolejowych przejazdów. Na Bony jeszcze przed hotelem i główną trasą, tuż za dawnym magazynem Dzikka spotykam wujka, ojca Olka, który z torbą reklamową i skwaszoną brązową miną, idzie na swoją działeczkę.

- Cześć, wujek.

- Cześć. A, ty, słuchaj, jak żeście tam ostatni raz byli, to wy żeście połamali tam altankę...

Ogłusza mnie to. Mija chwila, dość zwyczajna w każdej rozmowie, nachyliam się bardzo blisko do jego ucha i szepcę jowialnie.

- Wujek...

I jeszcze raz.

- Wujek, mówię ci, chuj z altanką. Gałązka czereśni się złamała.

Wymijam go i ruszam dalej. Chodnik jest krzywy, na jego końcu już na mnie czekają.



# KANIBALIZM BĘDZIE KARANY ŚMIERCIĄ

Skuńczyć się. Stanąć. Tak moja babka mówi o własnej śmierci. Że myślała, że już się kuńczy. Albo że mogła ustać. Zwróciłem na to uwagę dopiero teraz i to właściwie przez przypadek. Gdy Patrycja powiedziała, że kiedy się bierze od babci taką prawdziwą śmietaną, a później ją podsmaży i doda cebulki, to jest mhmhm pyszne, ale wątroba – chwila ciszy, ruch ręką, żadnych wątpliwości – staje.

Rozumiesz Daniel? Staje. Wtedy coś mnie tknęło.

Tak samo dzień wcześniej mówiła babcia, gdy chciała opisać, że już jest tak zmęczona, że już nie wie, czy się nie kuńczy, albo że jak upadła tam, w dole, tydzień temu i nie mogła się podnieść, to myślała, że już ustała. Że staje. Czyli że śmierć.

To ogólnie jest bardzo obrazowe, podoba mi się i myślę też, że oddaje myślenie babci – skrótowe jakby, bo przecież mówiąc tak, sprowadza wszystko do przecinka zaledwie, linii, którą da się dosłownie zatrzeć nogą albo przeciąć drugą linią, nie trzeba tego nawet rysować, można to sobie tylko wyobrazić. Nic znaczącego. Stop. Tu kończymy. Babcia tak myśli, jestem przekonany, i nie wiem, czy wraz z nią nie myśli tak cała wieś. Tego, czy oni tak siebie traktują nawzajem wszyscy, nie wiem, ale ona na pewno. Że życie po prostu staje i koniec. I o czym tu więcej mówić? No, Daniel późno jest, trzeba iść spać.

Jednak tego wieczoru próbuję wyciągnąć z niej o wiele więcej. Otóż od jakiegoś czasu na wzór NASA albo innego Banku Światowego (We are here to protect you) chronię bioróżnorodność czy lasy tropikalne, nasiona Ziemi, Bóg jeden wie, co jeszcze, przed zapomnieniem i chronię też, a może przede wszystkim, chronię historię swojej rodziny. Nie to, żeby coś z tego było. Myślę, że NASA i we are here to protect you też się myli, ale chodzę z dyktafonem po Polsce, po rodzinie, podtykam im go pod nosy i proszę, aby mówili, co najstarszego pamiętają. I wczoraj podetknąłem go babci.

Ani jej, ani mnie już się nie chciało, brud na stole przykrytym ceratą i blade światło zachęcało tylko do pójścia spać i nawet kiedy sprawdzałem dyktafon, to bez żadnego przerażenia, że się nagrywa. Zwykle ma się skrupuły, teraz nic. Babcia to czuła, najchętniej powiedziałaby krótko, że urodziła się, jest tu, gdzie jest, i nawet mimo tego, że się jakoś przygotowała do tej rozmowy, oparła ręce o stół, splotła grube palce nabożnie, dalej nie potrafiła się przekonać, że chwila ma jakąś doniosłość.

Sam też nie byłem tym jakoś zainteresowany. Mimo losów rodziny, charakterów, w sumie wszystkiego, co mnie stworzyło, wiejskiej biedy, Żydów, kolorów, letnich owoców z lat

tak dawnych, że mogły nawet inaczej smakować, wszystko to miałem w ziewie. Na tę chwilę chciało mi się tylko spać. Ale tylko do kreski.

Babcia przeciągnęła rozpostartą dłońią po stole nakrytym ceratą i zmiotła w dół drobinę cukru. Kreska. Babcia, gdy miała około dwunastu lat (to się teraz może wydawać niedorzeczne, ale wszystko się zgadza, zresztą wtedy nawet w jej wieku trudno było cokolwiek traktować bez odpowiedniej powagi), widziała, jak jeden człowiek przecinał brzuch drugiego człowieka, niejednego może nawet, już nieżywego, żeby wyjąć mu wątrobę i schować dla siebie, na później, żeby ją zjeść.

- Szło się dróżką, tak jak się teraz idzie, od Trzcianki, tam jest Złota Woda, w dolinie strumyk. My żeśmy się tam popasywali.

Opowiada, znam to miejsce. Rumowisko skalne małe jak makieta, nad tym mostek, świeże, tak mocno zielone, że aż truskawkowe liście buków, no i szumiąca woda w dole.

- To my żeśmy tam przystawali - mówi babcia. - Pili, brali kanki i szliśmy dalej na górę. Chwilę jest ostro i już jest góra, widać schodki, to była taka nasza ścieżka, raz nawet koniem jechał – tu wymienia kogoś ważnego – ale nie, bez wozu, nie zmieściłby się... I jak się dochodziło tam, to już Stasiak na mnie czekał. On miał załatwione od tego sonsiada, że będzie tam przy tym więźniu pracował, on tam jadł, co ja mu przyniosłam.

Babcia podnosi oczy nad lodówkę, ręce na piersi zamykają ją jak starą szafę, usta zaledwie się otwierają. Po co bardziej? To wystarczy.

- I jak raz tam właśnie poszłam, to więźnie z karcery wynosili trupy, no i jeden właśnie się nachylił i wyciął.

- Jak to wyciął?

- No, co ci mam mówić, wątrobę.

Zaczyna się we mnie wątek komediowy, czuję się jak Mariusz Szczygieł, w programie „Na każdy temat”...

- Ale co? I zjadł?

- Oj. Nie. Schował.

- Jak to schował?

- Ano za pazuchę, na potem. Takie to było w tej karcery, to ludzie jak do kościoła chodzili, to jakich tam więźniów widzieli. Ręce, jęki. Teraz to już tam zburzone.

Opowiada o więzieniu, którego już nie ma, i które przez chwilę próbuję sobie z nią obok wyobrazić. Znam to miejsce, odległości stamtąd, proporcje między rzeczami - drogą, placem, gdzieś tymi trupami, tym, co ciął, strachem ich wszystkich, liśćmi drzew z ciekawością nachylającym się nad placem. Patrzę na babcie, przenoszę ją tam, rozmydłam się, ale babcia

już chce kończyć. Dla porządku dochodzimy do końca wojny, żeby wiedzieć, gdzie się skończyło. Dyktafon to wszystko nagrywa, jestem zadowolony, what a story. Nie ma bodźców. Idę spać.

Rano opowiadam historię mojej żonie, która nie jest w stanie w to uwierzyć. Temat niby powoli idzie ku końcowi, ale że wakacyjną, jednodniową, odświeżającą wycieczkę zaplanowaliśmy akurat na Święty Krzyż, czyli dokładnie w miejsce wczorajszej opowieści, więc wszystko jeszcze kilkakrotnie wraca. Tyle że co?

Nie da się tego traktować poważnie. Jakaś sucha opowieść z wiejskiej kuchni w zawsze za słabym świetle żarówki. Prawda? Ale jaka? Patrzysz na tych wszystkich ludzi, rodziny takie jak my, dumnych, ale i lekko bojących się, szczęśliwych, ale i lekko nieszczęśliwych, kochających i nie, gadających przez komórki, podbiegających, bo się zagadali, ze wszech miar takich jak wszyscy dzisiaj, ze swymi kolorowymi plecakami i koszulkami, z kijami wziętymi z pobocza drogi, z uśmiechami lub obojętnością w oczach za okularami albo i nie, całkiem – jak to nazwać – osadzonych w tym czasie, w swoich ziemniaczanych ciuchciach idących na sam szczyt góry i naszym szczęściu i nieszczęściu, że jesteśmy podobni. Widzisz to i o czym masz myśleć w tym turystycznym miejscu – o krótkiej kresce, o kieszeni z suwakiem na wątrobę? Wyjąć? Zjeść?

Z gołoborza oglądamy wsie dookoła, podsłuchuję, co mówią inni, jak szukają swoich miejsc. Czy widać Lipsk, a czy Ożarów widać? Czytam tabliczki o gołoborzu, a czy jeszcze wiadomo, że gołoborze ma miąższość kilku metrów. Robimy sobie zdjęcia, patrzę na kobiety, towarzyszących im mężczyzn, na leśniczego, do którego lecą komary, bo przecież do zielonego lecą, cała wycieczka się śmieje, jemy lody na dziedzińcu, upada mi chusteczka, zastanawiam się nad faktem, że jeśli coś upada, osuwa się z rąk, to co to znaczy, jak to się czuje, śmiejemy się z siebie, pytań mojej żony o grube tyłki, mojego porównywania łysin. Trwa to także gdy wracamy, wszyscy pytają, ile im jeszcze zostało pod górę. Próbuję wrzucić do otwartego bagażnika kij znaleziony przez córkę, wybijam nim światło, jestem idiotą, śmieją się. Takich drobiazgów jest więcej, wszystko jest z nich zrobione. Czy ktoś tu coś słyszał? O jedzeniu ludzi?

W środku klasztoru jest tabliczka, taka sama jak z tymi gołoborzami, uchronić od zapomnienia, „Przypadki kanibalizmu będą karane rozstrzelaniem”. Siedemdziesiąt lat temu po rosyjsku z emaliowanej blachy czytało to tysiące rosyjskich jeńców, ale naprawdę kto tu dzisiaj umie czytać, zwłaszcza po rosyjsku? Da? Tamci wszyscy naraz czy bardzo szybko poumierali, a czy zaplątała się tam moja babcia? Z jej zdolnością do koloryzowania? Upojenie i pytania nie mijają nawet po powrocie do domu babki.

Wszystko bez znaczenia, jak było, tak jest, żadnych zmian. I wtedy bez zapowiedzi dojeżdża jej najważniejsza córka, moja matka – na jedną chwilę, na jeden wieczór, teraz składająca się z jednego pomysłu w trakcie realizacji, z diety białkowej, bo pani Ania schudła aż osiem kilo. Babcia siedzi dalej, właściwie w tym samym miejscu co wczoraj, przygląda się córce ze swojego miejsca przy oknie, ma głowę umieszczoną na środku pokoju, przytakuje monologom córki, obserwuje wyjście. Matka chce jechać do brata, mojego wujka, kilka wsi dalej, wziąć od niego mięso z cielaka, od teraz będzie jadła tylko cielęcinę. Babcia tu posiedzi, nie chce nigdzie jechać. Nie, po co, nie ma potrzeby. Ręce trochę się kręcą.

Ruszamy za matką do wujka. Nastrój znowu wraca. Drogi tutaj, próbują je filmować, od lat robią im zdjęcia, kielecka szkoła krajobrazu, jedzie się tymi drogami i ma się wrażenie, że to już ostatni raz, że teraz są te trzy dzwonki, które powiadamiają, że już trzeba siadać, a to przed sądem ostatecznym, że nie może tak być, że to jest zakazane, coś wisi w powietrzu i zaraz będzie koniec, bo to doprawdy za dużo, za fajnie. Po plecach chodzą elektryczne skurcze, słońce wbija się w oczy, powietrza jest za dużo, rozdyma astmatycznie płuca. Wczorajsze opowieści. Śladu po nich. Babcia? Jaka babcia? Dojeżdżamy.

Witają nas wylewnie, w kuchni wódka, wokół niej Janek świeżo po magisterce, Antek, biegający mistrz wojskowy świata,, moja starsza siostra Patrycja, największa królowa kuchni, ciotka, wujek, wnuczki, wszyscy, wszyscy. Ciocia w niebieskiej sukience, czarne oczy, starsza, wiecznie żywa osoba. Jak oni robią, że się kochają? Wujek ze złamanym nosem, nie widziałem chyba brzydszej twarzy. A mimo to jest tak pięknie. Siadamy na werandzie zbitej z nieheblowanych desek, cieszymy się. Krzesła z przetartą tapicerką, ceraty, szyby z rybich pęcherzy, wszystko na miejscu, nie można lepiej.

Wujek podnosi się z krzesła, jakby wstawał po herbatę, nic znaczącego, jakby wstawał po prostu, robi się bardzo wysoki, powiększa się, wyjmuje nóż wbity w deskę na wysokości głowy. A tak. Już wiem. Matka i cielak.

- Tylko nie wypuszczajcie dzieci na podwórze, nie wypuszczajcie – piszczy ciotka.

Wstaję za nim. Idziemy przed stodołę. Wujek ma papierosy, palimy, cielak patrzy na nas ufnie, ma dwa tygodnie i nic nie kapuje. Nie może zapalić. Ha, ha, ha. Teraz się zaśmieję. Wujek rzuca jeszcze jakieś komentarze, idzie po drążki, długo szuka miejsca, gdzie go powiesić, żeby dzieci nie widziały, w końcu znajduje. Jest wesoło, wujek to wesoły człowiek. Zaczyna mnie kusić, żeby iść po kamerę. Włączam ją, Wujek i jego syn, Janek patrzą na to niechętnie. Janek przynosi młotek, wujek łapie cielę za kark, uderza je tym młotkiem w głowę.

- Nie trafiłeś – mówi Janek.

Uderza drugi raz, teraz jest OK, podrzyna gardło. Z linii pod szyją wypływa głęboka czerwień czeresni, brudzi skórę i wytarte drzwi do stodoły. Przychodzi pies, liże. Ta kreska na białej skórze cielaka, można stamtąd naprawdę wiele wyjąć. Ciemne wnętrze zaraz za nią, wstęp dalej, nic z płaskości. Inne światy malowane jednym pociągnięciem dłoni. Babcia z wczoraj.

Przestaję nagrywać, jest w tym filmowaniu teatr, coś, czego jeszcze nie rozumiem i nie chcę. Pod stopami płacze się słoma, chwasty, wydeptana ziemia podwórza. Patrzę na nich, jak oprawiają tego cielaka, nie zostaje nic dla mnie. Wszyscy z zajęciem zostają. Ja nie mam nic do roboty. Rozchodzę się z samym sobą. Gdzie się podziać? Wracam do chałupy i właściwie już cały czas nie mogę sobie znaleźć miejsca. Jest nas tu wszystkich tyle, że można być nigdzie. Jestem już nigdzie. Myślę chwilę o babce, mówię o tym jeszcze raz żonie, że babcia wczoraj o wątrobie, ale to już odległe, dalekie wspomnienia, trudno do nich sięgnąć, odległości jak stąd – chodzę po podwórzu – szukam dystansów do porównania, o, dajmy na to, jak stąd, do... do nieba. Tej opowieści nie ma. Zaczynam się więc na dobre kręcić i unikać.

Noga odgina się w bok, już mi się aktywnie nie chce, już nie mogę, ciało odrzuca jedno pomieszczenie, ludzi w nim, głosy, potem następne, wracam do pierwszego, znów to samo. Idę do wujka, tam to samo, pies dalej liże, śmiejemy się z niego, wujek prosi mnie o worek, żeby włożyć łeb i zanieść do kuchni, niosę. Potem znowu nie mam miejsca. Szukam miejsca.

Wychodzę do ogrodu, gdzie właśnie są dzieci, jedzą lody. Czteroletnie dzieci bawią się w berka. Też się kręcą. Okrążają suchy krzak na środku ogrodu. Ciotka z mamą gadają, takie gadanie, policzone. I znów coś się dzieje. Znów nie mogę, jest dobry moment na wyjście, łaskawy świat, wychodzę.

Wujek pięknie ściąga skórę, to już się robi apetyczne. Błady kolor mięsa. Przyciąganie mięsa. Patrzę i widzę, że można ugryźć, że to jest dla mnie, że blada czerwień, obciążnięta warstwą białawej błony, że pod tym jest życie. Cudze, ale już dla mnie.

Pod wiatą Janek z Antkiem palą grilla. Zaglądam do kuchni, idę z dzieckiem do traktora, do szklarni, do ogrodu, do kuchni, pod wiatę, podwórze otoczone jest wysokim płotem, nad tym wszystkim świeci słońce, Janek i Antek podchodzą do nowego samochodu mojej matki, wsiadają, mierzą się, Wujek pokazuje mi, jak na krajezdzie tnie drewno z wyciętych śliwek. Na grillu się dymi. Solimy ściągniętą skórę, dotykam jej, gładzę – jej miękkość, potulność, korci mnie, żeby ją wyprawić, jakby to wyglądało u nas pod kominkiem. Składam ją na dwa jak koc, wkładam w reklamówkę. „Teraz może poleżeć” - mówi wujo. I dalej. Dalej. Już sam nie wiem, dokąd iść. Już nie ma dokąd. Można było zostać u babci. Tu jest tak dużo ludzi, tak dużo mówią, tak są zajęci sobą, tak nie mają nic dla mnie. Jestem z boku. Tam. Cicho, spokojnie.

Zataczam się jak puszka piwa, zanoszę podroby do kuchni, mięso z ud, jak to ponazywać, już się piecze na grillu, sałatki zrobione. Czy jest musztarda. Dzieci podglądają oprawianie, moja córka nie chce już do krówek do obory, ale przed stodołę, niby do królików, gdzie coś się dzieje. Co ona może rozumieć, jeśli ja nic nie rozumiem? Trzyletnia dziewczynka. Jej sukienka drży od złości. Jej sandaalki ubijają ziemię. Chodź, idziemy jeść. Schodzimy się znowu wszyscy na tę werandę. Jest tak wschodnio trochę, z głową rodu, wujkiem z przetrąconym nosem, i wtedy właśnie zaczyna się rozmowa, która cofa mnie do dnia wczorajszego.

- Szkoda, że babcia nie przyjechała, mogłaby nawet z nami – mówi moja żona. - Są wszyscy, mogłaby i ona.

- Babcia woli pilnować swoich kurek – odpowiada zimno siostra.

- Czemu tak mówisz?

- Bo ona nigdy do nas nie przyjeżdża. - Chwila ciszy i znowu. - Już nawet jej nie lubię, bo jak ja przyjeżdżam, to ona opowiada, co u rodziny, ale nigdy nie spyta, co u naszej rodziny, a przecież to jedna rodzina, mój ojciec to jej syn.

Patrycja płynie, próbuję tonować całą historię, mówię, że mam pewną teorię na jej temat, ale nie mogę teraz, spotkamy się, to pogadamy. Żali się, że ona by chciała, żeby tu babcia była - jej ręce tłumaczą, trzęsie się grzywka.

Przez chwilę nawet szczerze żałuję, że jej tu nie ma. Babcia siedzi tam i myśli, nigdy dotąd jej tak nie widziałem, jak prawdziwego człowieka, trawi z daleka, jak zegar czas, naszą wspólną obecność tutaj, do której nie chce i nie umie się przyłączyć. A przecież to tu się kochają. Muszę to zamknąć, zmieniam temat na jedzenie i wtedy Patrycja mówi o tej wątrobie. Że jak się bierze ze wsi śmietaną...

- Ty to możesz od babci ją wziąć i podsmażyć, jest super, ale wątroba, mówię ci, Daniel...  
- Tu płaski ruch ręką w powietrzu. - Staje.

Wtedy właśnie przypomina mi się, jak babcia mówiła o tym, że ona się już kuncy, staje. Widzę ją, jak sama tam teraz gapi się w telewizor, nie widzi go, bo przecież patrzy nie na niego, ale na kreski i linie zupełnie bez znaczenia. Są, kończą się. Są nowe, nowe zacierają stare.

Szkoda. Tu jest tak pięknie, mimo wszystko tu jest tak pięknie, lepiej być tutaj, naprawdę tutaj. Przekonuję i sam siebie. Potem jeszcze w domu, już po powrocie, podgrzewam wątróbkę z zarżniętego cielaka przyrządzoną przez moją matkę w samym centrum diety białkowej. Jest bardzo smaczna.

# GODNA ŚMIERĆ

- Ale wiesz, nie wiadomo, co z nim będzie?

- On się może nie pozbierać teraz, jest tam cały czas, cały czas.

- No tak. I on ma do nas pretensje, że my podchodzimy do tego normalniej.

- Tak, a wiesz, co mi ostatnio mówił? Że my przychodzimy tylko podłogę pozmywać, a ona już nas w ogóle nie interesuje.

- Rwie się, podrywa, cały czas trzęsie, teraz to już z nim w ogóle nie można porozmawiać.

- No fakt, z matką jest źle, ale Marek też przesadza.

Siostry na krótką chwilę ucichły, zamyśliły się, każda z nich zwróciła się ku własnym myślom i dopiero wtedy poczuły, że jest chłodno. Najstarsza z nich po krótkiej ciszy poderwała wszystkie z miejsca:

- Chodźcie, zimno.

Przysłuchiwałem się ich rozmowom i po raz pierwszy coś mi się wydawało. Zwykle rozmowy ciotek czy w ogóle rodziny mojej żony w Urlach, na działce ciotki Baški, mimo że wszystkich ich bardzo szanowałem (co to w ogóle znaczy?), nic mnie nie obchodziły. Grałem w piłkę, chroniłem się za jałowcami, byle tylko nie zmęczyć się zbytnio wydrygiwaniem do krępującej sytuacji i jakoś udawało mi się zawsze dotrzeć do trzaśnięcia drzwiami samochodu. Przecież i tak brali mnie za obcego.

Teraz słuchałem ich wszystkich uważnie. Siedzieliśmy na szerokich deskach wspaniale ustawionego na zachód tarasu, z piwoniami i różami przechylającymi się zza barierki w naszą stronę i nie podobało mi się to, jak ze sobą rozmawiają. Im dłużej to trwało, tym bardziej miałem wrażenie, że ktoś delikatnie puka w moją skórę jak w drzwi i nie pozwala cieszyć się tym pięknym, odbijającym światło dniem. Puka jakby przez sen.

Siostry radziły nad swoim bratem, nie tylko tak, jakby był naprawdę fiśnięty, co zresztą wiedzieli wszyscy, ale jakby dalej był ich grupowym zamiotłem, które mimo swych sześćdziesięciu lat wciąż ma napisane na czole: „Przynies zapałki i wyjdź stąd”. Czułem się niestosownie, może dlatego, że chodziło o zbliżającą się śmierć ich matki, może o to, że przyznawałem swojemu teściowi rację w sprawie siostr, a może dlatego, że czułem się z nim w jakiś sposób spowinowacony w tym ograniczonym, dziecięcym szaleństwie, o które podejrzewali w chwilach szczęścia i mnie. Słuchałem zatem tego, co mówią, patrzyłem ukradkiem na swoją żonę i coś, coś mi się nie podobało.

Podobno było tak, że jak ciotka Baśka przyszła do swojej matki, to zamiast wejść do niej pokoju i tam z nią słowo zamienić, od razu zaczęła sprzątać podłogę, bo się lepiła, i potem też tylko tym się zajmowała, aż wyszła. Ciotka Stasia znowu nigdy nie miała dobrej relacji z własną matką, unikały się całe życie, więc czemu by teraz miało być inaczej? Ciotka Maryśka akurat źle się też czuła w ogóle psychicznie, no i to też wpływało tak, że nie bywała tam często.

Teraz wszystkie zgodnie mówiły o podłodze, a przeciwko Markowi, który otoczył babcię najwyższą opieką i najwidoczniej tego samego oczekiwał od sióstr. „Bo my, kobiety, od razu widzimy konkrety, skupiamy się na konkretach, a pogadać z babcią zawsze będzie można. Nie umrze, a w każdym razie nie teraz.” Tak to w sobie ubijały.

Mimo to babcia umierała. W kapelutku, z laseczką, gdy jeszcze przyjeżdżała do Urli, zawsze siadywała na ławeczce w ogrodzie od strony rzeki i do niej się tylko dochodziło, zamieniając miejscami z innymi i słuchając to ojca ze swoimi złotymi teoriami, a to jakichś pokątnych przyszywanych ciotek o wracającym uroku pensjonarek, z rękoma mieniącymi się plamami wątrobowymi i twarzami poznaczonymi liniami szminek. Pośród nich wszystkich siedziała przygłucha ona i z rzadka mówiła o tym, ile to w życiu było, ile to w życiu było. „O tyle, o ile” - ucinałem wtedy w myślach i zajmowałem się sobą, z rzadka dostrzegając jej powolne odchodzenie od wszystkich.

Gdy wieczorem, już po powrocie z Urli, spytałem o rozmowę ciotek moją żonę, nie znaleźliśmy rozwiązania. Że babcia chora, to fakt, ale ojciec? Czy wszystko, co mówiły o nim siostry, było prawdziwe? Ile było w tym z obrony? No i co się z nim tak naprawdę dzieje? Czy jest w porządku? Ale i czy nic mu się nie stało?

Żadna z odpowiedzi nie wydawała się pewna, a ponieważ był to ojciec mojej żony, wszystko trzeba było sprawdzić samemu. Na początku Gosia zadzwoniła do jednej z ciotek, aby już na spokojnie, poza protokołem rodzinnym, wypytać ją o podłogę – czy to nie jakaś przesada, że ojciec się wtedy wściekł. Bardzo konkretnie. Wyszło, że to sprawa ojca, że one chciały zostać, ale ojciec-ojciec, czego by nie powiedziała, ojciec-ojciec, jednak się właśnie wściekł się, podobno złapał ją mocno za ramię i wypchnął z mieszkania. „A wiesz, tam obok są schody.”

Drugi telefon, tym razem do niego samego, też nie przyniósł pocieszających informacji. Dobrze, że odebrał. Był zdenerwowany, a próba zejścia z tematu głównego i ściągnięcia go do nas na popołudnie, by zajął się dziećmi, skończyła się awanturą, bo tu źle z mamą. Czy ona nie może zostać na trochę sama? „No ale jak to? Przecież jak ona zostanie sama?” I tak jak zawsze nie było z nim rozmowy, bo nie umiał rozmawiać; tak teraz nie tylko nie rozmawiał, ale z



przyglądania się światu jak dziecko zbyt dużemu miastu, pierwszy raz brał w nim osobisty i, jak mu się wydawało, uparty udział.

Z takich telefonów wiedzieliśmy, że z każdym dniem robi się coraz gorzej, i to nie z babcią, ale przede wszystkim z nim. Na pewno trzeba było się szybko spotkać. Pojechać do babci i tam go złapać.

To wszystko delikatnie brzmi, ale gdy ma zwariować człowiek, który już zwariował, to znaczy, że może być na przykład tak, że wyjdzie z domu i nie wróci, będzie spać na ławkach, to mu się zresztą już zdarzało, albo, co najbardziej przerażające, zrobi coś złego, coś, na co nigdy nie byliśmy przygotowani, coś, co wyostrza nozdrza właściwie już zwierząt, a nie ludzi. W końcu jechał do babci. Działo to też na mnie. To, że teść był cały czas pięknym dzieckiem - męczącym, pochopnym, ograniczonym, upartym, wąskim, ale i gdzieś na samym końcu tej długiej piwnicy miłym - sprawiało, że martwiłem się o niego, a może nawet chciałem zatroszczyć.

Chciałem, żeby tu był. Przychodził co jakiś czas czy dzwonił, jak zawsze stanowczo atakował wydumanymi teoriami i przynosił do mojego domu obraz człowieka, który może być zarazem skończonym egoistą, abnegatem, ale i przy tym wszystkim wielkim pocziwcem w poplamionym garniturze. Wieczny Maruś. Ale o nie, nie, nie – jakby sam powiedział - proszę tak nie myśleć. Dobrze, Marusiu. Nawet gdy kiedyś przyjechał pracować do nas na działce, to pracował w jedynym ubraniu jakie miał, w garniturze, okulary przeciwsłoneczne skleił sobie z boku przezroczywą taśmą, grabie właściwie cały czas ciągnęły się za nim, a on chodził według linii cienia, wyprostowany, jak przylepiony do ściany, wysoki i płaski, i gadał do mamusi w wielkim słońcu południa. Mamusia? Mamusia słyszy? Od Gosi dzwonię. Gość.

Opiekował się nią od zawsze, rozwiódł się, był sam, siostry miały swoje życie. Sterroryzował ją tak, że w określonym czasie piła herbatę, załatwiała się i gasiła światło. Nie wychodził od niej, spał na tapczanie, przestał się myć i golić, no i co trudno zrozumieć, a oddaje cały charakter dziwaka, zrezygnował dla niej z manii chodzenia na wernisaże i pozdrawiania tam takich samych wariatów jak on. Gdy dzwoniлиśmy do niego ostatnim razem, mówił, że wszystko jest doskonale, doskonale, ale to właśnie trzeba było sprawdzić.

Zapukaliśmy do drzwi mieszkania babci na Wrzecionie, nie otworzył nikt. Drzwi były otwarte.

- Tata?

...

- Tata?

Cisza. Półmrok wciągał i zapraszał do środka. Mój syn wbiegł do mieszkania i zatrzymał się dopiero przy łóżku.

Bez zębów, blada, z głową przechyloną do ściany leżała babcia – jest taka pozycja ludzi już bardzo zmęczonych życiem, pamiętam to u swoich dziadków - że kiedy oni mieli odwróconą głowę w bok to nie tak delikatnie, tylko jakby to był jakiś odruch odrazy od tego, co przed sobą widzieli. Powietrze gwizdało w wąskiej szczelinie jej ust, ręce sprawiały wrażenie usypanych kupek piasku na kołdrze, drżący głos wychodził jak dym z ust. Powoli i sumiennie.

- Babciu, gdzie tata? Gdzie Marek?

- Ma-rek?

- Taak, tata.

- Co, ...nie... słyszę...

- Tata.

- Wyszedł.

- Kiedy wróci?

- Co....?

- Późno wróci, tak?

- ...Co?

- Na noc?

- Tak, tak.

Aparat słuchowy babci leżał na stole i tylko Marek umiał go włożyć. Nie słyszała nas, a potem zaczęła mówić, to samo co zawsze. Że ona i mąż całe życie razem, trzeba się kochać, i potem sięgnęła po różaniec. Czuliśmy, że wizyta ma w sobie większy ciężar niż zazwyczaj. Przysiadłem na krześle, starałem się nie ruszać i zsunąć jakoś do jej poziomu. Oddychało mi się swobodnie i muszę powiedzieć, nie czułem się skrupowany. Zwykle towarzystwo innych ludzi i cały czas przebywania z nimi mnie dusi, dochodzę do siebie, jakbym dostał mocny cios z boku, z tego, gdzie akurat ktoś jest. Ale wtedy czułem się dobrze - jedno mamlące zwierzę obok drugiego. Potem z powodu braku myśli, pustka w głowie wypełniła się ich najbardziej błahymi karykaturami. Patrzyłem na meble, zastanawiałem się, czy pasują nam do mieszkania, podziwiałem piękno figurek z Ćmielowa na półkach. Takie tam. Ale nie byłem zły.

Gosia sprawdziła stan podłóg (sprawdzaliśmy siostry - śmieję się teraz), zrobiła herbaty i dosiadła się do nas z albumem w ręku. To mnie trochę poraziło, ten album, bo, uwaga, tam jest mnóstwo nieżywych ludzi, ale nikt nic nie widział, nie zauważyli, że to może nawet

zapowiedź. Na przemian myśleliśmy o życiu jej i o jej synu, który podobno odchodził od zmysłów, a my nie mogliśmy tego sprawdzić.

Po godzinie zaczęło robić się niewłaściwie, a dalsze czekanie nie miało sensu. Niepokój rósł. Marek nie odbierał, nie zostawił żadnej wiadomości i nie wiadomo było, kiedy wróci. Może był na wernisażu? Może próbował ochłonać? Zostało jeszcze jedno wyjście: poczekać do jutra, na zaplanowany obiad u teściowej, gdzie miał się pojawić i na chwilę, jak to powiedział, odejść od łóżka babci.

Teraz babcia chciała spać. Odwróciła od nas głowę w stronę ściany, jej ręce z każdą chwilą drżały mniej, a łapanie wyciekającej z ust śliny stało się rzadsze. Spała. Żółte światło lampki, zapach pościeli...Wydawało się, że całe mieszkanie jest wypełnione tą zmiętą, białoszara, cielistą, rozciągniętą płachtami czy leżącą w gałganach pościelą, podbitą jeszcze bladym, ciepłym i tropikalnie duszącym kolorem światła. Trzeba było sporej siły łokci, żeby się stamtąd wydostać.

W domu, gdy już dojechaliśmy, w samochodzie, w wielu domowych drobiazgach, myśl o ojcu nie dawała nam spokoju. Jego komórka nie odbierała, nikt nie wiedział, gdzie jest, i tyle musiało wystarczyć. Nie było w tym wielkiej sensacji, zwykle ludzie w Warszawie czy dzisiaj w ogóle nie chcą przy takich okazjach robić hysterii, „nie rób hysterii proszę” - mówi się i to na ogół działa. To po pierwsze, a w wypadkach, kiedy są uzasadnione podstawy, żeby naprawdę jej nie robić, po prostu nie ma tego tematu. Podaje się sobie jakieś miski, kroi chleb, szuka pilota do telewizji i czasem zadaje zdawkowe pytania, czy może poszedł do ciotek, czy może jest w Otwocku u tych przyszywanych, ale tak, żeby była histeria, to nie. Tym bardziej że następnego dnia miał być. Telefon do matki tuż przed obiadem miał dać nam pewność. Zadzwoiłem o dwunastej.

- Tak, siedzi tu i gada. No, w swojej formie jest. Ta.

Teściowa kpiła swoją utlenioną, zetlałą złośliwością i oczekiwała, że skupimy się na niej. Tak. Kolejne mieszkanie, kolejna wizyta. Ale skupiony byłem tylko na nim. Weszliśmy. Trochę radości.

- No, sie ma, co tam słyhać? – zacząłem.

Siedział na kanapie. Swą wesołością, garniturem w prążki, ułożeniem nóg przypominał postać, zdaje się, diabła, który odwiedził Adriana Leverkühna w „Doktorze Faustusie”. Już kiedyś miałem takie wrażenie co do jego postaci. Ten kancik, te wyłogi. Diabeł. Siedział i ożywczo promieniował. Zjawisko fizyczne, które potrzebowało katalizatora, by rozświetlić się jasnym, idącym przez wszystkie barwy płomienia światłem. Ręce rozłożył szeroko na oparciu

kanapy, nogi założył jedna na drugą, uważnie parzył na wszystko wokół i gdy tylko usiadłem obok, zaczął gadać.

- Niedawno rozmawiałem z taką pielęgniarką, z mojej szkoły, tak, tam, co uczyłem, i ona mi mówi, mianowicie, mówi, że... Poczekaj, poczekaj, ale poczekaj. Że tak jak istnieje pojęcie godnego życia, tak istnieje pojęcie, i ja jestem tą ideą zafascynowany. – Bał się, że ktoś mu przerwie, i przerywał sam sobie. - Teraz to dopiero odkryłem, że istnieje, ona mi to mówiła – nawracał, rotował, tańczył na języku - pojęcie godnej starości i właśnie godnej śmierci. – Uspokoił się, powiedział, trzeba było wyczuć, że to już jest po przełomie. - Takie dwie idee, które przy okazji babci padły, a rozciągam je na takie rozważania jakby uniwersalne. Godna starość padła w ujęciu, żeby zminimalizować cierpienia, bo był taki okres, że babcia bolała, trochę środki przeciwbólowe, cuda, a ja powiedziałem, że mam w ogóle tendencję do minimalizacji wszystkiego. – Odsłonił się. - A leki oprócz wszystkiego mają swoje minusy, oprócz plusów. Pielęgniarka powiedziała: „ma pan rację, ale żeby też nie przekraczać progu pewnych bóleści, bólów i tak dalej”.

Przytakiwałem, odganiając dzieci i teściową.

- A potem padła idea naturalnej śmierci – wrócił do pielęgniarki. - I ona sobie robi pewne wyrzuty, że w przeddzień śmierci nie odwiedziła jej, tyle tylko że zmarła z powodu ewidentnych zaniedbań, błędów szpitala, wiadomo, że każdy musi umrzeć prędzej lub później, ale ona właśnie ma pretensję, że mogłaby jeszcze pożyć przez szpital. Najlepiej dotrzeć do tej naturalnej śmierci, nie w sposób przyspieszony, no ale godnej, zawsze godnej, to trzeba zrobić. Godność... To pojęcie mi się najbardziej spodobało.

Skończył. Uniósł nieco wyżej głowę. I przeszedł do rzeczy mniej ważnych. Że skoro ma więcej czasu, to może by robić teraz urodziny swoje dwa razy w roku, bo to jest wartość: spotykać się w większym gronie, i innych rzeczach, o tym, czy ciastka korzenne to ciastka imbirowe. O ciotkach zaledwie wspomniał.

Znów nie wiedziałem, co się dzieje. Podobno było z nim bardzo źle. A ja widziałem dziwnego, ale dość zwykłego człowieka, rozprawiającego w sobie tylko znany sposób nad urokami życia. Gdzie się podział on? Marek? Gdzie wypuścił powietrze?

Dopiero potem, nazajutrz, gdy zadzwonił telefon od ciotki, doszło do mnie, w czym rzecz. Zaskoczyło mnie to. W pierwszej chwili nie wiedziałem, co o tym myśleć, i dopiero po dłuższej chwili obycia z tematem przychyliłem się do odosobnionej opinii teścia. Co do innych, myślę, że nikt tego nie zauważył.

Uroczystości pogrzebowe nie zostawiły we mnie żadnego śladu. Gdy spotkaliśmy się znowu ze wszystkimi w Urlach, zaledwie miesiąc po fakcie, uderzyło mnie, że znów siedzę na tej werandzie jak jej element, jak drewniany kołek. Ciotki i ojciec. Wszyscy rozmawiali normalnie, może ostrożniej, ale bez zatargów czy tak lubianych w tej rodzinie kłótni. Nie graliśmy w piłkę, no ale to chyba niedobrze jakoś w czasie żałoby.

# PIERWSZE PRÓBY PRZYJAŹNI

Na początku chciałem przeprosić, że nie jestem pedałem i nie jest to pedalska historia, sorry, tylko inna. Ale wiecie, jak jest, może i to się nada. Tą prawdziwą pewnie jeszcze kiedyś napiszę, nawet myślę na pewno, w dzisiejszych czasach warto, zresztą czemu się ograniczać, ale teraz nie. No więc nie, nie pedalska. A jaka? Sami zobaczcie.

\*

Z początku nie wiedziałem, że zaczynam go śledzić. Dziś przecież, kiedy większość informacji o każdym jest do znalezienia w sieci i skądinąd szczerze odtrąbiono koniec prywatności, nawet samo słowo „śledzenie” brzmi dziwnie. Wyjęte z filmów sprzed 89 roku, do głowy przychodzi dopiero wtedy, gdy na prawdę zaczynamy za kimś chodzić po ulicy, sprawdzać, co wyrzucił do kosza, zakładać programy do skanowania maili i zdecydowanie przekraczać nie tyle prywatność, co swoją własną rutynę, i to też tylko dlatego, że nie wiemy, jak opisać uczucie, które tak nas pociąga.

Tyle że wtedy - wtedy, gdy już zabniemy tak daleko, nawet jeśli w głowie nam zaświta, przejdzie jak czarny kot przez drogę podczas składania kartki podartej przez ofiarę albo przeglądania albumu jej zdjęć, które nie do końca zahasłowała, słowo „śledzę” - nikt z nas już nie potraktuje tego poważnie. Wtedy poważny będzie tylko instykt i to, żeby ofiarę przytroczyć sobie do konia, a potem wlec za sobą, akurat tam, dokąd się chce.

Tu ze mną zaczęło się niewinnie, może nawet dlatego nie wiedziałem, że coś jest na rzeczy, bo robiłem to z wielu stron? Pewnego czerwcowego wieczoru, idąc z żoną ulicą Ustronną na sushi w Kobyłce, zajrzałem w okna jego mieszkania na drugim piętrze kamienicy tuż przy skrzyżowaniu i pomyślałem o „Bakakaju” Gombrowicza, że to w sumie podobna sytuacja. Że ja mógłbym teraz też tak za nim chodzić jak tancerz mecenasa Kraykowskiego, oczywiście nie po to, żeby od niego pałką dostać, ale... No właśnie, po co? Żeby zobaczyć? Co? Tego jeszcze nie wiedziałem, ale pociągające było samo już chodzenie.

Miałem zresztą w tym już doświadczenie, a nawet pewną skłonność. Przeglądanie profili internetowych, apteczek w domach goszczących nas ludzi, książek, gdy parzyli nam herbatę, wyciąganie z internetu zdjęć ciekawiających mnie osób i odkładanie do osobnego folderu - wszystko to sprawiało, że czułem się nieco lepiej i wyraźniej.

Gdyby przekładać to na chemię i fizykę, posłużę się pracą z biennale w Wenecji, gdzieś w 2007 roku, która może dać opis tego stanu. W długiej sali umieszczony był, rozpięty ponad dwoma rzędami słupów, prąd, a jedyne miejsce, gdzie nie mogło nikogo porazić, to korytarz między tymi słupami właśnie pod prądem, którym można było przejść na własną odpowiedzialność na drugą stronę sali, podpisując się nawet wcześniej, że tylko ty odpowiadasz za to, co może się stać. I czasem rejestrowano przebicia.

To właśnie wysokie napięcie, a czasem zaledwie jego domniemanie, odnajdywałem w cichym przyglądaniu się biurkom nieobecnych osób w pracy, ich wiszącym w sieci portfoliom oraz komentarzom internetowym, które usłużne programy komputerowe zostawiały listowane dla takich jak ja. Co prawda nigdy nie zajrzałem do portfela czy torby ofiary, raz może czy dwa, ale też nigdy nie stawiałem sobie takiej granicy. Co więcej, zdarzało mi się już śledzić niewierne albo niekochające dziewczyny, nie mówiąc o tych, które dopiero zaczynały mnie fascynować, i byłem przygotowany, że za tym z czasem idą inne rzeczy.

Dlatego, jeśli chodzi o Tadka, muszę powiedzieć: przyszło mi to lekko, niezauważalnie i nawet zwyczajnie. Na początku jako pewna chwilowa podnieta. Ilu jest takich ludzi, którym się z ukrycia przygląda? Każdy z nas ma ich bardzo wielu. A ilu nam musi się przyglądać? Prawdziwych przyczyn domyśliłem się później.

Patrzyłem w te okna wtedy na spacerze i, nie wspominając nic żonie, oddałem się w całości temu, co może się dzieć w środku. Tadek, myślałem sobie, z pewnością usypia już swojego dwuletniego synka Marcysia, może zaczyna malować, a może prowadzi Asię, żonę, do sypialni, gdzie ma już pewien pomysł, co z nią dzisiaj zrobi.

Świeciło się właściwie w każdym z okien. Mogli być jeszcze w salonie albo w pracowni, wybierali dopiero, co będą robić dzisiejszego wieczoru. Pomyślałem, że mógłbym tu zostać i zobaczyć, co dalej, jak dzisiaj skończą wieczór. Mieli też otwartą bramę do podwórza i okna na drugą stronę kamienicy, mogłem więc wejść tam po cichu, między śmieciami w bramie, zacząć się w ogrodzie i popatrzeć, czy skończą w sypialni, czy może jednak w kuchni i po drugiej stronie w gabinecie. Ciekawiło mnie to, ale byłem tu przypadkiem i musiałem już iść.

Gdy wracaliśmy z sushi, przeszliśmy jeszcze raz na tyłach jego kamienicy, Kaliską i tam już miałem w sobie takie wibrowanie, że to podwórko sąsiaduje z ogrodem kamienicy Tadka i kiedyś, jak żeśmy z nim rozmawiali w tym ogrodzie, to wymienialiśmy dom, na który teraz patrzę. Centrum Fiata.

Przypomniałem sobie, jak wtedy zaśmiewaliśmy się do łez, gdy jego sąsiad z piętra wyżej, expat Marc, tłumacz bogatych prawniczych korporacji, z którym kiedyś w większym towarzystwie kolegów Tadka siedzieliśmy i paliliśmy trawę u niego w ogródku, skomentował

Centrum Fiata, że tu przyjeżdżają „Fiat people” i uczą się rozmaitych „Fiat things”. Nie mogłem wyjść z podziwu, że całe korporacyjne gówno można zawrzeć w tak krótkim sformułowaniu. Fiat people mieli pewnie czerwono-zielono-białe broszury, siedzieli na krzeselkach z pulpitami, podbitych materiałem, od którego pociły się ich tyłki, i ze zrozumieniem kiwali głowami nad różnymi fiat things, wypisanymi w środku ładną i gustowną fiat type, ale to już jest kwestia wyobraźni, którą w tak przedni sposób uruchamia podczas takich wieczorów trawa.

Pamiętałem nawet resztę wieczoru spędzoną u kolejnego znajomego Tadka, Mariusza, specjalisty od ryzyka bankowego. Mariusz pokazywał w swoim mieszkaniu bogatą kolekcję alkoholi i choć wszystkim chciało się pić, to nie dał, mimo że wszyscy, delikatnie jak na po pijaku, namawiali go, a zwłaszcza na wódkę ze żmiją. I jak potem wyszedłem po cichu z tego mieszkania o trzeciej nad ranem i szedłem do siebie na piechotę trzy stacje, słysząc jeszcze urywany, skrzekliwy śmiech Tadka za plecami.

Teraz, w świetle wieczornych lamp, schowane pod kasztanami, widziałem ich centrum Fiata na żywo, a za nim, przez płot, był ogród Tadka. Po tamtej stronie mur, to pamiętam, podierały regularnie ułożone pniaki ze ściętych topoli, które kiedyś zwałił wiatr i Tadek niejednokrotnie opowiadał, jaki mieli kłopot, aby wynająć taką firmę do sprzątnięcia drzewa, która zrobiłaby to profesjonalnie. Pośrodku ogrodu rosły dzikie jabłonie, a na środku tego wszystkiego stał grill zrobiony z kilkunastu cegieł i rusztu, gdzie Tadek kiedyś tak hojnie mnie podejmował. Wszystko to mi się teraz przypominało. Była wtedy połędwica po angielsku, dużo piwa, cały jego świat, który otworzył dla mnie jednym zaproszeniem. Chodź i poznaj świat Tadka. Koledzy, alkohol, żona, obrazy, narkotyki, futbol i boks, życie wewnętrzne.

Minąłem je. Już drugi raz rezonując w tak bliskiej jego obecności, nasycony tym widokiem, niewiele mówiąc żonie, minąłem to miejsce i właściwie zapomniałem o Tadku.

Dopiero rano, gdy wsiadłem do pociągu i jak co dzień przejeżdżałem przez Kobyłkę, znowu mi się przypomniało. Pociągi jeżdżą przez Kobyłkę często, gdybym na chwilę wysiadł ze swojego, zdążyłbym na następny. Przez moment miałem nawet myśl, aby zrobić sobie pętlę, odbić od prostych codziennych linii swoich warszawskich wyjazdów i powrotów, podejść przed dom Tadka, z ranka, przez tunel, do skrzyżowania, przez połamane płyty chodnikowe, tak po prostu przejść i się zaciąć. Czy by mnie zauważył? A jeśli by mnie zauważył, to co by powiedział? Czy ja bym dał mu się zauważyć?

Nie wyszedłem jednak. Zresztą, czy było to potrzebne? Istniało tak wiele miejsc w Warszawie, które mi go przypominały, że póki co, aby wejść w jego historię, w jego życie, nie musiałem jeszcze wcale, nic a nic, śledzić.



Wykonać na razie jedynie pracę archiwizacyjną, a więc być czułym na wszystkie materialne ślady naszych kontaktów. Rozmowy, obiekty, rzeczy, właśnie przez rzeczy, przypomnieć sobie wszystko, co mnie w nim ciekawiło.

Na przykład tu, w tym miejscu, tuż za stacją Kobyłka, Tadek pierdolił o tym, że gdyby miał pieniądze, to by kupił taką willę przedwojenną, lepszą. Chwilę dalej, tam, gdzie zaczynają się rozjazdy przed Sulejówkiem, Tadek hodował zioło, jeszcze w zeszłym sezonie, bał się sokistów, kluczył, gdy go obserwowali, ale i tak mu nie wyrosło, musiał mieć słabe nasiona.

- Zresztą wiesz, jak jest, panie – mówił, wyciągając ostatnie słowo. - Na cudzym słabo rośnie.

Potem Wschodnia, gdzie razem wysiadaliśmy, kawałek wspólnej drogi, tu chyba w drodze do pracy albo spacerze na lunch, Tadek opowiedział mi, że dużo czasu, kilka lat, spędził w sanatoriach i że właśnie to, że on tak teraz lekko kuleje, to się stąd wzięło, że miał poważną operację, coś z barkiem i w ogóle kręgosłupem. Tam – w tych sanatoriach - trzeba było być silnym i Tadek do tej pory nie lubi ludzi, którzy się z niego śmieją, opowiadał. Potrafi się mścić.

Znowu kiedy się dalej właśnie szło Ząbkowską, to dochodziło się do knajpy „Łysy Pingwin”, gdzie kiedyś upiliśmy się do tego stopnia, że nie mogliśmy się wtoczyć do pracy na Białobrzeskiej, gdzie na nas już czekali, z dużym, ha, ha, projektem fotograficznym. Czyja to była wina? Tadek chciał degustować wino, ja sprzyjałem. Przypomina mi się to i inne zdarzenia, widzę coraz więcej przypomnień tego człowieka, jak cień, coś wchodzącego w kadr oczu, chodzi po głowie i natarczywie podchodzi bliżej. Mucha w oku konia. W pracy zapominam o nim na chwilę, ale wiem, że wróci.

Innego dnia na przykład – jadę odwrotną drogą, z pracy. Widzę jego żonę. Ale czy to jego żona? Asia? Gdy Kasia Torbicka widziała ją na zdjęciach, mówiła: „ładna kobieta”, teraz tak patrzę na nią i pamiętam słowa Kaśki, widzę, że jest pulchna, w stronę wiejskości z całym dusznym ciepłem stamtąd, ale jest też w niej jakiś delikatny urok przeświecający spod sukienki od uda, włosów ściągniętych, wybitnej, dużej piersi, ładnie zarysowanej twarzy.

Nie poznajemy się. Kiedy ją poznawałem, musiała zaczynać się jej depresja poporodowa, którą tak przeżywał Tadek. Mówił o niej z ubolewaniem, że musi odwozić dzieciaka do teściów, ciężkie życie ich synka, Asia sama w domu, w pościeli, szarość. I choć znamy się z tą kobietą, która teraz małymi kołami krąży po peronie, i mimo tego, że kiedyś żeśmy dłużej rozmawiali, nawet może moja żona z nią rozmawiała, to teraz po prostu mijamy się i ona tak delikatnie robi, że mnie unika, ja też widzę, że wszystko zmierza w kierunku unikania, więc

nawet - ach, ten ja! - nie wysilam się specjalnie, żeby jej unikać, zwalając to na Asię, żeby ona mnie unikała.

Wysiada w Kobyłce, co już w stu procentach upewnia mnie, że to ona. Wiem, ta wiedza krzepi teraz, że nad jej łóżkiem, w sypialni, gdzie jest jeszcze wanna, żeby on widział jak ona się kąpie, jest jeszcze obraz Tadka, kadr z „Oczu szeroko zamkniętych” Kubricka. Jak nagi mężczyzna wprowadza nagą kobietę do świątyni rozkoszy. Czy ona to lubi, czy ona to rozumie? Że jej uda, jej piersi...

Ale nie. To mnie akurat nie interesuje, interesuje mnie Tadek. Jak mi często opowiadał, o różnych swoich warszawskich miłościach, a ja często, próbując się do niego przymilić, podwoziłem go przed przystanek, że niby taka błaża rozmowa, i wyciągałem, żeby nie zmarnować ani chwili swojego tak cennego dla mnie życia, informacje o kobietach, które poderwał tu, w Warszawie. No i myślę, że Tadek, po takich twierdzeniach jak o Łazarzowej w agencji, że z łóżka by jej nie wygonił, musiał o tym temacie wiedzieć dużo więcej niż ja. To mnie fascynowało i to wszystko widziałem przez krótką chwilę w staniu Asi opartej o szybę służbówki w pociągu podmiejskim, którym przez przypadek obydwójce jechaliśmy.

Z pewnością go nie śledziłem, ale przypominał mi się tak często, natężenie myśli o nim było tak intensywne, że właściwie tylko czekałem na moment, w którym zacznę.

W końcu nawet błahe czynności, wszystko było dublowane. Gdy kiedyś ktoś pochwalił mój zegarek, przypominało mi się, że on też kupił sobie zegarek, patrzył często na niego i na spotkaniach biznesowych wyciągał rękę, żeby go pokazać, żeby go chwalili. Często przywoływaliśmy wtedy historyjkę z „Pulp Fiction”, że jego dziadek musiał mieć w dupie ten zegarek. Wiadomo, wspólny śmiech. Robiłem nowe danie – Tadek też lubił gotować. Kupiłem buty – jakie miał buty? Malowałem dom, jak on kuchnię malował? Przypominał mi się w każdym moim ruchu. No i jego sztuka.

Gwiazdy porno. Ilekroć patrzę na gwiazdy porno teraz, widzę obrazy Tadka, Tadek miał swoje muzy, uważał, że to jest piękne. I miał ulubioną Węgierkę, muszę zresztą znaleźć jej nazwisko, z pewnością są filmy w sieci, Anita Blonde, zwykle ciało blondynki o ładnych kształtach, dobrze się układało w łóżku, czasem sobie pozwalałem ożywiać te obrazy. Jej właśnie namalował ten portret, który mi pokazywał, prosił, żebym wiele razy oglądał, że to jego hołd, cały zimny, niebieski monochrom, włosy Moniki Lewinsky, bardziej rozstrzelone, i długi, wystający język. Podobała mu się, bo ją malował, ale w tak zimnym świetle, że widać, jak dużo tam było niechęci, wrogości, trupa. Nie umiał o tym opowiadać, po prostu malował.

Wyczułem w nim szaleństwo już w pierwszych chwilach po poznaniu. Polecał mi go Florek Mąciak, że jest taki art director i że warto się z nim spotkać, jeśli nie mam partnera.

Przyjechałem do niego do Kobyłki rowerem. W słabym świetle pomalowanego na brązowo pokoju, w chłodzie czerwcowego, gasnącego powoli wieczoru od razu wyjął wino, pytał, jakie lubię filmy i czy jaram trawę.

Pytania były ciche, ale szybkie. Jakby cały czas ktoś go słuchał gdzieś z tyłu. Że lubi Felliniego i czy zioło – jeszcze raz. Lekki rozjazd szczęk, paradoksalnie ciche szczekanie i mętne szkliste oczy. Głosy. Ręce mu się też trzęsły. Miał artystyczne spodnie, krótsze, niż zwykle ludzie mają, marynarską koszulkę, był sporo starszy ode mnie, człowiek z tych, jacy mi imponowali lata temu i teraz też, jak widzę. Artysta. Lubilem takich. Artysta, czyli wariat. Próbowałem dobrodusznie uspokajać, byłem wtedy silniejszy chyba, ale i tak tym winem żeśmy się upili. Chemia była dogadana. Jointa, żeby jakoś nie przesadzać z tym ziołem teraz, zapaliliśmy później. I w ogóle postanowiliśmy pracować razem.

Dziś mogę powiedzieć, że jego szaleństwa nie zniosłem, a stało się to dokładnie wtedy, gdy straciliśmy razem już drugą pracę i trzeciej postanowiłem szukać samemu. Powiedziałem, chyba sms-em nawet, że po tym, jak nas za te ciche i głośne odloty z ostatniej agencji wywalili, nie będziemy już pracować razem i nie życzę sobie, żeby dzwonił po moich śladach. Poczuję się wtedy odpowiedzialniejszy i bardziej samodzielny, a to znowu sprawiło, że Tadek dla mnie, za mną, w mojej przeszłości, znikł.

Byłem i jestem wyższy, nie mam tak widocznych fizycznych wad, które pokazywałyby wady mojego charakteru, żona też mi podpowiedziała i wiele osób, półsłówkami, że to Tadek jednak słyszał głosy, i w ogóle lepiej, żeby już koniec, że mu powiedziałeś, żeby się odczepił.

Ale powiedzenia i obietnice sobie, a i tak bywa różnie.

\*

Jednego z tych okołotadkowych dni wstaję rano. Idę jak zwykle, mam ten brzydki nawyk, na tyle powszechny, że może być zgodnie przemilczany przez wszystkich, odpalić jeszcze przed kawą, papierosem, żoną i dziećmi komputer, a w nim „Facebooka”.

Zwykle wypatruję, jak wszyscy, czy to moje kodowane życie wewnętrzne, którym tak bardzo chciałbym się pochwalić innym, poszukiwanie bliskości, zostaje jakoś tam zrozumiane, szukam czerwieni. Czerwonych fejsbukowych plakietek z cyframi u góry po lewo ekranu, gdzieś przy tablicy z kategoriami. Im więcej plakietek, tym większa kochalność. Sprawdzam, czy przez noc byłem popularny, czy napisałem coś śmiesznego, jak bardzo było to odkrywcze, jak oddawało ducha naszych czasów. Uzależniająca sprawa.

W ogóle muszę powiedzieć: te czerwone plakietki to jedyny ciepły akcent w ogólnym layoucie „Facebooka” – niebieskim, zimnym. Są genialne. Ktoś planujący te kolory, już pomijam użyteczności, miał głowę. Rano siność i bladość niebieskawego ekranu, a tu akcent, czerwień. Coca-Cola. Taki sobie zresztą założyłem na fejsie zdjęcie profilowe – logo Coca-Coli, aby się właśnie wyróżniać, aby ludzie mieli taki czerwony powidok, jakbym to ja był w ogóle plakietką z dobrą nowiną. Oczywiście to kpina i sarkazm, ale ja wiem, że takie ciche rzeczy, których się nie domyśla, są najgłośniejsze.

I patrzę na tego „Facebooka”. A tam... Tego się nie da inaczej opowiedzieć, tylko szkolnie. Dzisiaj jeszcze nie pomyślałem o Tadku. A tam obraz Tadka, ta węgierska sina gwiazda porno, którą on tak na trupio niebiesko malował, właściwie zlewa się z ciemnoniebieskim tłem „Facebooka”, tyle że ma domalowane w górze taki jakby kwiat we włosach, czerwony, z niego spływa czerwona farba. I logo. Coca-Cola. I jeszcze to moje credo, które tam sobie wpisałem na dół kiedyś: „enjoy”. Też jest tam umieszczone. Na dole, jako dopisek. Patrzę.

Czuję się, jakbym trochę opadł niżej nagle. Czasem, gdy coś się wydarzy na pograniczu spraw moralnych, właśnie jest wrażenie, jakby człowiek nagle upadł tak z piętro niżej. Bum. Rozglądam się po pokoju, próbując oprzeć się, zaczepić o jakąś stałą rzecz w tym oszołomieniu, i widzę właśnie ten komputer, tę Coca-Colę, siną gwiazdę porno i dalej „enjoy”. Ach, więc ktoś też zrobił śledztwo w mojej sprawie i teraz mi je zdradza. Na widoku, choć nikt nie widzi. Aha, więc Tadek też! Więc on też w to gra. To, że jesteśmy przyjaciółmi na fejsie, to przecież proforma i nikt nikogo nie musi oglądać, komentować ani obchodzić, a on mi prosto w ten właśnie kodowany sposób coś tak mówi? A jak subtelnie!

To, Tadek, moja wyzywająca radość, moja czerwień-enjoy na sinym tle fejsbuka jest u ciebie kwiatkiem na zimnym ciele porno gwiazdy? Jest taki kwiat, czerwony, krwisty, który pachnie zgniłym mięsem, by przylatywały do niego muchy, zrozumiałem cię, Tadku. Zrozumiałem, że ty też.

I tak Tadek wszedł w moje żyły. Teraz wszystko robiłem na odwrót. Zegarek – ha, ha, ha. A pamiętasz Tadek, jak miałeś wiecznie problem, że pomimo tego, że kupiłeś sobie wspaniały zegarek, wszyscy podziwiali mój? Zresztą, przypomnij sobie, że kupiłeś go tylko dlatego, że wciąż podziwiali mój, a Ty chciałeś też być troszeczkę podziwiany, co? A kiedy zapuściłem wąsy? Nie mogłeś zapuścić wąsów, co? Bolało. A ty myślisz, że skąd ja wiem, że później kupiłeś sobie zawadiacki kapelusz? Coś na twarzy trzeba mieć zamiast wąsów, nie? Płaszcz mieliśmy akurat podobne i wzbudzały podobną sensację, twój krótszy – jesteś niższy.

A jak od samego wejścia do pociągu rano nie mogłeś się zawsze nadziwić, że jeżdżę bez biletu, że nie liczę, jak tani artysta, wszystkich swoich wydatków. W którym to z dzienników było u Baudelaire'a, ile wydał na bułkę? Tadek, ja tysiącami przepuszczam pieniądze na kary pociągowe, Ty o tym wiesz i nie zrozumiesz, ty będziesz mnie podziwiał i nie rozumiał, bo ty nie wiesz, co to jest uciekać przed kanarem, nawet na zewnątrz pociągu. Zioło to jest dla takich jak ty. Dla mnie są pociągi.

A kiedy już wysiadaliśmy, nie mogłeś zrozumieć, że zawsze się tak podniecam, gdy dostajemy razem zadanie w pracy, że nie mogę przejść obojętnie obok tych głupich reklamowych łamigłówek. Dla ciebie wszystko było czasem do obiadu. Patrzyłeś na to z wyższością chłopca, któremu się pan na polu rzuca, i nie mogłeś zrozumieć, czym tu się przejmować. A jednak gdy wychodziło, nie wiedziałeś dlaczego.

A jak później w naszym pokoju w pracy leżałem godzinami na kanapie, bolało, że sobie tak mówię do gwiazd, trochę do ciebie, trochę do siebie, trochę do nich. Zrelaksowany, wyciągnięty. Ja. I kładłeś się tam po mnie. Pamiętam twoje buty!

Trzeba było ci zegarka, żeby się zmienić i wejść w moją skórę. Ale tak samo jak przez zegarek, tak przez położenie się na kanapie nie da się w nią wejść. Bolało, chciałoby się choć trochę. Co?

A jak denerwowało cię, że traktuję ludzi z nieświadomą wyższością, nie widziałeś, jak słaby jestem i dlatego muszę ich odpychać? Drażniło cię moje „no”, które dodawałem po końcu każdego zdania, byle tylko pokazać, że jestem ponad, no, nie wiedziałeś no, o co chodzi. Jakie ty mi, Tadek, robiłeś o to uwagi, no.

A jak, wracając do pracy, musiałeś się denerwować, że ty jesteś taki ekstrawagancki, ciekawy i inspirujący, a twarzą tego zespołu jestem ja? Skupiony na sobie, egoistyczny i z wyrachowania towarzyski. O, Tadecku, a jak nam wychodziły rzeczy, jak zrobiliśmy animatiki do przetargu o sile większej niż cały blok reklamowy, musiałeś podziękować, co? No. Ciekawiło cię, że tak to sobie wymyślił i że mu tak wyszło, co? No. Też by się tak chciało.

A jak kiedyś, przechodząc Ustronną w Kobyłce, wpadłem się napić piwa? Tak sam z siebie. Na twoje śmieci. Często masz takich gości, co to przychodzą napić się piwa jak do baru? Długo musiałeś myśleć. Jak można takim być? Musiało się myśleć. Tam się wiele w głowie nie mieści, ale musiało to być dla ciebie bardzo ciekawe.

Obiady – ty taki wykwinny, kaczką w pomarańczach, jeździłem z tobą na kraniec miasta na lunch, byle zjeść nową, ciekawą i wyszukaną potrawę, Ty nie mogłeś zrozumieć, że tygodniami na lunch jadłem kaszanekę za 10 złotych, że interesowały mnie tylko kaszanka i

ogórki kiszone, nawet z tego mógłbym zrezygnować, żeby głód można było zaspokajać tabletką.

A kobiety? Jakich sił musiałeś używać, żeby przyciągać ich uwagę do siebie, gdy naturalnie kierowała się do mnie i tak samo naturalnie spotykała się ze szklaną ścianą niezrozumienia i obojętności? Wszystko tam było. Podniety tak silne, że osobom delikatniejszym wydawałyby się dewiacją. Ale odcyfrowałeś mnie, tak czy nie, Tadku? Zrozumiałeś czy nie?

Dlaczego dajesz te obrazy na fejsie? Dlaczego o mnie? Masz bogatą i trafną intuicję bez wątpienia. A może wyczuwasz pewne fale, które rozciągają się wokół twojego domu i, wychylając wieczorem nos za okno, gdy ja wcześniej przechodziłem na dole, wyczułeś, że coś tu się dzieje, a potem przypomniał ci się Maliński? Czy nie tak? Może moje chodzenie po wspólnych śladach, patrzanie w okno za twoją marihuaną cofało cię do mnie i musiałeś się z tym policzyć?

Może złapali cię w końcu, biedaku, bez biletu, którego tylko zapomniałeś wziąć z kuchni ze stołu. A może pamiętasz, jak próbowałem opisywać twoje obrazy, i odnosisz się do tego. Wszystko ciekawe, co? Wszystko wciąga. Maliński, który mnie zdegradował, podniósł, wciągnął, a potem wyrzucił? Cóż, Tadek, ty też dla mnie taki byłeś. Fascynujący i nieznośny. Wiesz, że prowadziłem notes w pracy, w którym opisywałem, co mnie w tobie drażni, ale i fascynuje? I to zawsze te same rzeczy?

Dziś ty i ja jesteśmy sami. Mieszkamy dwie stacje od siebie i nigdy już się nie spotkamy. Wiem, że chodzisz po moich śladach, wiem, że pracujesz w miejscu, gdzie ja pracowałem, że poszedłeś na rozmowę tam, skąd ja się zwolniłem, że gdy odejdę z obecnej firmy, zadzwonisz tam ty. Można by powiedzieć, że mnie śledzisz, ale czy wiesz, czemu to wszystko?

Mogę wejść do ciebie i ukraść ci to wszystko. Obrazy, komputer, wcześniej nawet żonę. Ale wolałbym, jeśli może tak być, żeby nic się nie zmieniło. Po pewnym czasie przejdzie. Pamięć jest łaskawa, życie przynosi nowych ludzi. Zapomnijmy. Niech będzie tak, jak często było. Że ulotnimy się z tego elegancko, po swojemu jak nikt w agencji. Dwóch pierwszej wody wariatów, którymi wszyscy gardzili, ale i wiedzieli, że to fałszywe uczucie. Których podziwiali. To mi się bardzo w nas podobało. Oni w nas nie wierzyli. A wiesz czemu? Oni się bali bardziej niż my, wiesz? I tak właśnie z tego wyjdźmy. Ja założę swoją szarą parkę z lekkim obszyciem i kolorowy szalik z pomarańczowymi wstawkami, ty swój płaszcz i wielką torbę w której, o ile pamiętam, nosisz tylko portfel, no i kapelusik później do brakującego wąsika, ja otworzę drzwi kartą chipową, ty pójdziesz się jeszcze odlać, po czym ja powiem ogólnie, do agencji:

- No to my spierdalamy.

A ty dodasz:

– Taaa, panie, idziemy.

Tak właśnie zrobmy i spotkajmy się nazajutrz, jakby nigdy nic. Znowu.

# SZKIC KOBIETY

- Dolać ci jeszcze?

- Tak, proszę.

W tym dolewaniu i kulturze, która miała mu towarzyszyć, było wszystko, co ludzi łączy i dzieli. Proszę, dziękuję, przepraszam. Dorośli ludzie w zasadzie już nie muszą. A jednak nie może być między nimi dorosłości, bo zawsze, póki się żyje, zawsze coś tam z tego kruszywa formy i głupoty jest. Powaga zmienia się w żart, żart w powagę, forma nas zawłaszcza i tak od nowa. Ona chciała go uwieść i w zasadzie myślała, że jej się to udało, on - że w końcu może z nią tak na szczerze, szczerze, bez tego całego flirtu, który przecież skończyli, porozmawiać. Ona co jakiś czas sprawdzała, czy wszystko jest OK, rozglądając się czujnie po sali i sobie. Było. Siedzący obok trzydziestoletni, łysiejący już młodzieniec, za jakiego sam się uważał, obiecywał jej złote góry, choć i tak było już po wszystkim. Trafiony, zatopiony. On dwa tygodnie wcześniej zadzwonił, proponując, że przyjedzie i spędzą ze sobą trochę czasu. Ona odmówiła, małżeństwo się rozpadło i tak kolejne trofeum zawisło na ścianie koleżeńskiego klubu złamanych serc.

- W końcu, do jasnej cholery! Przecież, mówię wam, podkładałam mu się przez całe trzy miesiące, jak jakaś pinda - zaśmiewając się nerwowo, opowiadała o tej przygodzie swym wieczornym przyjaciółkom. Jej krótki, rwany śmiech miał pokazywać, że jest bezlitosna, brutalna i okrutna. - Całe szczęście ogólna dezorientacja Piotrusia i, że tak powiem, wydatna pomoc Artura w uświadamianiu kolegi, zrobiły swoje. No i moje wdzięki - mówiła, a kieliszek wina coraz bardziej natarczywie atakował jej usta.

Gdy Piotruś pękł, padał deszcz, siedziała przy komputerze i w lekki, znudzony sposób, za wiele sobie nie obiecując, czekała na ten telefon. I Piotruś zadzwonił. Co ciekawe, śmieszny jest ten Piotrek, po tym, jak kompletnie zgłupiał i wydzwaniał przez cały weekend jak zegarynka, w końcu napisał sms-a, że jeśli będzie chciała, to niech sama zadzwoni. I cisza.

Wypomniała mu to dzisiaj, chwilę przed wspólną firmową kolacją, gdy Piotrek wraz z Arturem leżeli na swych hotelowych łóżkach i Arturek hojnie zapraszał ją, by, gdy już zsuną łóżka, weszła między nich, a oni się nią podzielą. Na jej uwagę, że Piotrka trzeba jeszcze prosić specjalnie, Piotruś trochę się zdziwił. Czemu? Przecież to bardzo miła propozycja. Ten dystans wyczuwał także Arturek, który proponował jeszcze w biurze, aby z Pauliny zrobić kanapkę. „Ty ją z tyłu, jak wolisz, ja z przodu.” Ale odpowiedziała mu cisza.



Mimo to teraz Piotruś gadał i gadał. Durzył jej, dolewając wina, aż bała się, że popłynie. O tej reklamie zrobionej dla Harveya Nicholasa przez DDB London, jak przez korytarz idzie kobieta, która ma szpilkę zamiast głowy, a obok siedzą mężczyźni, którzy zamiast głów mają balony, i że „ty jesteś taka jak ta kobieta ze szpilką zamiast głowy”. I o tym, że kobiety nie są piękne na zewnątrz tylko w środku, co w piwnicznym świetle tej restauracji nawet nie było głupie, i że przez osiem lat w zasadzie nie myślał o innych kobietach i „dopiero ty” i że wszystko się dzieje serio, ale jego żona to naprawdę, nie należy jej tu w ogóle przywoływać. Słuchała. Było jej bardzo miło. Gdyby to wszystko jeszcze mogło być prawdą.

- Przecież ja ci się, Paulina, oświadczyłem.

- Ale ty mi się, Piotrek nie możesz oświadczyć.

- Ale to zrobiłem.

Nie mogło także dlatego, że takich rozmów między kobietami i mężczyznami - czy ludźmi w ogóle - nie ma. Każda rozmowa się rozleci. Zmieni się na przykład wiatr czy ogólnie lepsze słońce odwróci mówiących już w trakcie w inną stronę. „Pod żadnym pozorem nie należy tego słuchać” – alarmowała samą siebie już w trakcie, bo organizacja rozmowy powinna być taka: tylko informacje przydatne, tylko informacje zwrotne i dalej. Trochę o Michaelu w Ameryce, że to była prawdziwa miłość i że tęskni („Michael, ostatni któremu uległam, przysięgam”). Trochę o tym, co teraz, że trwalsze związki są te luźniejsze, a ta z dołu („o której tyle mówisz, i ja widzę, że ja już nie”), tak, ta jest całkiem ładna, da się ułożyć i że „powiedziałam sobie, że nie chcę być nieszczęśliwa, zabroniłam sobie, ale to nie ma nic do rzeczy, po co ja ci to właściwie mówię?”.

Na końcu powiedziała: „Nothing personal, Piotruś”, ale to już było wtedy, gdy Piotruś zrobił się pijany i zaczął namawiać ją na spacer, aby gruntownie się do niej przytulić. Wtedy wstała i wyszła. Szefowa i właścicielka klubu tańczyły jeszcze razem, kilku niedokończonych gości piło osobno, podchodząc czasem do płyt, a właściciel restauracji, typ szurka w okularach, zbierał już pierwsze naczynia.

Mimo to wieczór się jeszcze nie skończył. Na przykład Arturowi z początku trudno było uwierzyć, że pięści, które spadają na jego głowę, są serio. Chłopakom w pokoju - że ich miły kolega mógł tak po prostu wejść i komuś tak z całej siły dowalić, a Pauli - że to wszystko w ogóle się dzieje, a także w to, chociaż takie rzeczy już zносиła, że gdy próbowała ich uspokoić, któryś dał jej tak po prostu kopa w dupę.

Zaczęli w łazience, wtoczyli się pod prysznic, gdzie zimna i gorąca woda na przemian komediowo studziły ich i zagrzewały do walki. Gdy pojawiła się krew, zaczęli grozić sobie przez zaciśnięte zęby, po czym przenieśli się na dziedziniec hotelu, gdzie wrócili do okładania

się pięściami. Całkiem malownicze zjawisko. Ludzie jadący alejami odwracali głowy, widząc zbiegowisko i dwóch skaczących do siebie mężczyzn w koszulkach. Zdziwienie zaczynało się od koszulek, przecież jest listopad, a potem wszystkie te żony w autach, mówiły: „Patrz, przecież oni się biją”.

I bili się na serio. Zarówno Piotrek, który chwilę wcześniej zobaczył Paulinę w łóżku z Arturem (co więcej - wiedział, że ich tam zobaczy, i szedł z tą myślą, że po prostu powinien mu przyjechać, a o niej po prostu zapomnieć), jak i Artur (trochę zaskoczony, a trochę przywołany do tablicy) nie mieli jak na siebie nie wpaść i próbować sobie tymi małymi piąstkami dorosłych ludzi wymierzać sprawiedliwość.

Gdy się rozeszli, coś jeszcze mówili do siebie, nawet się śmiali, być może przebaczyli, ale wódka, wino i piwo zaćmiły pamięć o tym, co dokładnie się wtedy wydarzyło. Piotrek obudził się rano nagi przed drzwiami swojego pokoju, Artur poszedł jeszcze tłuc talerze, za które potem skrupulatnie rozliczył go szcurek, a w hotelowym powietrzu przez całą noc unosiła się pijana elektryczność, oświetlająca godzinami plamy z wina i krwi na wykładzinie.

Błady świt listopada startł nieco to wrażenie i wlał nieco zwykłego szumnego podwarszawskiego życia w te długie i monotonne jak wnętrza pudełek po mleku hotelowe korytarze, ale smak nocy pozostał wszystkim w ustach. Kac, przygodny seks, inne kłótnie - wszystko spotkało się na śniadaniu, ale i tak największe wrażenie zrobiła bitwa dwóch kogutów. Wszyscy siedzący przy wspólnym stole dociekali, co się stało, ale skoro nie brali udziału, spotykali się z tylko z uładzoną, ale i należną odmową. Aby podbić temperaturę - swoją i poranka - Artur przyszedł w zakrwawionej koszulce. Piotrek na każde pytanie odpowiadał, że nie może odpowiedzieć, ale pamięta wszystko, wszystko. Paulina zaś była zachwycona, choć nie mogła zrozumieć nic z tego, co się stało. No bo i co mogła rozumieć?

Każdy z nas, jak mi się teraz wydaje, gdy próbuję opisać jej nierozumienie, szuka sobie takiego miejsca na ziemi, gdzie mógłby się przed tym wszystkim, co dzieje się na jej powierzchni, jakoś sensownie schronić. Bierze więc szpadel do ręki i zaczyna w tej samej ziemi kopać swój własny kanałik, do momentu, aż go ta sama Matka Ziemia w tym kanałiku nie zasypie. Czasem oczywiście ludzie w tej kopaninie się spotykają, coś im się wydaje, że mogą razem do przodu, albo nawet, że sobie wspólny dach przed ziemią zbudują, ale próby te są trudne, to ich wszystkich zraża i znowu się rozchodzą – w swoje własne kanały.

Paulina nie chciała już nikogo spotykać. Dlatego teraz czuła się zupełnie zaskoczona i właściwie nie wiedziała, jak zareagować na wczorajszą przygodę. Uśmiechała się trwale we wszystkich kierunkach, zbierała wraz z innymi przy popielniczkach, poprawiała szalik, nawet żartowała, ale osoby bardziej uważne widziały, że w środku cały czas próbuje ułożyć sobie

gorączkowo wszystkie wydarzenia poprzedniego wieczoru w jakiś sensowny ciąg i wyciągnąć wnioski na najbliższą przyszłość. Patrzyła na innych, na siebie, potem próbowała zajrzeć w oczy i Piotrkowi, i Arturowi, ale nic nie było OK. Albo oni nie chcieli jej nic pokazać, albo ona była oślepiąta.

Była kobietą zawiedzioną, ale też nigdy nie osunęła się w żal, co, jak okiem sięgnąć, łączy się ze sobą. Była z tego rzadszego gatunku kobiet, które jako odpowiedź na zawód wybierają sobie publiczną zemstę. Było to widać nawet w jej postawie. Jak każda kobieta zawiedziona traciła na urodzie w astronomicznym tempie, ale mimo to, gdy chciała, w ciągu trzech minut mobilizowała wszystkie swoje wdzięki. Przypominała często spotykany na studiach psychologii obrazek, który ma biednym studentom pokazywać, jak „nasze postrzeganie rzeczy może być zakłócone przez nasze nastawienie”. Gdy patrzyło się raz ten szkic, była to stara babulinka okutana w szmaty, taka, jakie się widzi przed osiedlowymi samami. Gdy patrzyło się raz drugi, na tym samym obrazku widać już było piękną, młodą osobkę, kogoś jak Madame Chauchat z „Czarodziejskiej Góry”, bo tak ją sobie wyobrażałem.

Stara i młoda. Wszystko zależało od tego, jak się ustawiła i jak człowiek chciał się na nią spojrzeć. Obydwa punkty widzenia były oczywiste, ale aby się w nich znaleźć, musiała pomagać Paulina, zarządzająca tymi dwiema postaciami jak kartą rabatową „Tesco”, której nigdy nikomu nie zapomniła wręczyć, gdy akurat ktoś z pracy wychodził do sklepu. Zawsze uzbrojona, oszczędna, hobbystyczna nawet w tym odlocie, ale i tak zawsze niechętnie samotna.

„Czy oni mnie obrazili? Czy bili się o mnie, czy co? O co chodziło? Co ja mam teraz zrobić? Co się teraz będzie dziać?” Przypominała dziecko złapane na kradzieży cukierka. Głupi, tłumaczący dezorientację, uśmiech. Już w domu powiedziała sobie: „Zobaczymy, jak to wszystko zadziała, kiedy wrócimy do pracy” i odłożyła myślenie na później. Odwołała swoje spotkanie klubu złamanych serc, ochoczo łyknęła kilka stilnoksów i położyła się do łóżka, czekając na sen.

Całe szczęście w pracy wszystko w ciągu miesiąca potoczyło się już po jej myśli. Przynajmniej tyle, że Piotruś się rozleciał. „A nie mówiłam?” – triumfowała. O pijanej bójce da się łatwo zapomnieć, a przed nami taka piękna katastrofa. Już w tamtą sobotę mówiła mu przecież, że nie ma takiego wagonika, którego nie można odczepić. I co? Warzywa w kuchni same się krojły, cola sama się piła, a mówienie samo się mówiło.

Obserwowanie, jak Piotrek szuka pocieszenia w ramionach tej młodszej, było może bolesne, ale poszedł. Długa. Kot. Oni wszyscy są tacy sami. Był i znikł. „Żona, hy, hy, hy” - znów śmiała się triumfalnie. - „A to on ma żonę? I kto to zrobił, kto? Ja. Paulina. Głupi jak każdy inny. Pies. Nienawidzę ich wszystkich, nienawidzę tych kurew, chujów. Ich spodni,

bluz, papierosów, śmiechu, jak to dobrze, że są tacy głupi. Pysznił się, umawiał z następną, a nawet próbował to ukrywać, i to przede mną? Czy przed Arturem, który chyba jeszcze lepiej wie, o co tu chodzi? Zresztą, muszę powiedzieć, Piotrek, że ciebie też czeka wspaniała przyszłość. Spotkania, okazje, wyrobisz się. Już my cię tu wyedukujemy.”

I Piotrek się edukował. Spotkania z kolejną dziewczyną po Paulinie stawały się częstsze, intensywniejsze i coraz bardziej go od niej uzależniały. Częste imprezy firmowe zbliżały go do niej, wkładały w nowe koleje uczuć, aż w końcu musiał się przyznać sam przed sobą, że się zakochał. Zastanawiał się chwilę, czy warto, tak na chłodno, ale skok właściwie już trwał. Gdy jego nowa miłość znikła na chwilę z powodu urlopu czy firmowego wyjazdu, wiedział, że już nie ma jak wracać. Leciał bez wytchnienia.

Kolejne imprezy firmowe co prawda nie przynosiły pocieszenia Paulinie, ale czy nie zabroniła sobie być nieszczęśliwą? Zresztą, czy miała na to czas? Nawet obserwowanie miłości, która mogła należeć do niej, było zajęciem pełnoetatowym, choć i tak starała się podchodzić do tego na lekko.

Wchodzenie do łazienki tuż po tamtej, wachanie tego, co po niej zostało, perfum, wszystkiego, próby zdobycia jej przyjaźni, spojrzenia na niego i czekanie, aż powie te kilka słów na jej temat, obserwowanie, jak reaguje na jej maile, jego urywanie się przed kolegami z pracy dla niej na papierosa, jego pijane szczęście - wszystko było ciekawe, ale nic ponadto. Wolny rynek. Barakuda. Siedziała sobie nad brzegiem rzeki Piedry, patrzyła raz na niego, raz na te płyny bezmyślnie i czekała, aż trafi się jakiś posiłek. Może w końcu Artur się skusi albo jakiś nowo zatrudniony zwalisty gość, których tak lubi, może nawet głupszy niż Piotruś?

Ale wokół Pauliny panowała cisza. Robiła swym wygimnastykowanym ciałem skłon na swym obrotowym krześle przy oknie, nachylała piersi nawet do księgowych z dołu i już w połowie wiedziała, że może nie kończyć. Artur wyszukiwał dziewczyny wprost z sieci, Piotrek patrzył na korytarz, gdzie elektryzowały go już właściwie wszystkie kobiety, Szczerba siedzący tuż za nią był idiotą, a Jędrzej, choć rozumiał wszystko, patrzył na to z pobłażaniem starca. Dzinsy opinały jej tyłek, wczoraj naprawdę namęczyła się w „Gymnasionie”, a mimo to jej nie było. Paulina, gdzie jesteś?

Gdy spotkali się po raz kolejny towarzysko na firmowych mikołajkach, czuła, że siedzi z nią tylko dlatego, że jeszcze nie przyszła tamta, a mimo to... A mimo to pozwoliła sobie na coś, co w domu nappełniło ją odrazą do samej siebie. Mówiła mu coś o raku, i że ją szyja boli, lekarz jeszcze nie dał wyników. Kompromitacja, jak sobie potem wymawiała, wkluwając w rękę nożyczki aż do prawdziwego bólu. A gówniarz pozwolił sobie jeszcze na jakieś uwagi o miłości, że leczy i że powinna się rozejrzeć.

- Nie ma z kim, nie ma z kim – odpowiadała, choć przecież patrzyła na całkiem przyzwoite grono jeleni i mimo to odmawiała. Dlaczego?

Koleżeńskie spotkania klubu złamanych serc stale zamieniły się w takie trochę pijalnie wina, kieliszki same się przechylały, a raz nawet wszyscy byli bliscy urządzenia sobie (jakby tu nazwać na stare?) orgii (te nasze pijane ciała są tak miłe). Rano znów wszystko wracało do normy. Herbata, sałatka, gmail, fejs i na miasto. Na miasto. Jak to dobrze, że można wyjść z domu, na mieście jest tyle rzeczy do załatwienia. Stos imion krzyżujących się w ważnych sprawach, które potrzebują jeszcze jednego.

Ale wszystkie jej słowa chciały powiedzieć coś innego. Ciało, usta, każda jej część pragnęła czegoś zupełnie przeciwnego, niż dostawała. Tylko jak? I co to znaczy? Czy można inaczej? Ludzie dostają na wejściu do życia jakiś swój osobisty kamień szlachetny do ręki i albo go komuś oddadzą, albo, próbując skryć na wypadek zguby, gubią jeszcze przy wkładaniu do kieszeni. A trzeba go nosić przed sobą, jak monstrancję. Potem kopią w ziemi, żeby go odnaleźć, tym samym szpadlem, którym wcześniej postanowili pomóc sobie zejść z jej powierzchni. Żeby tylko mieć to świecące coś, które oświetli ciemności mojej pieczary. Czy ona miała jeszcze taki kamień, żeby mu go dać? Czy nie zgubiła, gdy tylko poczuła, że trzyma go w rękach? Czy nie upadł jej prosto w samo gówno ulicy? Ale zresztą, czy ten gówniarz by go nie osrał, nie zgubił, wsioch? Czy to nie byłoby dla niego za dużo?

Tworzy teraz alternatywną przestrzeń Warszawy. Spotyka się, coraz częściej gubi formy towarzyskie, ale to już z dobrze dobranymi znajomymi i nie więcej niż w kilka osób. Nikt się nie domyśla, ale te spotkania mają nawet swoją renomę. Gotuje też prawie zawodowo dla coraz większych grup ludzi, bo „cooking well is a good way for honorable woman to get and keep her admirers”, jak napisała na fejsie. Raz nam nawet w gościach powiedziała, gdy mądrzyliśmy się we trzech: „Co wy wiecie o gotowaniu?”, a mówiła to tak, jakby przeżyła cały świat, jakby już wiedziała, że wszystko co się zrobiło, się psuje.

# ZDECYDOWANIE NIE POWINIEN SIĘ MODLIĆ

„Pan Bóg by chciał, żebym ja miał dziewczynę. Pan Bóg mnie prowadzi do najlepszego rozwiązania, wierzę, że jak się jest z Panem Bogiem, to Bóg jest łaskawy. Muszę szukać, ta dziewczyna to jest próba i ja muszę ją zaakceptować. Dzisiaj idę do kościoła, będę się modlił, za nią, za siebie, żeby znalazła kogo innego, żeby się ode mnie odczepiła.” - Coś w ten deseń. Tak myślał Bartek, gdy nie musiał do niej mówić.

Spotkali się przy śniadaniu. Ona była umyta, pachnąca, jak z romantycznych filmów. Mokre włosy, widać nogi, szlafrok biały frotte, najlepsza jakość, przewiązana w pasie, co jakiś czas podrzucała czarne włosy, że niby nie. Z pewnością wzorowała się na tych filmach. Frotte było tak białe, tak miłe, tak głębokie, tak ściśle otulała nim swoje bielutkie, apetyczne piersi, że skojarzenie z filmem było i banalne, i prawdziwe. Na filmach tak jest. Kawa wieczorem, kawa rano. Jej czarne włosy rozrzucone lśnącymi, mokrymi pasmami na tym szlafroku przypominały też, że jest w niej jeszcze coś takiego jak twarz, taka już niestety bardziej stara, jakby człowiek patrzył na usypane kartofle gdzieś w piwnicy u dziadka, i wszystko, co się z twarzą wiąże - jakieś braki, potrzeby, uczucia, ciepło, wszystkie przykrości.

Bartek za to, w przeciwieństwie do szlafroka, nie wiedział, jak się stawić na to śniadanie. Na zmianę oddawał siebie i ją Bogu, a potem myślał o niej z krowiąstą niechęcią, właściwie wyliczał sobie w zapętleniu, co mu źle zrobiła, i zastanawiał się, jak ma na tym całym śniadaniu wystąpić. W końcu odważnie założył spodnie bez gaci, koszulkę i nie założył skarpet. Jakby co, jego bosa stopy mogła sobie wziąć za film. Gdyby tylko chciała. „Zresztą, to już nieważne, co ona sobie pomyśli, ja nie chcę w tym brać udziału, po śniadaniu wychodzę.”

Gdy obudził się rano, sprawdził, czy Eliza leży obok, podważając tylko powiekę, po czym, gdy okazało się, że nie, otworzył oczy i chwilę jeszcze leżał bez ruchu, przygnieciony tym, że dalej tu jest i zaraz ją usłyszy. To, że była dalej w mieszkaniu, że właściwie on tu był, że ona go tu zaprosiła, sprawiało mu kłopot i najchętniej, gdyby miał może trochę woli, wzięłby wszystkie swoje ciuchy tak jak się przenosi je przez rzekę, zawinięte w koszulę na przykład, żeby nic nie upadło, się nie pomoczyło, żeby niczego w tym mieszkaniu nie dotknęło i nago nawet wyszedłby zamieszkać na klatce schodowej na te kilka minut potrzebnych do ubrania. Ale niestety. Pomylił się i poszedł do łazienki.

Ranne mgły i przestrzeń za oknem, wielkie miasto, szумы słyszane z piątego piętra, wszystko to sprzyjało zgodnemu milczeniu. Minął ją, przechodząc do łazienki. Spojrzał w lewo i tak już wszystko było przegrane. Pan Bóg znowu zrobił to, co zrobił, i w zasadzie nie zostawało nic innego, jak się przyłączyć do niego i nie chcieć tej dziewczyny, więc najpierw oczy sunęły nieco po ścianie, listwie, a potem otworzyła się perspektywa kuchni i Eliza nachylająca się nad deską i rozstawionymi na całym stole rzeczami na jedzenie. Uśmiechnęła się do niego bardzo czule.

Oszło mi to. Już jej nie chcesz, wiesz, że jest głupia, że zaraz cię wpierdoli na jakąś minę. Nastawiasz się od rana, idziesz tam, przez wszystkie listwy, przez całe glazurowane mieszkanie, w lekkim przykurczu, właściwym tylko sobie, i nagle bum. Uśmiech. Taki, kurczę, nie wiem, że tylko wzniesić ręce, by unieść tę miejską podniosłość, by cieszyli się nią wszyscy i nasz Stwórca. „Czego ona ode mnie chce?” - myślał Bartek. - „Pan Bóg by chciał, żebym uśmiechnął się serdecznie, zrobił lekki dyg i poszedł dalej. Oczka zaropiałe, koszulka zmietoszona, no i gołe ciało, gołe ciało. Czuję się wystawiony, ale pod osłoną Boga, ha!”

- Bartku, chodź, zapraszam cię na śniadanie.

- Dobrze Elizo, mhmmm, super.

Słowa wypadły przypadkiem. Na pewno nie te, co powinny. Uronił je i był na siebie zły. Jak można z jednej strony mieć niechęć do człowieka, z drugiej tak mu się poddawać? Powinienem powiedzieć: „Zaraz”, ewentualnie, by to trochę osłodzić: „Zaraz, wiesz”. „No ale powiedziałem inaczej i jeszcze, kurczę, spoko. To się naprawi. O tak”.

Postanowił na nowo ustawić sytuację. Usiadł do śniadania, rozpostarł nad stołem i spytał w tym samym momencie, gdy wyciągał nóż po masło:

- Jak ci się spało?

- Dobrze, trochę nad ranem niespokojnie, ale dobrze, a tobie?

- Dobrze.

Eliza była zadowolona z początku rozmowy. Patrzyła na jego ręce, twarz znojn timerze przezuwającą chleb, zmieszany, mętny wzrok i nie wiedziała, czy jeszcze o coś spyta, czy teraz jej kolej. Sprawdziła następną chwilę, ale że było cicho i potem jeszcze też, to w końcu, próbując przełamać poranną wrogość, nabrała powietrza w usta, poczekała, aż nabierze ono właściwej temperatury i wypuściła z dźwiękiem:

- Już ci przeszło?

- Co mi miało przejść?

- No jak to co?

- A tobie?

Śniadanie nabierało tempa. Rozchodził się dżem, masło, tosty nawet, potem rozmrożony pasztet, który dostała od mamy z Kalisza, i ogórki kiszzone kupione wczoraj w sklepie. Ale temat wracał. Pan Bóg, którego Bartek ukochał i się na nim nie zawiódł, nie chciał doradzić, co zrobić i jak to dalej rozwiązywać. Więc Bartek, jak to miał w zwyczaju, się poddał. Jadł i pokładał nadzieję w Panu, że wszystko samo się jakoś ułoży. Eliza znowu nie miała specjalnie klucza, jak sobie z nim poradzić, mogłaby by go przecież zadźgać jednym ruchem widelca dosłownie, jakimś celnym sztychem w płucho, cynaderki czy tam coś, ale chciała inaczej, chciała, żeby był tu jeszcze trochę. I dlatego musiała brać w tym udział.

Poznali się na „Gumtree” i w zasadzie potrzebowali tego samego. Bartek po prostu napisał, kim jest, i że chciałby się dowiedzieć, czy po trzydziestce człowiek staje się mniej wrażliwy. Było to dojrzałe z jego strony. Nęcił na zimno. Wiedział, gdzie i co napisać, jak długo czekać i że na pewno coś się wokół tego zakręci. Przyszła z tego Eliza, Marta i Julka. Martę i Julkę odłożył na później – nie pasowały mu. Jedna wyglądem, była gruba, młoda i po amerykańsku zaczesywała ciemne włosy za uszy, nic pociągającego, korporacyjny narybek tylko, chyba że schudnie i zbiednieje. Druga była miła, zbyt jednak delikatna, młodociana nawet i ta jej lekkość prowadzenia mu nie pasowała, choć może miałby na nią ochotę. Założył na nią osobny katalog i zbierał tam wiadomości, które sobie przesłali, to potem, jeśli nie wyjdzie z Elizą, może się przydać.

Eliza była pierwsza. Imponowała mu swoją dojrzałością, tym, że prowadzi firmę zajmującą się wystrojem wnętrz i że już ma już swoje trzydzieści siedem lat. Bartek lubił takie kobiety, mówiąc wprost: zmierzał w stronę własnej matki. Co do Elizy - jej dawno zabliznione rany zaczęły swędzieć, potrzebowała zmiany i też szukała. Prawie dorosły syn zaczął się z nią regularnie kłócić. Czują, że wymyślone po rozwodzie życie zaraz może się rozlecieć, brakowało jej po prostu siły, a uwagi syna, że zaraz umrze, jest sama i to dlatego, że jest głupią cipą, były dla niej już nie tyle naiwne jak wcześniej, ale powoli prawdziwie tłumiły jej chęć do życia. Siadała sobie wtedy po takiej kłótni na tapczanie, kładła nogi w zygzak jak Elżbieta Jaworowicz ze „Sprawy dla reportera” i patrzyła w okno. Niechby tu przynajmniej wszedł i mu przypierdolił, minimalnie tego oczekiwała od swojej przyszłej internetowej sympatii.

Gdy zobaczyła Bartka w piątek pod Rotundą, rozpoznała go od razu spośród wszystkich czekających mężczyzn. Sympatyczna, okrągła twarz, przypominająca pięknem, gładkością, niepodatnością na czas i w końcu brakiem głębi otoczek z nadmorskiej plaży czy może wymyty kartofel. Blond włosy, okulary, wszystko tak, jak pamiętała. I zrobiła to, co od razu skazuje długą nawet znajomość na udawanie i nieszczerłość. Na moment odwróciła wzrok, by potem obejść Rotundę i dopiero przy drugim spojrzeniu, powiedzieć:



- Bartek, tak?

Bartek z olbrzymią radością człowieka każdego dnia rodzącego się na nowo, przywitał ją swoim:

- Cześć, witaj, ładnie wyglądasz.

O nie! Nie zauważył jej wcześniej! Była zdumiona. Jak mógł jej nie poznać, choć ona poznała go od razu i to kilka minut wcześniej? Na początku w to nie wierzyła. Pytała jeszcze testując

- Długo czekasz?

- Jakąś chwilę, a ty?

Jego bardziej niż dziecięce odpowiedzi były w tej chwili dla niej zaskakujące i nie wiedziała, jak sobie go ułożyć. Szła tutaj, wiedząc oczywiście, z kim się spotka, ale żeby aż tak? Nie pozbyła się tego wrażenia długo, a właściwie do tej pory. Bartek znowu nawet tego nie zauważył. Gdy ona wypinała piersi, tyłek, pytała, czemu jest taki wrażliwy, szukała jego cwaniactwa, gry, „żeby mnie jakoś zagiął, żeby pokazał, że umiemy ze sobą pogadać jak równy z równym”, to Bartek chciał się kochać, dostawał to, no i „kochanie, chcę się przytulać”.

Zaczęli wieczorem. Był piątek. Jej syn wyjechał do ojca. Ona miała wolne na cały weekend, wolną chatę i tym razem wszystko musiało się spełnić. Wszystkie poprzednie ucinane spekulacje. Tam jeszcze gadała z takim Januszem, też na czacie, ale to się rozeszło i został jej tylko Bartek. Po zwyczajowej wymianie zdań w warszawskiej winiarni (stawiała), dwóch butelkach wina, które uczyniły z nich kolejno przyjaciół, a potem tylko dobrych przyjaciół, choć mogli być kochankami, bo Bartek nie wiedział, jak zabrać się do amorów, wzruszyła się, wciągała łzy do nosa, poszła do autobusu, a szczerze mówiąc, była zawiedziona i ten smutek chciała donieść aż do domu.

„Z tego może być ruchanko” - tchnięty tą samą myślą, stojący na przystanku Bartek i gapiący się na znikającą w drzwiach autobusu Elizę, poddał się impulsowi i wsiadł razem z nią. W ostatniej chwili. Przecież Pan Bóg...

Bardzo ich ucieszył ten romantyczny, wspaniały, wymarzony i cudowny akcent. To znak. Pojechali do niej i zaczęli. Kochali się miło, fajnie, uczucie trochę jak u przypadkowych gości na nieudanej premierze. Z tematem głównym nie mieli nic wspólnego, ale bufet był za darmo. I wtedy rano Bartek powiedział:

- Wiesz, Eliza, takie mam marzenie...

- Mhm?

- Mówiłaś, że jesteś sama, że już nie czujesz siebie...

- ?

- Ja chcę mieć choć jeden w życiu normalny, rodzinny dzień.

- Tak, Bartku. – Rozmarzona Eliza przyłożyła bardziej głowę do poduszki i spojrzała na niego uważnie

- Żebyśmy udawali rodzinę dzisiaj.

- ...

- Wiesz, że zrobimy zakupy, pójdziemy do sklepu, zrobimy kolację. Nawet sobie usiądziemy przed telewizorem.

- Super, zrobmy to, będę mogła ci coś ugotować! –

- Dobra – Głos Bartka nabrał głębszej barwy i czuć w nim było śmiałość i bezpretensjonalną ochotę do zabawy.

- To ty będziesz moją żoną, prawdziwą. A ja twoim mężem.

- OK. Hmm. Czemu nie?

Gdy dzień później siadali do śniadania, cały eksperyment był już za nimi i nie przyniósł dobrych rezultatów. Siedzieli, siedzieli i z każdą chwilą robiło im się ciężiej. Ciężkość przekraczała sama siebie i przechodzenie jej przez kolejne swoje warstwy było i energetyczne i krępujące zarazem. Zapadali się w siebie, nie pozbywając niestety ciężaru. Starali się też ograniczać ruchy. Każdy żywszy ruch to przecież znak dla strony przeciwnej, że żyję, że można czegoś ode mnie chcieć. Eliza już nie chciała, żeby Bartek chciał od niej dobrej żony, Bartek nie chciał jej „zorganizowania, kotku”. Oczywiście możliwe było jakieś przełamanie tego wszystkiego przy tej rozmowie, ale czy to się wydarzy?

- Wiesz, co mnie, Bartek, wkurwiło?

Co jej odpowiedzieć? Czego ona znowu ode mnie chce?

- Nie.

- Że nie dajesz mi wolności?

O kurwa. Ona pytała. Naprawdę pytała. Mam cię w dupie, pytaj.

- Ale przecież na wszystko się zgadzałaś.

- Ale nie dałaś mi wybierać.

- No jak to? To było powiedzieć.

- Ale co ci miałam mówić? Że dla mnie romantyczna kolacja to nie są parówki?

- Ale powiedziałaś to?

- Co miałam ci mówić?

- O parówkach, że nie chcesz. Ja lubię i chciałem.

Wrodzona łagodność pozwalała mu szybko wracać do swojej krainy, na łąkę, gdzie znów mógł cieszyć się niezmaconym spokojem śniadania. Ale oprawianie, jak sam to odczuwał, jeszcze się nie skończyło. Dla niej to było już za dużo. Zaczęła jeszcze raz, ale im bardziej była poważna, tym bardziej kurczyła się w sobie i miała samej sobie za złe, że mówi.

- A tak samo samochód. Musiałeś go obetrzeć? Zresztą wszystko. Tak samo to, że stałam jak jakaś wariatka przy kasie do „Tesco” dwie godziny. Dlaczego do „Tesco”? A potem co? Potem, żeś nawet nie zaczął robić tych parówek. I ty chcesz ze mną związku? Bartku, wybacz. – Machnęła lekko grzywką, zrobiła oczy i położyła na stole dłoń, którą wcześniej gestykulowała. Zadziałało. Bartek słuchał. Faktycznie czuł się, jakby go raziła prądem, paralizatorem, który powoli zawęzał krąg jego myśli.

- To było powiedzieć. - Bronił się jeszcze. Jeszcze nie wszystko było stracone. - Zresztą, a te twoje kwiaty, które miałem ci kupić? Fiołki, których żeśmy szukali dwie godziny. I musiały być fiołki?

- Bo co, bo chciałam kwiaty do kolacji? Bartek, proszę cię.

Chciała zapłakać, ale akurat nie mogła, to nie był ten moment. Doskonale zdawała sobie sprawę, kto siedzi przed nią. Nie chciała nic mu wywlekać, snuć, mogła go tylko pograżać, coś o bezrobociu, trzydziestce, że skaut. Celniej po prostu. Ale paraliżowała, paraliżowała. Bartek nawet się nie domyślał, że prowadzony jest na ubój. Trzeba przyznać, że droga mogła być długa.

Wczorajsza sobota należała do nieudanych. Zaczęli ją od miłej decyzji i gdy tylko wsiedli do samochodu, zaczęły się schody. Na początku śmieli się z rozbieżności charakterów, ale potem raziło już wszystko. Każda jedna rzecz była młotem rozkołyszonym w powietrzu, który mógł uderzyć z ogromną siłą, gdyby tylko się nieco zapomnieć i odsłonić. Eliza z powodu wyższego wzrostu powiedzmy, miała lepszy obraz wczorajszej sytuacji. Bartek po prostu czuł, że Bóg – jak to sobie rano przypomniał w łóżku – jeszcze raz wystawił go na próbę.

- Tobie się wydaje, że możesz przyjść i mi powiedzieć, że nam dobrze razem i że będzie dobrze. A tak naprawdę niczego, niczego ze mną nie konsultowałeś. Cały ten dzień chodziłam za tobą i zgadzałam się na wszystko: „tak, Bartku”. A ty co? Mam romantyczną kolację z parówkami, które sama robię, co?

No i to Bartka zdenerwowało. Wziął talerz i rzucił w ścianę. Niestety nie rozbił się, ale Bartka to zadowoliło. To był ruch! Dyszał lekko, jakby się z kimś bił, i oczekiwał równej, sprawiedliwej odpowiedzi. Ale spotkał się z odpowiedzią o gatunek wyżej, jakby innego stworzenia.

- I co, i tobie się wydaje, że kim ty jesteś? Że możesz walnąć talerzem, a nie możesz się dogadać z pierwszą lepszą kobietą z czatu? Zresztą nawet się nie rozbił. Wynoś się.

Bartek podszedł do talerza. Źle mu było, że musiał go tak po prostu złapać i pobrudzić się jajecznicą. Ale miał cel. Podniósł go i jeszcze raz z całej siły trzasnął o podłogę. Talerz, zrobiony z nowoczesnego, hartowanego szkła, nie rozbił się. Eliza powiedziała:

- Bo wiesz, Bartek, ja myślę, że ty jesteś po prostu mały, słaby gnojek, który chciałby mieć kobietę, która by go kochała, ale nigdy jej nie będziesz miał, bo nic nie potrafisz. - Spojrzał na nią - Tak, nawet w łóżku.

Bartek kopnął talerz, który poleciał pod drzwi i tam się zatrzymał. Pomyślał, że gdy będzie wychodził, minie go jeszcze raz, i że nie potrafił nawet rozbić talerza. Mógł teraz podejść i uderzyć ją w głowę, spoliczkować czy coś, ale przecież to była randka i jego wina, że tak trafił, że Bóg polecił mu nienormalną? Jakąś walniętą babę? Jego funkcje życiowe powoli zamierały, patrzył sobie przed nogi, bose jak z filmu, i przestał kalkulować. Nie obchodziło go, co ona więcej powie, nie obchodziło go, co tu się jeszcze wydarzy. Słuchał oczywiście, ale nie reagował.

- Po co ty w ogóle wyszedłeś z domu? No i co mi, co mi opowiadasz, że cierpisz, że już nie chcesz? Sypiasz z każdą, która podejdzie pod tę budkę, a głupie pizdy, ja jestem taka sama, leżą w to i się nacinają.

Gdy zrobiła dłuższą pauzę, wszedł jej w słowo, swoim ulubionym: „dobra”, które mogło znaczyć wszystko i przestał o niej, o tym mieszkaniu i o ostatnich dwóch dniach myśleć. Zniknęli.

Bartek był już po uboju. Wszedł w jakiś lekki stan nie odrzucenia, nie bólu, ale uniesienia właśnie. To, co działo się w nim, nie miało już nic z niechęci, zemsty, jakiegokolwiek ukierunkowania na swoją wczorajszą sympatię i tę babkę z czatu, którą poznał dwa tygodnie wcześniej. Cieszył się ostrością ruchów karateki, jakiegoś bardzo uważnego człowieka, który powypadkowo musi zdobyć się na bardzo skupione zachowanie. Poszedł do pokoju po resztę ubrania. Zdjął spodnie, wszystko w zgiełku słów Elizy.

- A co ty się ubierasz? I że co? Zostawisz mnie tu samą? Myślisz, że tak możesz? Dlaczego... Wypierdalaj.

Założył spodnie, modlił się i coraz bardziej czuł się umysłem oświeconym. „Pan Bóg karze mnie, ja to rozumiem, ale ja się cieszę, że Pan Bóg mnie karze, Pan Bóg mi pokazuje drogę, że cierpienie jest dobre, że z cierpienia wynikają dobre rzeczy.” Powoli naciągał jedną skarpetę. Myślał o Hiobie i że się czegoś uczy teraz. Radość świętego obracającego się na

ruszcie. Założył drugą skarpetę. Ochronił się przed spadającym talerzem i nie słyszał płaczu, który zaczął dobiegać z pokoju syna, dokąd potem uciekła Eliza.

Po pierwszym szoku powoli wracała pamięć i kontrola nad sytuacją. Pomyślał, że źle zrobił, zostawiając wszystkie swoje ciuchy rozrzucone po mieszkaniu, bo będzie musiał chodzić i to zbierać. Całe szczęście, Eliza płakała i mu nie przeszkadzała. „Szczoteczka, miałem szczotkę kurcze. Książka w pokoju, okulary słoneczne, gdzie one są? A, na balkonie.” Bał się, że balkon ją rozbudzi, że kiedy usłyszy, jak on wychodzi na balkon, to się znowu wkurzy. Ale całe szczęście nie. „Balkon jest. A teraz buty. Muszę zmienić buty. Buty.” Założył je i podniósł wzrok w kierunku jej pokoju, zatrzymał się na chwilę i jednak darował sobie pożegnanie. Wyszedł.

Przez drzwi słychać jeszcze było jej spazm, ale mimo wszystko poczekał na windę (nie lubił schodzić) i spokojnie oddał się gapieniu na guziki.

Gdy wyszedł z klatki bloku, był już innym człowiekiem. Wiosenne, kwietniowe słońce późnego poranka uderzyło w niego ścianą alarmów. To trzeba zrobić, to trzeba zrobić. Czuł w sobie moc. Nie było to śmieszne. Kobiety, które go mijaly, którym rzucał nawet nie wyzywające, ale zwykłe, oceniające spojrzenia, były nim zaciekawione, mężczyźni widzieli zawodnika, którego nie powinni lekceważyć, a Bartek porządkował sobie plan tygodnia.

Gdy dotarł do domu, nikogo nie zastał. Matka wyjechała na działkę, brat poszedł do baru. Otworzył lodówkę, zjadł trochę chałki ze śmietaną („No i co ona się będzie ze mnie śmiać, że jem parówki?!”), a potem poszedł do kościoła. Modlił się żarliwie. „Panie Boże, nie możesz już tak robić. Panie Boże, odsuń to ode mnie. Dlaczego na to pozwalasz? Chcę mieć normalną rodzinę. Dlaczego wystawiasz mnie na takie próby? Panie Boże, zrobię to, czego żądasz. Daj mi jakiś znak, co mam robić. Daj mi znak.” Nie przyjął komunii, ale to raczej impuls, i w skupieniu klęczał, dłużej niż inni na posadzce, aż kolana bolały naprawdę.

W domu otworzył komputer i wtedy spłynął na niego smutek. W portalach było to samo, co zawsze, zabicie Nigeryjczyka, jak umeblować kuchnię schaby-chic i że mężczyźni zdradzają częściej niż kobiety. Był sam, taka okazja nie zdarzała się często. Rozpiął rozporek, przyniósł sobie papier toaletowy z łazienki i włączył z powrotem komputer. Potem na krótko zasnął. Wieczorem obudziła go matka.

Myślał jeszcze o Elizie. Jej piersi, jej szlafrok, no może szlafrok nie, ale to już było takie stare, oczywiście miała jakieś poczucie humoru, nawet dystans do siebie, to, jak się z siebie śmiała, tylko te wybuchy, musiała być długo sama, próbowała się otworzyć, no, próbowała. „Jezu, ile to już ich było, cipka taka, cipka taka, twarz gruba, twarz chuda. Każda taka wyjąca, rozdziawiona i płaczliwa –zawsze te same łzy, ja już nie chcę. „Panie Boże, musisz mnie

pokierować.” Skasował wszystkie sms-y od niej, poszedł na balkon zapalić i otworzył jeszcze raz komputer, szukając katalogu z Martą.

Czytał maila po mailu, potem obejrzał jej zdjęcia. Była zupełnie inna, jej uśmiech, jaki ona miała uśmiech, jej blond włosy, wyglądała jak aniołek, jej piersi, które wystawały spod koszulki, prosiły o zerwanie.

Jeszcze wieczorem czekał na nią pod Rotundą. I znowu się modlił.

- Bartek, tak?

Przerwał modlitwę i odruchowo powiedział, uśmiechając się pięknie:

- Cześć, witaj, ładnie wyglądasz.

# UKRADZONE NAZWISKO

Od zawsze czuję się większy niż jestem. Kiedy żebracy proszą mnie o pieniądze, mówię zawsze: „dziękuję za uwagę”, kłaniam się i z ogromną uczciwością osobistą idę dalej. Rzecz jednak nie w uczciwości czy kłopotach ze znalezieniem własnego głosu, ale w tym, że niektóre bardzo osobiste i wewnętrzne rzeczy są jeszcze wyższe ode mnie. Na przykład taki sobowtór, którego mam od niedawna, każde moje poczucie osobności i odrębności podważa, sprawiając, że wszystko wokół nabiera, określając to nieco żartobliwie, podwójnego sensu.

Przez długi czas myślałem, że jestem tu, tak jak wszyscy, sam. Wielokrotnie sprawdzałem swoje nazwisko w internecie, ale nie znalazłem nikogo takiego, kto by je dublował wraz z imieniem. Nasza rodzina jest mała, wszyscy się znają, tu nie ma miejsca na nowości. Jednak ktoś taki się znalazł, przyszedł do mnie sam i nie było to miłe przeżycie. Znaczenie tego faktu odkryłem dopiero kilka lat później i sam nie wiem, czy ta przygoda się już skończyła. Cóż. Warto spisać ją przynajmniej dotąd, dokąd się wydarzyła.

Jest lutowy ranek 2004 roku, zima z tych łagodniejszych, środek miasta, nie jest dotkliwie, ale nie jest też zwyczajnie. Jest nieprzyjemnie. Na rękach mam krosty broczące krwią, które mnie strasznie swędzą, zgubiłem też rękawice alpinistyczne, których używałem do jazdy na rowerze w tak zimne dni i teraz spocony, z plecami, na które, mam wrażenie, nałożyłem tylko mokrą torbę foliową, i z obierającymi rękoma wjeżdżam w arkady Pałacu Staszica.

Piszę doktorat. Naprawdę jednak jestem gdzieś w jakimś boku, szafie, meandrze życia, gdzie człowiek przyczaja się ze strachu i wydaje mu się, że ograniczony do tych najbliższych przestrzeni, które go i więżą, i otulają, przetrwa jakoś dalej.

Zdecydowanie nie chce mi się pisać tych rozmaitych naukowych wynurzeń, pieniądze i optymizm kończą mi się na ogół już dwudziestego każdego miesiąca, a jedyne, czego mi nie zbywa, to czas. Tyle że ten jest właśnie nieprzyjemny, nijaki i nie ten. Jak ta wilgotna zima.

Mijam szablony, które odbijałem kilka lat temu na ścianach Śródmieścia w hołdzie kochanym dziewczynom, wymioty po nocy spędzonej upojnie przez towarzyskich licealistów i na dziedzińcu pałacu przypinam rower. Białe światło korytarzy tego gmachu, oszczędność żarówek, zwykle cisza panująca na tych korytarzach. Wszystko to zubożalej wyobraźni przypomina szkolne lektury i pałace, które tam opisywali. Na przykład ten w Mykenach, gdzie można się zgubić i już nigdy nie znaleźć. Spiralne klatki schodowe, ślepe odnogi korytarzy, zawsze zamknięte drzwi różnych wysokości, skróty, tarasy, wydziały agronomii i literatury,

socjologii, filozofii i psychologii, sale, do których profesorowie na ogół się spóźniają, zniechęceni doktoranci, którzy poruszają klamkami i odchodzą, a na korytarzach dalej pali się puste światło. Jedynie czasem, raz na jakiś czas, gdy odbywają się seminaria, zza niektórych drzwi słychać rozpalone głosy młodych mężczyzn, tonujących dyskusje siwych panów i kobiety, które poświęciły swą młodość potworowi nauki.

I tu właśnie pojawia się pierwszy znak. Gdy wychodzę przed gmach na papierosa, mijam przypięty do ściany tuż przy wielkich brudnych, drewnianych drzwiach z kryształowymi szybami, plakat. Z czerni wyłania się afrykańska monochromatyczna maska, zaledwie pół profilu, z dziury po jednym oku widać to samo ciemne tło, które nadaje całości przykry i nie odróżniający się od atmosfery tego dnia i pałacu charakter. Plakat opatrzony jest prostym napisem „Sahara”, a na bordowej szarfie na dole napisane jest: „Tomasz Hebanowski Już w księgarniach”. Tomasz Hebanowski to moje imię i nazwisko.

Jestem zaskoczony. Kilka dni później dzwoni do mnie nieomal zapomniany kolega. Ktoś, z kim kilka lat temu miałem, jak to się mówi i nic nie rozumie, dobry kontakt - może z powodu młodości, może dlatego, że dziewczyna, która chodziła wokół mnie, dzieliła z nim mieszkanie. Potem się to skończyło, nie umiałem znaleźć radości w ściąganiu alternatywnych jazzbandów do Polski, upijaniu się do granic przytomności i przede wszystkim w zwyczajności, która kryła się za każdym dobrym kontaktem. Lubiłem jego włosy oraz konkretność, gdy je przeczesywał, ale moje ambicje były dużo wyższe i czułem, że muszę milczeć, aby ich nie zdradzić.

Głos w słuchawce zaczął entuzjastycznie:

- Słuchaj. Gratulacje!

- Ale dlaczego?

- Ej, no weź, już nie bądź taki skromny, napisałeś książkę.

Wiedziałem!

- Nie - próbowałem to jeszcze zatrzymać.

- Ale przecież widzę, że napisałeś, w internecie jest. Tomek, nie wiedziałem, że zacząłeś pisać. No, no. Wczoraj żeśmy zauważyli z Hanką i faktycznie, ty zawsze miałeś talent.

Jego uwaga mnie dotknęła. Oczywiście, że miałem. Ale poza kilkoma głupkowatymi felietonami w „Aktiwiście”, które potem zresztą kopiowali mądrzejsi ode mnie, dziękując mi za uwagę, nie miałem okazji zaprezentować go jakby szerzej. Z drugiej strony, czułem się okradziony przez tego drugiego Hebanowskiego, który teraz zawisł nade mną i przykrył moim własnym imieniem i nazwiskiem, tak, że już nigdy nie miałem się spod niego uwolnić. Teraz pozostało mi tylko przywdziać maskę i wytłumaczyć to wszystko Marcinowi, a potem innym,



którzy będą mówić to samo, że to nie ja, ale oczywiście bardzo dziękuję i że podobno, a nawet z pewnością - kłamstwo na potrzeby sytuacji - ten słynny afrykański pisarz to nasza rodzina.

Miałem nawet podstawy, żeby tak mówić. „Urodzony w 1935 r. we Włochach pod Warszawą. Ukończył studia na Wydziale Geodezji Politechniki Warszawskiej. W 1963 r. wyjechał z Polski, przez Paryż i Genewę dotarł do Afryki. Mieszkał w Botswanie, a następnie w RPA. Zadebiutował.” - data urodzin, Włochy - to wszystko cofało mnie do przeglądania dziadkowych papierów w szafie, a przede wszystkim pewnej wycieczki pociągiem, gdy miałem pięć, sześć lat, zaledwie dwóch stacji przestanych z babcią na pomoście, kiedy wzięła mnie na groby.

Znicze produkowała sama, kupowała gliniane skorupy, cięła sznurówki na części i wkładała w świeżą jeszcze stearynę. Owijała w gazetę, wkładała do poliestrowych tkanych toreb i tak jeździliśmy razem do okolicznych miasteczek, skąd pochodziła ta część mojej rodziny. Do Błonia, Ożarowa i, wtedy, raz, do Włoch. Do których zresztą już nigdy na cmentarz nie wróciliśmy. W papierach nie było o tej części rodziny nic, być może nawet nie była to nasza rodzina, a nawet nie były to Włochy? Może to była stacja wcześniej, może Piastów? Byłem wtedy mały. Mogło mi się pomylić, ale też jest mi wygodnie tak myśleć.

Wspomnień nie podważyło nawet to, że nazwisko Hebanowski w rodzinie pojawiło się dopiero w 1924 roku, kiedy pradziadka, wiejskiego parobka zaciągniętego siłą do wojska, koledzy namówili, aby zmienił sobie nazwisko dodając owski do Heban - na bardziej lepsze, na szlacheckie. Gdy jednak poszedł do urzędu, okazało się, że w Drugiej Rzeczypospolitej takiej możliwości nie ma, więc skoro już nie on, Stanisław, to jego syn, Henryk, dostał tę właśnie końcówkę.

Albiński. Podobno wielu ludzi tak robiło. Tyle, że to było w 1924 i te kilka lat dzielące jedne urodziny od drugich nie dawało żadnych możliwości, aby włochojscy Hebanowscy mieli coś wspólnego ze zbikowskimi Hebanami.

Legenda była jednak wiarygodna. Od zawsze pochodziłem z Pruszkowa, codziennie przejeżdżałem przez Włochy do Warszawy, ludzie kojarzyli mnie z tą stroną miasta, więc mogłem z tego swobodnie korzystać. Mówiłem tak wszystkim znajomym, którzy o to pytali. Gorzej było z ludźmi, którzy mnie nie kojarzyli.

Moje nazwisko zaczęło żyć samodzielnie, a nawet w oderwaniu ode mnie. Gdy napisałem esej, który spodobał się Rękowskiemu, szliśmy korytarzami Pałacu Staszica, powłócząc to jedną, to drugą nóżką i Rękowski, poza pytaniami do mnie, miał też dla mnie rady. Był tak jak ja z Pruszkowa, z 3 Maja, tam stał jego dom rodzinny i w charakterystyczny dla siebie sposób, ciekaw innych ludzi, pytał, skąd pochodzę. Nasze rodziny dzieliły przed laty

nie więcej niż trzy kilometry. Duchnice, wieś granicząca ze Żbikowem, przedmieścia przedmieść i ostatnia, najbardziej biedna, wtedy żydowska dzielnica Pruszkowa, Żbików. Gdy, zaciekawiony tym jeszcze bardziej, zaczął pytać o szczegóły, od jak dawna i skąd dokładnie jesteśmy, od kiedy i co tam robiliśmy, zbyłem go, bo ani nie umiałem więcej powiedzieć o swoim pochodzeniu, ani nie chciałem zaczynać o Hebanach, kłamstwach, kradzieżach. Chciałem się od tego odciąć. Wyczuł to chyba i przeszedł do konkretów.

- Ma pan dobry styl, to się może przydać w pracy socjologa, ale czy pan wie, że teraz z pana nazwiskiem jest taki pisarz, właśnie Tomasz Hebanowski i jeśli byśmy nawet dawali ten pański tekst do „Tekstów Drugich”, to radziłbym dodać do pańskiego nazwiska dla odróżnienia po Tomasz... Zaraz, ma pan jakieś drugie imię? No właśnie jakieś drugie imię i dopiero nazwisko. Tak się robi, na przykład - tu przypomniał jakąś zamierzchłą i nieistotną historię innych nazwisk z PRL-u, właśnie wydawanych wtedy: że mieli kłopoty, bo ich nie odróżniano, ale ja tak daleko nie potrafiłem marzyć.

Owszem, gdy chodziłem do biblioteki osiedlowej na Powstańców Śląskich, książki autorów o tych samych nazwiskach miały dodane na przykład literę A. po imieniu - na czerwono, z wyraźną kropką, nawet pomyliłem się ze dwa razy, przy jakich autorach? Już nie wiem. Zaskoczenie, że to nie to. Jakby pomylić napoje albo drzwi.

Hebanowski zaczął mnie interesować. Postanowiłem dowiedzieć się, co napisał, w pewnym sensie za mnie. Trzeba było tylko kupić tę książkę. Zresztą co jakiś czas konieczność lektury przypominała mi się samoistnie.

Gdy wszedłem do Stowarzyszenia Wernisaży „Widok”, próbując napisać tekst o swojej fascynującej koleżance, która akurat robiła wystawę „Gówno” i potrzebowałem dokumentacji na temat jej wcześniejszych prac, owszem obdarowano mnie bogatym plikiem CD, ale również, chwilę potem, gdy się przedstawiłem, perlistym śmiechem dziewczyny, którą pamiętałem jeszcze ze studiów magisterskich. Dziwiło mnie zresztą, że pracuje w tak szanownej instytucji, że jej się tak udało i trochę mnie to bolało.

Wiedziałem, że przed momentem właśnie przeczytała w Google’u, że „w swoich opowiadaniach Tomasz Hebanowski dzieli się swoim długoletnim afrykańskim doświadczeniem” i kilka innych zdań z wydawniczego blurba, a przed sobą miała dwudziestoparoletniego chłopaka, kolegę, którego z pewnością nie pamiętała ze swoich studiów, ze względu na pewne różnice w urodzie i ogólnym nastawieniu do ludzi.

Teraz myślę, właśnie przez pryzmat jej piękna, że w odpowiedzi na tamten jej śmiech, jedyne, czym mogę po latach odpowiedzieć to cytat z tego samego internetu, kilka stron dalej, wcale nie daleko od sztuki - coś w stylu Wolfa z jego szablonowymi, surowymi i agresywnymi

obrazami, tak to sobie trzeba wyobrażać, wielkie białe płótno z czarnymi literami na nim: „You can not imagine the immensity of the fuck I do not give you”. Ale wtedy wyszedłem zmieszany.

Ona nie odkryła kart i ilekroć spozrzała na mnie podczas tej wizyty, łagodny uśmiezek przechodził jej przez twarz. Czy opowiadała tą historię współpracownikom, kiedy wyszedłem z biura, potem znajomym i gdy dostała mój tekst? Z pewnością są to są tak zwane pytania retoryczne.

Na chwilę Hebanowski znikł. Zapomniałem kupić jego książki, a historia tkana przez moje życie pojawiała się i znikła według własnego wzoru. Recenzje, które napisałem z wystawy „Gówno”, pojawiły się w „Rzeczpospolitej” i „Wyborczej”, wtedy jeszcze mówiących jednym głosem, zresztą to w ogóle była dobra wystawa - Hania Sterowiec brała największe rzygi z forów internetowych i dawała je do czytania aktorom. Wyszło ekstatycznie. To takie nasze, rodzime. Choć w sumie negatywne i przykre, myślę teraz, no ale jak być dobrym, jeśli nie było się nawet złym? A Hebanowski tylko z rzadka wypełniał moje wolne leniwe i rozmarzone chwile, wyobrażałem go sobie wtedy jako kolegę po fachu, do którego mogłem zdobyć telefon i zadzwonić, mówiąc, że mam takie samo nazwisko i coś już opublikowałem. Czy to nie ciekawe z tym nazwiskiem?

Wpatrywałem się w takich momentach w jego zdjęcie znalezione w internecie, w swoje rysy w lustrze i szukałem podobieństw. Jego sześćdziesięcioletnia, dość młoda twarz, zupełnie nie jak twarze naszych emerytów, bez grama białego i żółtego tłuszczu na bokach, z elegancko przyciętą brodą i nieobecnym wyrazem oczu, nie dawała łatwego wglądu w siebie. Jej obrus doskonale zakrywał blat stołu, który krył się pod spodem. Wszędzie miała odpowiednią długość i z każdej strony wystawało jej jeszcze tyle na boki, byśmy widzieli tylko to, co autor chciał nam pokazać. Ogorzałego Afrykanera, który przywiózł stamtąd egzotyczne historie i mądrą obcość. „Intrygujące” - myślałem i płynnie przechodziłem do swojej twarzy. Czy ja zmierzałem w tę stronę? Policzki mieliśmy podobne.

Gdy w maju przyszedł mój ślub, święto Zosi i moje, właściwie zupełnie o nim zapomniałem. Dania na stole, goście, a przede wszystkim moja żona - to wszystko sprawiło, że sobowtór oddalił się, nie tylko jako mój problem, ale nawet jako lektura do odrobienia.

Toasty, mądrości, byliśmy z Zosią może nie bliscy sobie, ale młodzi i pełni jeszcze tej energii, za którą nie odpowiadamy osobiście, a która dana jest wszystkim ludziom w tym wieku, jak ślepe pieniądze do roztrwonienia. Może zakochani, może tylko radośni, ale było nam ze sobą dobrze. Wszystkie rzeczy z warszawskiej pamięci ulatniały się jedna po drugiej.

Wątpliwy doktorat, męki Pałacu Minotaura i szare godziny ścinane tęnym światłem żarówek. Gdy tuż po naszym weselu skończył się rok akademicki, po zdaniu do kilku profesorów kilku esejów, tekstów, jak tam się mówiło, zaczęliśmy myśleć o wakacjach.

Nie chciałem ich w ogóle odkładać. Bałem się, że moja żalność wróci i znów będę myślał o tym, jak bardzo nie umiem być naukowcem, jacy oni tam w tym pałacu są wielcy, mądrzy, ja zabałaganiony i jak bardzo nie mam pieniędzy, aby żyć, i jak bardzo moje życie jest już, w tak młodym wieku, stracone. Pojechaliśmy do Norwegii. Ale jeszcze chwilę wcześniej, tuż przed wyjazdem, zadzwonił telefon. Pętla się zaciskała. Telefon do mnie, ale tylko z nazwiska.

- Uomek, Uomek?

- Yes, hello.

- Kochany, tyle lat, ty wróciłeś - ze słabym angielskim akcentem, mówiła do telefonu starsza, serdeczna kobieta, która nie mogła zrozumieć, że dodzwoniła się pod zły numer.

- No nie. Chodzi o to...

- Ale dobrze! Tomek Hebanowski.

- Tak, ale nie ten.

- Jak to nie ten?

- No, to pomyłka

- ?

- Bo pani pewnie chodzi o Tomasza Hebanowskiego, tego pisarza

- Tak, a pan jest rodziną?

- No właśnie to pomyłka. - Tu już nie było miejsca na fantazje. - Nie.

- Jak to? - spytała, gdy tylko to do niej dotarło.

- No właśnie jest nas dwóch. - Stałem przy parapecie, wpatrując się w zieloną, deszczową dal, i wkręcałem palce w parapet, próbując znieść spokojnie tę sytuację, która jeszcze chwila, jeszcze momencik i zaraz się skończy.

- Aha! To pan ma na nazwisko też Tomasz Hebanowski

- Tak i też - wtedy doszło do największej porażki tego telefonu - piszę. - Przeszedłem do tłumaczenia się: - Ale nie jestem tym Tomaszem Hebanowskim. Może jego numer będą mieli w wydawnictwie.

- Aha. To dzwonić do wydawnictwa?

- No właśnie może.

- Nie wiedziałam, że wrócił.

- Ja też - odezwała się moja familiarność.

- Nie widzieliśmy się czterdzieści lat...

Kto to był? Dawna miłość mojego sobowtóra? Ktoś bliski? Czterdzieści lat to niezaprzeczalnie dużo czasu, a jednak dzwoniła. Kim dla niej byłem? Kolejną przeszkodą, kolejnym wybojem na drodze do jej celu. Jak się zmienili? Już pewnie Amerykanka albo Angielka, dystygowana w pewien sposób. - Tak, zadzwonię do wydawnictwa. No nic, dziękuję.

- Proszę, do widzenia.

Usiadłem przy biurku. Do listy książek, które trzeba zabrać w podróż poślubną, dopisałem jego nazwisko. Nazajutrz na podłogę zielonej corsy z tyłu, między kilkanaście butelek wina, które w Norwegii jest przecież bardzo drogie, gdzie już walali się „Bracia Karamazow” Dostojewskiego, coś o marketingu i „Ullises” Joyce’a, dołożyłem „Kalahari” Tomasza Hebanowskiego (niezłe towarzystwo, bracie) i ruszyliśmy.

Samochód jechał szybko - dopóki się nie zepsuł. Konieczność spędzenia nocy na podłodze warsztatu samochodowego gdzieś pod Ostródą, nocy w mieszkaniu znajomego w Gdańsku, potem przespany prom, przebukowanie biletów - nic nie było w stanie nas zatrzymać. Uciekaliśmy jak przed ręką wyciągniętą z ciemności, która w każdej chwili mogła nas zawrócić do Warszawy. Ale gdy ustawiliśmy się w długim sznurku samochodów wjeżdżających na pokład promu Gdynia - Karlskrona, z biletem tylko w jedną stronę i dodatkowymi pieniędzmi, które nam zwrócili za niewykorzystany bilet, już wiedzieliśmy, że zaczyna się nasz czas.

Widziana z wysokości Gdynia, ciepły i wilgotny czerwcowy wieczór, słońce nad stoczną, nawet biel metalu na promie, sprawiały, że było nam w środku może monotonnie, ale cicho i radośnie. Jak w miejscu, które znaleźliśmy na rufie z dala od ryczących Szwedów i Polaków rozlewających wódeczkę, gdzie ułożyliśmy się ze swoimi karimatami oraz śpiworami i, póki pozwalało słońce, graliśmy w szachy. Nieśpiesznie, wcale nie starając się wygrać, dając sobie dużo czasu na patrzeć w gotującą się wodę za silnikiem promu.

W Szwecji znowu zaczęliśmy obłąkańczy rajd samochodu, byle tylko przejechać norweską granicę. Kolejne noce - nad skalistym fiordem, na parkingu autostrady, gdzie dogonił mnie zmierzch - wszystko było nie takie. Wielkie niebo widziane z ich autostrad, jeszcze nigdy nie widzieliśmy takiego nieba, fabryki skrzętnie poukrywane po lasach, z rzadka przeświecające gładkimi powierzchniami blaszanych ścian, z rzadka zjazdy na campingi, nic nie było interesujące. I mieliśmy rację.

Norwegia, gdzieś w połowie swojej wysokości, przywitała nas absolutną ciszą, stojącą wodą, idealną powierzchnią dróg i czymś nieokreślenie bliskim, podobnym do nas samych. Otwartymi, pustymi przestrzeniami, które bezpiecznie wisiły w północnej części globusa.

Czasem mam taką myśl podróźniczą - asfalt. Że mógłbym się przytulać nawet do asfaltu. Tam było to powszechnie zrozumiałe. Ciche przecieranie się po płaskich powierzchniach, które ze wszystkim się łączą - ta droga z tamtą, i dalej. W cichym świecie otwartego nieba.

Czy o czymś rozmawialiśmy? Bardzo dużo rzeczy było dla nas niewidoczne. Może o szachach, może o pięknie gór, może o jakichś teoriach socjologicznych, że społeczeństwo jest takie i takie, miałem zresztą wdzięczny pomysł wtedy, aby napisać fabularne wprowadzenie do socjologii, i dalej uważam, że miało to sens, ale nigdy tego nie zrobiłem. Czy to się opłaca? Ewa opowiadała mi o swych zmaganiach stachanowca w lokalnym stowarzyszeniu. Nie wiedzieliśmy nic o sobie, poza tym, że w środku nas pali się nieco więcej niż zwykły materiał opałowy. Ale opowiedzieć o tym nie było jak. Szachy, wino, seks, ciepło. W tych zimnych przestrzeniach nie było potrzeba nic więcej.

Ich wodospady - można było usiąść na brzegu morza, zadrzeć głowę wysoko w górę i patrzeć, jak na dół spada woda, pociągając jednocześnie wino z butelki. Ich światło - paliło się właściwie cały czas. Dla kogo paliło się to światło? Marnotrawstwo ujawniające bezdusność świata. Jak można tak świecić, jak można ujawniać, pokazywać rzeczy, które do nikogo nie należą, porosty na drzewach, kamienie, drzewa, które niczemu nie służą, są po nic w ślepym północnym świetle? Do tego martwe góry wyniesione ponad morze. Wszechobecna wilgoć. Tam, gdzie kończy się logika, zaczyna się wojsko. Tam gdzie kończy się zamieszkały świat, zaczyna się martwa cisza.

Byliśmy tam. Wszystko było wszechpotężne i pozbawione znaczenia. Odnogi fiordów, perspektywy i ich brak. Drogi i ciche postoje, znalezione z trudem płaskie skrawki ziemi między kamienistymi wzgórzami, każdy dzień w zawieszeniu. Chleb i benzyna. Tylko dlatego jeszcze spotykaliśmy jakichś ludzi. Podjazdy na stacje benzynowe i z rzadka wizyty w sklepach, zawsze lęk o to, czy starczy nam pieniędzy na całość. Te miejsca powoli wypełniały nasze konto i dusze swoją własną pustką. Nie było trudno.

Codziennie wieczorem rozpalaliśmy ogniska i czytaliśmy. Gdy zaczynało padać szliśmy do namiotu. Tyle książek, wina. „Ulissesa” nie da się przeczytać na trzeźwo. „Bracia Karamazow” - nic z nich nie pamiętam, poza Zosimą i Aloszą, pieniędzmi z za pazuchy. Minęli jak tamta podróź. Książka o marketingu - mityczny wymiar marek, coś z Campbella, zdziwiła mnie, że jednak było w niej coś sensownego i że można na tym zarabiać. Dlaczego nie ukraść ludziom ich własnych mitów? Nie przynieść jak nowości? Czy nie o tym była ta książka? Po której stronie karabinu stanąć?

No i Hebanowski. O jego lekturze znów trzeba było mi przypominać. Wizyta w salce internetowej u stóp wielkiego płaskowyżu, z którego spadały setki wodospadów, w miasteczku, skrzyżowaniu czterech chałup przyniosła dziwną wiadomość.

- Wiesz, że mamy jakieś nowe 1700 złotych? Agora S.A., jakiś przelew.

- Ale jak to?

- Tomasz Hebanowski, honorarium.

- A coś jeszcze?

- Nie. Ty do nich coś pisałeś?

- Tak, ale już dostałem pieniądze.

- Hmm.

- Czekaj, wiem, co to może być.

- Jakaś pomyłka?

- Jest taki gość, Hebanowski, pisarz i może on coś dla nich pisał.

- Trzeba będzie oddać.

- Tak.

Spojrzałem smutno na Ewę, zawieszoną nad drugim ekranem. Obydwoje pomyśleliśmy o pieniądzach, które nam zostały.

Wieczorem wyciągnąłem jego książkę ze śmietnika w corsie i zacząłem czytać. Już z pierwszej strony biło słońce. Na oślep, bez opamiętania, wżynające się w każdy kawałek ciała, czuć było je aż tutaj. I miejsca. Takie same jak tu. Ja też byłem w podróży. Kalahari, Hardangervidda - co za różnica? Sterylna czystość północnej próżni i szary śmietnik przemielonej jeszcze przez pierwszych ludzi materii. Czy te końce nie były sobie bliskie?

Nastrój opowiadań udzielał mi się. Żar, odległości, pustka białego człowieka między Murzynami, zaledwie kandydatami na ludzi. Czułem się tak samo obco tutaj, gdzie prysznic na campingu kosztował tyle, ile u nas dobrej jakości radio. Radio! Wcale nie czułem się słabiej, ze względu na brak pieniędzy. Czułem się jak biały pośród Murzynów. Te porównania przychodziły same z siebie.

Ich przepiękne reklamy, nigdy nie zwracałem uwagi na ten akurat śmietnik. Ale tutaj była to sztuka. Reklama o zapinaniu pasów w Norwegii to były piękne czarno-białe zdjęcia tulących się do siebie ludzi, których ręce są jak pasy! W Polsce - stadium pośrednie przed Afryką, krzyczący strach. Tam, za równikiem, już nie było reklam, tylko, jak wynikało z jego opisów - kartony, blacha, kikuty martwych zwierząt. I pustka, tylko na odwrót.

Te same odległości. Obcość. Wilgoć i słońce, bieda i bogactwo. Byłem biedny, każda rzecz, kosztowała kilka razy tyle, ile powinna, i choćby dlatego ludzi stąd trudno było traktować jak równych sobie.

Tamten Hebanowski - zupełnie inaczej. Pan życia i śmierci, poddany ale tylko przez siebie wybranym rytmom pustyni i jakiemuś losowi, któremu sam mówił: „yes or no”. Jak wołał. I to właśnie mnie do niego zniechęciło. Był taki sam jak ja, a jednak wybrał inaczej. Był stary. Wybory miał już za sobą. Afryka wyżarła mu serce.

Dlaczego nikt tego nie zobaczył tego w Polsce? Przeglądałem się recenzjom tej książki i nikt nic takiego nie napisał, a nawet chyba nie odkrył? Nie sądzę, abym cokolwiek pominął, co pojawiło się o nim w sieci, dzisiaj wszystko trafia do sieci. Czemu nie było nic o tym, co tam było tam na każdej stronie? Niechęci do nas wszystkich? Małych i głównianych? Czytałem je przecież uważnie, przeglądałem się w końcu człowiekowi, który zabrał mi nazwisko. Czytali bez zrozumienia.

Wiedziałem już, uświadomił mi to Hebanowski, ja sam sobie, że moje zachwyty nad zbieżnością, moje poczucie wyższej niższości, upajanie się tym niedostawaniem, rozkochanie w garbie, który miałem tu w Norwegii, a czasami z rzadka nawet wcześniej - że to jest skaza, w którą dałem się wciągnąć. Że jestem szlachetniejszy, chcę dobra, niech brzmi to jak majaczenie dziecka, ale czy naiwność, wieczne nawrócenie, podnieta, że może być lepiej, nie jest lepsza niż zwrócenie twarzy ku ziemi, krótka perspektywa?

Jego ogólne sądy o ludzkości (połowa marzy o sklepie) wyraźnie cyniczny ton, sarkazm. A co w tym złego, powiedz mi, Hebanowski, w sklepie? Ja też bym chciał mieć sklep! Trzeba gardzić, co? Można wpierdolić. Jak bardzo trzeba się zawieść i nigdy nie chcieć wrócić do stołu, żeby z taką zajadłością grzebać w naszych ranach, czarnych czy białych, wszystko jedno, zawsze przecież czerwonych jak twoje własne mięso?

A jednak grzebał. Tu o wynajętym płatnym mordercy, który zdradza usługodawcę, tu o śmierci jak spóźnieniu się na samolot, śmierci jako naiwności, zemście jako najwyższym możliwym uczuciu. Okraszone oszczędnie, mało metafor. Jaka dusza, takie metafory.

Opisywał ten świat przez kikuty psów, rozkładające się zwierzęta, choroby ludzi, misteria władzy tam, gdzie mierzy się ją w miligramach. Przed kim on się kłaniał, gdzie była jego gwiazda - milczał. Odrzucił mnie cały. Jedna z tych lektur, które kalają świat. Mój sobowtór. Ha, ha, ha. Cóż za nauka dla mnie. Czterdzieści lat młodszego idioty. Kalahari, dobra nazwa dla opowiadań. Pustynia.



Zapomniałem o nim. Na całe szczęście zapomniałem o nim. Byłem syty. Już wiedziałem, co mówić, przynajmniej w Warszawie. Afryka wyżarła mu serce. Zwrot, który od tej pory miał się pojawiać w rozmowach, lekka odpowiedź podkreślająca i mnie.

W Norwegii dużo przyjemniej było włączyć się po pijaku za „Ulisesem”, niczego nie myśleć, gubić się na każdej stronie, nie załatwiać żadnych spraw, tracić wątek, siedząc na rozkładanym krzeselku w świetle białych nocy i ciepłe ogniska, do momentu, gdy kończyła się butelka. Wtedy przyjmowała mnie żona, która była na końcu tego wszystkiego, jak tamta z „Ulissesa”, jak ona miała na imię? Sally? Przecież nie przeczytałem tej książki, na pewno na trzeźwo.

Wyjazd był zrobiony. Czy coś się stało? Czy coś przeżyliśmy? Właściwie nic. Kilka nocy w alpejskim krajobrazie Hardangerviddy, bez drzew, nad kamienistymi potokami, wśród suchych traw, dotknęliśmy lodowca, moczyliśmy nogi w lodowatych jeziorach, odpoczywaliśmy pod górkami ścianami. Kończyło się wino.

Trzeba było wracać do tego samego syfu, który zostawiliśmy za sobą, bardziej może wyrazistego, o większym natężeniu. Na parkingu autostrady spotkaliśmy Ruskich, którzy zawstydzali nas swoim publicznym gotowaniem, uciekliśmy także i im. I ruszyliśmy dalej.

Gdy skończyły nam się pieniądze, byliśmy znowu w połowie drogi. Źle zaplanowana podróż. Młodzieńcze szaleństwo. Nikt z nas nie pomyślał o tym, że bilet, który przebookowaliśmy w Gdyni, za który oddali nam pieniądze i powiedzieli, żeby tylko podjechać pod prom i wtedy płacić, że to są te same pieniądze, które wyjmowałem z brązowego portfela w postaci norweskich koron. A za prom z powrotem nie było z czego zapłacić.

Pomysł przyszedł wieczorem. Już pod wieczór, gdy szukaliśmy miejsca na nocleg. Minęliśmy jedną zamieszkaną dolinę, przejechaliśmy do drugiej, szukając miejsca pustego, bez ludzi. Droga to podnosiła na wyciągniętych ramionach góry, to opadała ku mniejszym potokom, i nad jednym z nich się rozbiliśmy. Rozstrój zapanował nade mną niepodzielnie. Konieczność wymyślenia tego, co zrobić żeby zdobyć pieniądze... Zośka gadająca swoje.

- No dobra, jedźmy do komputera, zerwijmy lokatę.

Gdy dojechaliśmy do Göteborga, dzień po nocy, już po minięciu szwedzkiej granicy, wszystko wydało się spokojne i już za nami. Gwar miasta, bardzo kulturalni i ładni ludzie, siedzący w pięknych, lekkich skandynawskich wnętrzach. Siedziałem w kawiarni, co rusz podnosiłem ładną filiżankę do ust, kręciłem łyżeczką, goniąc piankę po powierzchni kawy, i wtedy, może trochę skulony, żeby się osłonić przed wiatrem, a może właśnie rozluźniony,

zrelaksowany tym łagodnym, wiatowanym światłem Skandynawii. Wtedy tak na lekko powiedziałem:

- Wiesz. Ja wiem co zrobimy.

- Co?

- Weźmiemy te Hebanowskiego.

-...

Zosia spojrzała na mnie pociągłe. Wzięła swoją łyżeczkę i podobnie jak ja zaczęła gonić chmurki z pianki po powierzchni kawy. Do promu mieliśmy jeszcze kilka godzin. Ośmieliłem się na coś jeszcze.

- Zamówię szarlotkę.

Przeprawa poszła łatwo, Gdańsk był miły, nocleg w cichym, bardzo komfortowym hotelu na Mazurach z najlepszą kuchnią i sauną, jaką znam w Polsce, nie zmęczył mojego sumienia. W Warszawie, dzięki książce o marketingu, zająłem się reklamą. I trzeba powiedzieć: reklama to całkiem inny świat, bez hipokryzji, szczery, choć w dużym stopniu cyniczny, no ale to nie powinno dziwić. Czy oddałem pieniądze? Zdaje się nie ma takiej podstawy, żeby oddawać. Podobno pierwszy milion trzeba ukraść.

# ŚWIĘTO PRACY

Są takie dni, w których już z pierwszym otwarciem oczu wiesz, że dzisiaj wszystko będzie OK. Budzisz się, pościel może lepi się już nieco do ciała, bo może i nawet już spałeś trochę za dużo, myjesz zęby albo i nie, drapiesz się po jajach, zakładasz wczorajsze gacie albo i nie, jesz coś albo i nie, ale i tak jesteś wygrany. Światło popycha cię do przodu, a to, co dzisiaj masz do zrobienia, i tak wynagrodzi ci to, że wstałeś.

Ostatni raz miałem tak kilka lat temu. I wtedy też było lato. Wieczorem nie przygotowałem nic, a mimo to, gdy rano zadzwonił budzik, wiedziałem, że wydrukuję plakaty, kupię w „Castoramie” klej, umówię kolegę wszystko przyjdzie bez trudu, a wieczorem jeszcze będzie czekała na mnie nagroda.

I tak właśnie było. Gdy już rozwiesiliśmy wszystko, usiedliśmy naprzeciwko takiego jednego plakatu na krawężniku, otworzyliśmy piwo i żaden z nas nie zauważył, że na wszystkich plakatach zabrakło numeru telefonu. Drzewa tworzyły sufit nad nami, płaski jak dno odwróconej miski, a my byliśmy tacy akurat przykryci tymi drzewami, jakbyśmy siedzieli w dziecięcym namiocie i bawili się w przytulność. Jak mi się wtedy chciało żyć! Ja czułem się wtedy, jakby te konstrukcje obok, przyroda i architektura, były tylko dla mnie. Drugiego dnia wyspałem się znów porządnie i jeszcze dzień odpocząłem po tej idealnej pracy. A dziś? Dziś może być podobnie.

Budzik zadzwonił tylko raz. Wstałem. I mimo to wciąż chciało mi się pracować. Pracować mi się chciało! Do tej roboty nie musiałem się myć, wystarczyło tylko założyć stare spodnie, coś tam zjeść, jaja może, i iść do pracy. Praca, która już na mnie czekała, jak papieros na palacza, wcale nie była trudna. Nosilem ją w sobie od dawna, no i w końcu przyszedł jej czas.

Siekiera, piła i łom, które leżały w garażu, zaczęły krzyczeć jak w telewizyjnej bajce.

- Hej, wiesz, co dzisiaj robimy? – przymilały się.

A przecież wiadomo, co robimy. Odpowiedziałem jak dzieciom:

- Tak, wiem. Praca należy się nam wszystkim. Zresztą, spokojnie, moje drogie narzędzia, to jest dosłownie wiecie co, to jest jedna jednostka pracy dziennej, więc nie ma kłopotu. Tylko jeszcze trochę pomyślę, napiję się kawy, popatrzę w okno, nie zapomnę przyjrzeć się każdej plamie światła na podłodze. To, co dzisiaj będziemy robić, jest w pewien sposób doniosłe, wiecie. Coś kończymy, coś zaczynamy – mówiłem do nich i czułem się jak święty Franciszek gadający do ryb.

W końcu zapiąłem rozporek. Od gadania nic się nie robi. W spodniach od dawna nie było guzika, amerykański demobil, nieco opadały, ale kto by się tym dzisiaj przejmował. Zabrałem narzędzia, wyszedłem na zewnątrz i zrobiło mi się ciepło. Może nawet zdejmę koszulkę?

Usytuowany w końcu działki u zbiegu dwóch linii płotu obiekt już czekał usłużnie. Ale, jak już mówiłem, spokojnie, żadnego popędu. Piwko, nieśpiesznie. Choć i tak mnie przyzywał. A co do zdejmowania koszulki, to był lekki wiatr i zaraz ją założyłem z powrotem. Nie lubię się przewiać, a to może ustronne, ale przewiewne miejsce. To dlatego w swoim czasie niektórzy go chyba nie bardzo lubili.

Teraz był tu spokój, ja też byłem spokojny, nie tak jak zawsze, nerwowy, zagoniony, bez siebie, nieobecny wszędzie. Wszystko robiłem bez wścieku – jedno narzędzie na ziemi, drugie na ziemi. Nawet jeśli nie skończę dzisiaj, to jutro też jest wolny dzień, można odpocząć i skończyć.

Od czego by tu zacząć? - pomyślałem. Wielkie chwile w życiu każdego człowieka. To nas łączy. Zamiana trudu w jego owoce. Sens życia. Staję, patrzę, namyślam się i sięgam po piłę. Piła będzie pierwsza. Będę drwalem. Będę mocny. Nagi i mocny. Czy dobrze układa mi się obręcz barkowa? No, w imię Ojca i Syna, zaczynamy!

Odpalona piła wchodzi w drewno.

Aha – pomyślałem sobie - zetnę go jak drzewo. Uderzy o ziemię. Idzie jedna deseczka, druga, trzecia. To miękkie, suche i iglaste drewno, więc od razu widać, że kiedy się tnie powyżej linii gwoździ, wszystko idzie łatwo. Ja się znam. Tylko żeby potem te resztki, pień, za bardzo z ziemi nie wystawały.

Nagle - trach, śrut, śrut, śrut. Spadł łańcuch. Nie lubię zakładać łańcucha, bo to oznacza, że zaraz znowu spadnie. I jeszcze raz. Jeśli spada łańcuch, to znaczy, że coś się skrzywiło, może prowadnica, może łańcuch. Myśl z wolna ogarnia technikę. Znowu wsadziłem piłę w drewno i łańcuch znowu spadł. I znowu potem spadł. Odłożyłem piłę, sięgnąłem po siekierę. Przecież siekierą też można ciąć.

Obręcz barkowa układa się doskonale. Pierwszy zamach.

Siekiera jest może nieostra – mówiłem sobie - ale to miękkie, suche i iglaste drewno, wiem coś o drewnie. Te małe deseczki się łamią, stoją takie szczerbulce w równym uzębieniu tych wcześniej ściętych piłą, ale ogólnie idzie. Tak jak dzień.

Zrąbałem jedną ściankę i poszedłem na tył. Tu zawsze było trochę wilgotniej, tył spróchniał i teraz dosłownie kruszył się od uderzeń siekiery. O, ziemia się obsunęła, but zapadł w piasku. No ale czy nie liczyłem się z tym? Druga ścianka padła.

Trzecia strona świata była zacieniona. Kiedy się schyliło głowę i zbliżyło ją do ziemi, robiło się nawet przyjemnie, poza zapachem moze. Obręcz barkową i plecy chłodziła wilgotna ciemność ziemi bez murawy. Chyliłem głowę do swojej roboty. Modlitewnie. W dół. Z pokłonem. Rąbanie szło jednak powoli, nie wiem, czemu, może te deski były mocniejsze, może siekiera traciła już ostrość. A zresztą powoli zaczynał się podest i to, co wcześniej, z drugiej strony, załatwiłem piłą, z siekierą stawało się mitręgą. Cóż. Trzeba wrócić do piły.

Nie wiem, kto to budował, wydawałoby się pokolenia, bo solidnością przypominało kaplicę z opowiadania Faulknera, którą wszyscy mężczyźni z gminy budowali u siebie w Yoknapatowha. Piękne opowiadanie. Tam im nawet kobiety przynosiły jedzenie, na pewno też wiele miesięcy wcześniej zaczęły myśleć o jej wystroju. Wspólne dzieło sporej ilości ludzi. Potem widziałem to jeszcze raz, na żywo w małej wsi na wschodzie, w Polince. Budowanie małej świątyni. Piękne chwile. Świeże drewno, słońce spośród sosen. Tu niby inaczej, to nie kaplica co prawda, a nawet może coś odwrotnego, ale solidność, wyciszenie i nawet odosobnienie podobne, a podest jest naprawdę zbytkiem, no bo po co podest? Jeszcze na zewnątrz? To się nie mieści w klasycznej konstrukcji.

Do piły marsz! I znów łańcuch pracuje równomiernie, zęby piły wchodzą w drewno i rozsypują wszędzie drewniane iskry mojego zapachu. Tuż za podestem jest już dół, więc mogę tą piłą wywijać jak batutą, bez obawy, że stępi się od ziemi. Co prawda sam podest jest mocowany do reszty takim solidnym krzyżakiem z belek i będzie kłopot, aby to przeciąć, ale czy nie jestem człowiekiem czynu? Obręcz barkowa napina się i pręży, puszczam nawet bąka, a jednak. Idzie łączenie.

Teraz wszystko trzyma się już na tych słupkach, cienkich drewnianych ścięgnach, jak podcięte drzewo. Na którą stronę go przewalić? Na lewo? Na prawo z wiatrem? Jakby pomyślał drwal? Z wiatrem. Zapada decyzja. Na prawo. Odchodzę na bok, otwieram piwo, podziwiam trud, układam przyszłość, planuję etapy. Tak, trzeba tam jednak wejść i wyjąć wszystko ze środka. Żeby to się później nie walało po całej działce, kiedy wiatr zadmucha.

Napoczęte piwo zieleni się w trawie, drzwi blokują się, szczelina na dole jest zbyt mała, żeby otworzyły się na oścież, piasek zbija się tuż pod dolnym zawiasem. Z pewnością to nie są drzwi do domu, już samo wejście sprawia kłopoty, a co będzie z wyjściem? Pamiętam, że zawsze dla wszystkich był kłopot, już nie tylko, żeby tu przyjść, a nie skręcić gdzieś bliżej, ale też by w ogóle wejść do środka. A jeszcze w zimie, gdy napuchła ziemia? Skurwysyny nie wchodzili w ogóle. Specjalnie dla nich ktoś to wymyślił, zbił, ja to odziedziczyłem, przenieśliem, postawiłem, zachęcałem. Nasze wnętrza specjalnie do tego. A oni? Olewali.

Drzwi puszczają. Zawias z podeszwy trampka na górze urywa się, sparciała guma puszcza. Wchodzę.

O! Tu zupełnie inaczej. Chłód, wilgoć, mrok i insekty. To jest zmiana jak dla Afrykańczyka na Arktykę. Słońce przeziara tylko przez szpary w deskach, tnie powietrze ostrzami światła, widać w nich kurz i lśniące pajęczyny w kątach. Właściwie też nie śmierdzi, chociaż, mimo że w tych ciemnościach ledwo co widzę, ostatnie kupy są świeże, sprzed tygodnia. Może to stolarz robił, kiedy kuchnię składał. Dobrze, że nie ma robaków, u babci na wsi były paskudne robaki, patrzyłem na to jak zaczarowany. Tutaj jednak wieje i nie ma co stąd wynosić. Z ruchomości zostało niewiele, wszystko wyniesione. No, gazety. Właściwie cały przegląd sceny politycznej. Wszystko, co ludzie mają w głowach. Jest „Wyborcza”, „Rzeczpospolita”, śliskie i chyba trudne w podcieraniu tygodniki opinii, ba, nawet „Krytyka Polityczna” mojego brata (docenił ilość stron), „Pressje” ojca, trochę pism literackich, a nawet „Puls Biznesu” i „Gazeta Prawna” dla przedsiębiorczych. I wszystko w kiblu.

Wrzucam wszystkie gazety do dołu, naraz, bez patrzenia. Ani na prawo, ani na lewo. To, na co mucha usiadła, też niech leci, w dół. To, co lekko namokło, wyschło i straciło fakturę – dawaj. Leci! Wszystko to, papierowy stosik, okrywa gówna ładnie, a gówno pod tym jest jak na podpałkę. Dla higieny przysypuję to piaskiem i, nim wyjdę na powierzchnię, wyjmuję zza stropowej belki swój świeży i elegancki, schowany przed innymi papier toaletowy. Waham się nieco, czy wziąć, czy wyrzucić, i też rzucam, a niech leci, niech karmi ziemię, potem żałuję, że wrzuciłem, schylam się, wyjmuję, wkładam do bocznej kieszeni szerokich spodni z demobilu, cieszę się, że ocalałem, i wychodzę na powierzchnię.

Trochę jak z trumny w prestidigitatorskim show, spod ziemi na słońce. Lekki nerw jest, nie powiem. Mrużę oczy, mija chwila, bezkres nieba próbuje rozświetlić też moje wnętrze, ale wiem, że w środku jest ciemno, skażenie sięga podszewki skóry, wystarczy chwila, by znowu nabrać ciemności. Odpoczynek. Łyk piwa.

Dobra, dawaj - przechylamy.

I kibel nie chce się przechylić. Coś go jeszcze unieruchamia, jakaś kotwica. O! Jeszcze jeden pałak, łyko. Cholera.

Sąsiad, od którego go wzięliśmy półtora roku temu na własną budowę, jest nie ma co, dokładny. W zasadzie zrobiłem mu przysługę, że zabrałem kibel w całości. A ci mądrzy, co tu przyszli, zwabieni, że może u nich na działce się przyda, co go chcieli pożyczyć, też chyba wyniuchali, jak ciężko będzie go rozebrać. Odpuścili. I został. Wzorowa w konstrukcji, solidna i jednolita bryła. Stękam, stękam, stękam. Rusza bryła z posad świata. Jest! Leży.

Idę po piwo. Moja żona na tarasie być może się ze mnie śmieje, ale czyta pilnie książkę. Z czego tu się śmiać? Moja żona jest piękna, gdy tak czyta tę książkę. Ale czy ona czyta? W zasadzie robię się głodny. Czy teraz jest dobry moment? Zadzwońię do matki, żeby zrobiła obiad.

- Tak, tak, za pół godziny, kartofelki młode i kotlety mielone. Przychodźcie.

Idzie pierwsza, ja dojdę.

Tylko rozbiję go wcześniej - łudzę się jeszcze. Jak teraz zacznę, to już będę miał zaczęte, a jak później wrócę, to już będę tylko kończył. Tak jak wszystkie dzieci w podstawówce sklejały na matematykę kwadraty czy sześciiany, tak ja teraz ten sklejony sześciian na raz rozkleję. Nacinam go piłą po grzbiecie - idzie. Ale, ale... Już mi się nie chce. Idę na obiad.

Trzysta metrów dalej mijam dom sąsiadów Nie lubię chodzić obok ich domu, bo wydaje mi się, że wszyscy czegoś ode mnie chcą, patrzą na mnie przez okna, myślą, są zawistni. Ja się w ogóle czuję źle wśród ludzi, mnie się wydaje, że oni na mnie gadają. Chciałbym przemknąć jakoś w tym słońcu dalej, żeby mnie nikt nie widział. Już sam nie wiem, czy pęłzać, czy być jakimś promieniem, światłem.

- Toooooomek!

Zawsze jeśli człowiek się czegoś boi, to to przyjdzie.

- Co słychać, sąsiadko?

Podchodzę do płotu.

- Nie, ha, ha, swojego Tooomka wołam na obiad. Chyba że ty też chcesz?

- Nie... Ha, ha. - Wycofuję się tak, żeby nie zobaczyła, że się wycofuję, chociaż jej też na tym zależy, żebym się wycofał. Tu jest taka niejasność, pokrywam ją słowami i znikam.

Pukam do matki. U niej kotlety – mielone, piękne, brązowe. Czasem to nawet lubię do niej przyjść. W tym domu zawsze jest chłód. Podobnie jak wcześniej w kiblu. W taki upał to czysta przyjemność. Rozmawiamy trochę, zwykły piękny wolny dzień. Robią mi jakieś wyrzuty, że zająłem się tym akurat dzisiaj. No ale kiedy? Nie słucham babskiego gadania. Wracam, od razu do swojej pracy. „W pocie czoła pracować będę”.

Szczerze mówiąc, już mi się nie chce. Patrząc na ten zestaw na końcu działki tak, jak patrzyłem na niego przez te kilka miesięcy od wprowadzenia, i wiem, że choć już nie mogę rozbierać tego pudła, to muszę. Widok jest zbyt piękny, żeby psuć go kibel. Angielskie malarstwo pejzażowe, gentry, nic, tylko pole, aleja lip, stary dwór, w którym mieszkał dziadek Szymborskiej. I co? I gówno. A trzeba mieć perspektywę.

Niechętnie rozcinam go do końca. Ile sąsiad dał tu papy, a ile ćwieków w to powbijał, żeby mu na głowę nie kapąło? Piła tego nie bierze, łom, siekiera. Chwytam się już wszystkiego i potem na taczce wywożę całymi ścianami na stertę starych palet.

Żebym się tylko nie ubrudził. Tańczę więc delikatnie z tymi ścianami, wnętrzem naszym, obracam, brudnym do dołu, czystszym do mnie. Palcami, opuszkami jak z ładną kobietą. Grunt to lekkość, szacunek dla historii, jakby powietrze poruszało tym wszystkim. Jakby to były nieożywione płatki jakies czy liście suche. Zwiewność utrudzenia, taniec prawie bezdotykowy, muślin, firanka, pupa do tyłu, tułów do przodu ku partnerce. Rytm wyraźny i żadnej siły. Taniec człowieka ze ścianami kibla.

W to wszystko wchodzi muzyka jakaś daleka, jakies nie wiadomo co. Tutaj nawet sąsiadów jeszcze takich nie ma muzycznych. Z oddali jakies dźwięki idą. Tonacja minor. Głośne radio z samochodu? „Family Frost”? Ale tu u nas? Na nowym osiedlu? No nic, do kibla. Do tańca. Hej! Dźwięki podchodzą bliżej. Zaropiały megafon. Rosną. Ale zresztą, co tam dźwięki. Kibel rozwalony!

W końcu - koniec. Amen. Patrzę w dół. Piasunio tam w dole, te gazetki z boków. Widzieliście kiedyś pogrzeb kibla? Ślaniam się i podchodzę na taras, oddycham chwilę, głosy narastają. Kto to może iść? Falowe wycie. Na pewno z kościoła, poznaję po zawodzeniu. Ale dlaczego tutaj? Co to za dzień? Co to za dzień dzisiaj? Biorę taczkę. Wożę na miejsce po kiblu ziemię, żeby zasypać jego ślady, i cały czas myślę, kto to i co to za dzień, że są już tak blisko. Pielgrzymka nie, no ale co?

Wysypuję trawę, sieję, Boryna. Udaję, że mnie nie widać. W takich miejscach i na mogiłach zawsze lepiej rośnie. Pod stopami powstaje płaszczyna, chodzę w koło, ubijam, powinienem wywalcować, nie mam walca. Co zrobię, jeżeli będą przechodzić obok mojego płotu? W ogóle to niemożliwe, żeby tu z kościoła szli. Może uciec teraz? Szybko do domu! Zostaną narzędzia. Tchórz. „Kto to pracuje?” - pomyślą. Lepiej odważnie. Wprost na nich. Ale też bez przesady. Nie patrzeć, ja mam swoją robotę. Wy swoją. Tak pokazać!

Procesja Bożego Ciała podchodzi pod samo ogrodzenie. Idą wolno, właściwie drepczą w miejscu, na początku megafon, za nim bielinki sypią płatki. Ja za płotem, obręcz barkowa ukryta już pod koszulką, trzewikami ładnie ugniatam ziemię, też drepcę, to samo tempo, ale w innym kierunku. Oni oczy ku górze, ja swoje na dół. Przecież widać, że pracuję. Co z tego że dzisiaj? Praca jest, trzeba zrobić.



# KACZKA DZIWACZKA

To jest tak, że gdzieś w przestrzeni, na polu, gdzieś w zasięgu twojego wzroku i serca, pod lasem albo nad rzeką, na skraju twojego miasta, jest coś, co cię przyciąga. Tajemnica. Ty na przykład możesz iść w bok, drogą do sklepu, albo możesz się zatrzymać, ukryć w szopie czy zająć się czymś innym, ale cały czas będziesz wiedział, że to coś tam jest i że ono cię wzywa, że ono cię pożąda. Będziesz to wiedział, kiedy się kładziesz spać i kiedy wstajesz, także w nocy to będzie do ciebie mówić, już bardziej ogólnie - będzie tylko wchodzić w ciebie i oglądać się Twoimi oczami, ale nigdy nie stracicie się z oczu. Nawet jeśli o tym zapomnisz.

Będziesz próbował do tego podejść, będziesz się frygał jak ryba w sieci, zaplątany w domy, ulice i może nawet taki, któremu trudno się z tego wszystkiego jakoś wybrnąć, ale będziesz czuł, że cię to wzywa. Małe zawiniątko, czarna skrzynka, dziura na drugą stronę Ziemi, gniazdo os wydłubane w rzecznej skarpie. Każdy ma takie swoje coś i każdy chce tam iść.

Właściwie nie będziesz miał wyboru. To połączenie znaków, które cię otoczy, pokaże ci, że koniec może być tylko jeden. Tajemnica przyjdzie do ciebie, nawet jeśli nie będziesz chciał. To może cię denerwować, ale to cię też powiększy. Bo czego nie będziesz robił – szedł chodnikiem, jadł zupę dyniową, gadał, rechotał - to to zawsze będzie o tobie pamiętać. Przyjdzie po ciebie, bo już na ciebie patrzy.

W zasadzie cały czas będziesz się poruszał już w wymyślonej przestrzeni, która przebija łagodnie z jednego kąta i nie będziesz z tym mógł zrobić nic. Dopiero potem, kiedy już się zastanowisz, będziesz mógł nanizywać wszystkie zdarzenia, które ci się przytrafią, na sznurek czasu i próbować je jakoś ogarnąć w bladym świetle z kąta.

Niestety będziesz z tym wszystkim sam. Przyjdą goście, usiądziecie do stołu, a to powie: „Aha, nie zapominaj się, masz przestrzeń, masz wszystko, ale jesteś sam i robisz rzeczy już wymyślone przeze mnie”.

Będziesz czuł się obserwowany oczywiście, tak, to będzie pojebane szaleństwo. Uwaga, kurwa, wariat. Ale cały czas będzie taki plan, żebyś ty podszedł do tej tajemnicy i w nią zajrzał.

Ktoś ci też w tym będzie patrzył na ręce. Nie będzie to człowiek, wiadomo, ale też oszczędźmy sobie gadania o bogu. Będziesz się tylko tak czuł, że to ktoś inny, jakby ktoś taki, że jak się wygląda z samolotu i patrzy na chmury, to się wydaje, że za skrzydłem albo akurat nad twoim oknem, coś, ktoś może być, to będzie ktoś taki i on będzie myślał, zastanawiał się:

„łyknie to czy nie?” - a ty jak wielka ryba w przestworzu będziesz się okręcał w swoim świecie, każdą część twojego ciała będzie opływać powietrze, które dotyka o kilometr dalej tej tajemnicy, i będziesz to czuł. I, co ważniejsze, będziesz się z tym jakoś musiał zmierzyć. Nie jest łatwo tam iść, bo gdy już tam pójdziesz, będziesz musiał się zmienić. I to cały. Ja dlatego nie poszedłem.

Za każdym razem, gdy byłem wzywany, czułem, że do mojej skrzynki wpada awizo z urzędowym pismem, bez odwołania, pismo na sąd, potwierdzenie odbioru, do rąk osobistych, czasem to było jak telegram od bliskiej osoby – przychodził, ja wiedziałem, że tam, tamto, że trzeba, a jednak przyzwyczajenie do samego siebie, może nawet wybór kazał mi zostać w miejscu. Lub uciekać.

Tańczyłem wtedy w nocy wściekle pod wielkimi, rozświetlonymi nocą logami hipermarketów, biegałem pustymi ulicami mojego miasteczka i traciłem świadomość ukryty w jego śmietnikach.

Bo, szczerze mówiąc, bałem się i cały czas się boję, że to coś, to coś w końcu będzie bardziej perfidne niż ja. I gdy, ja, pan sytuacji, w końcu łaskawie, dzień dobry, puk, puk, puk, przyjdę, niezłomny, ale już z niczym do stracenia, żądny rozrywek i nowości albo właśnie złamany, opuszczony, potrzebujący litości przyjdę tam - to to rozparte tam na miejscu, właśnie w tej dolince małej rzeki, w łopianach, napuchłe jak Budda, jak Pan Kurtz... on umrzeć”, powie: „słuchaj, ale nie”.

Tego się boję. Bo może już jest za późno. Bo może gdy pierwszy raz zrozumiałem, że muszę tam iść, wtedy powinienem bez zwłoki? Tak jak dziadek, który bębnił te swoje melodie, gwizdał, palec na ceracie przesypywał cukier, deszczówka wpadała do kałuż, chłód kazał mu się kulić nawet przy stole, a dziadek wpatrzony w krople na szybie i dalej las, w końcu wstał, wyszedł i potem spłynął rzeką. Ciało rozmiękło, czarne rzadkie włosy w końcu odkleiły się od blatu głowy i zaczęły promieniować jak słońce. Czy on poszedł od razu? A może właśnie zwlekał, a to już go tylko oszukiwało? Trujący kwiat o zgniłej woni. Kogo tam spotkał? Co usłyszał? Co się tam działo? Taki normalny człowiek, żadnych śladów, poruszenie we wsi.

Hej. Psss. Tylko dlaczego teraz to woła znowu do mnie? Dlaczego nie milknie, syreni śpiew? Czemu ja jestem winien? Dlaczego, kurwa, ja? Pełen wątpliwości tańczę, paruję w ruchu, szaleństwo wzbiera od ziemi, cała Ziemia przekazuje mi szaleństwo, stęża się we mnie, idzie przez stopy, dotyka kolan i dalej, dalej wraz z szybszymi ruchami rozchodzi się po całym ciele, a ja, normalny, normalny, ja chronię się w szaleństwie Ziemi.

Ale właśnie, właśnie przypuścimy, choć na moment, na małą chwilę, że to coś byłoby większe niż ja, że nie oszukuje. Że można tam przyjść. Czy to nie jest straszne? Że zawsze czeka, żebyś się zmienił. Nie pochłania, nie atakuje. Jak zegar. Jest.

Widzę się. Wyłączam radio, wychodzę z domu, kładę klucz za drewnem dla Ewy i schodzę doliną do rzeki. Wszystko już wie, że idę. Konary drzew, trawa, wszystko jest po mojej stronie. Spłoszona sarna patrzy tylko i pozdrawia: „A, to ten. Wezwany”. Mijam strumyk, mały jar, ciało sprężynuje, głowa rośnie, przeskakuję nad odciśniętymi racicami krów w nadrzecznym wodopoju, w końcu jestem. Jest cicho, za cicho jak na to miejsce.

Polana zamyka się półkolem rzeki, podchodzę do brzegu. Nachylam się, kolana dotykają trawy, ręce wpadają w wilgotny piasek, przytykam ucho do miłych os, do trzmieli, i słyszę:

- „OK, w porządku, jesteś, Chodź.”

- OK, Ale jeszcze nie teraz. Teraz jeszcze nie. Rozumiesz? Nie. - szepczę w odpowiedzi.



## Wojciech Albiński

Urodzony w 1977 roku, mieszka w Warszawie.

„Albiński z precyzją opisuje pokolenie polskich trzydziestolatków. W efekcie tworzy sympatyczny i szczerzy do bólu nekrolog dla beneficjentów transformacji. Nie bez złośliwości ujawnia intymne życie klasy średniej. Piwo, blanty, liberalizm. Prawdziwe uczucie w dekoracjach z dykty. Bóg na to patrzy i nie grzmi. Książka nie tylko dla posiadaczy kredytów we frankach.”

poleca Jaś Kapela

Wszystkich trzymających w tej chwili mój debiut w ręku, zawiadamiam z radością, że nie jestem tym Wojciechem Albińskim. Nie tym, tylko innym. Mimo to nie odkładajcie książki z powrotem. Poczujcie różnicę.

Wojciech Albiński

cena: 25 zł (w tym 5% VAT)



WARSZAWSKA  
FIRMA  
WYDAWNICZA